

Śmigielska Krystyna

Berżetka bez przepisu

Ewa, osamotniona i rozczarowana nieudanym związkiem lekarka, wraca do rodzinnego miasta, by spróbować na nowo ułożyć sobie życie. Powrót do domu staje się dla czterdziestoletniej kobiety powrotem do wspomnień z dzieciństwa i do nierozwikłanej od lat rodzinnej tajemnicy. Czy będzie także powrotem do zardzewiałej miłości?

Berżetka bez przepisu

Staralam się myśleć racjonalnie. Zacierałam skrzętnie ślady jak chora kotka, która w zacisznym schronieniu pragnie dokończyć nędznego żywota. Życie straciło blask, stało się ponure, pełen zjaw z przeszłości, bolesnych wspomnień i braku widoków na lepsze jutro. Wracałam do punktu wyjścia, do domu, w którym mogłam czuć się bezpiecznie. Dwadzieścia lat temu wyruszyłam na podbój świata, ale w tej nierównej walce nie odniosłam zwycięstwa. Świat chyba nawet nie zauważył mojego istnienia. Czulałam się wypalona, nikomu niepotrzebna, sponiewierana przez tych, których przecież kochałam. Ojciec twierdził, że cierpienia mają umacniać nasze charaktery, nauczyć innego spojrzenia na ludzi, pokazać nowe perspektywy. Bzdura! Niczego się nie nauczyłam. Horyzont przede mną był mglisty i pusty. Zamknęłam się w skorupie, muszli, pestce. Poddałam się falom, licząc na to, że wyrzucą mnie na bezludną wyspę lub roztrzaskają o przybrzeżne skały. Mogłam jeszcze zawrócić, usiłując płynąć pod prąd... Zabrakło mi siły...

Rozdział 1

Deszcz lał jak z cebra, malując na szybach samochodu cudaczne obrazy. Szary kalejdoskop przed moimi oczami. Wiedziałam, że jeżeli wysiądę, będzie to nieodwracalny krok, a moje życie stanie się jedynie wegetacją, beznamiętnym trwaniem. Nie spodziewam się odnaleźć młodości, miłości, nawet rodzinnego ciepła. Tu też wszystko się zmieniło. Ojciec zestarzał się i stetryczał... Stary płot dzielący podwórka rozpadał się; nie obroni dostępu do mojej enklawy, mojego azylu, mojej samotni.

Spróchniałe deski poniewierały się wśród bujnej trawy, przypominając, że ślady dawnej świetności zarastają szybciej, niż się tego spodziewamy. Ocalę tę ginącą, rozsypującą się ojcowiznę. Ja - konserwatorka własnej przeszłości.

Deszcz, mój sprzymierzeniec, obmywał słone, spływające po policzkach krople. Szłam ze spuszczoną głową, ostrożnie stawiając kroki, przygniatając mokre źdźbła trawy. Za plecami słyszałam leciutki szelest, ledwie dosłyszalny szmer podnoszących się, dźwigających na sobie drobinki wody, wciąż żywych i pełnych chęci istnienia kłosów. Czułam na plecach strumienie ciepłego deszczu. Stojący na ganku ojciec przyglądał się mi z wyrazem zniechęcenia na twarzy pokrytej siateczką zmarszczek. Miałam wątpliwości, czy podjęłam dobrą decyzję, ale sprawy zaszły tak daleko, że musiałam już stawić czoła nowym

wyzwaniom, a mieszkanie pod jednym dachem z ojcem na pewno było prawdziwym wyzwaniem.

- Witaj tatku! - uśmiechałam się, próbując ucałować go w policzek. - Już jestem!

- No, jesteś... - mruknął bez entuzjazmu. - Skoro nie masz gdzie się podziać, wejdz... Mówiłem, że na cudzym nieszczęściu swego szczęścia nie zbudujesz!

- Nikogo nie skrzywdziłam. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Miejsce uczciwego mężczyzny jest przy żonie. Ty nie byłaś jego rodziną - ojciec mówił jakby sam do siebie.

- Widocznie nie nadaję się do życia w rodzinie - skwitowałam.

- Dokonałaś złego wyboru. To nie przestępstwo, to współudział. Kopniak od życia, który dobrze ci robi.

Na temat kopniaków miałam własną teorię. Sine ślady, zmieniające się z czasem na żółtoczerwone przebarwienia, nawet całkowicie zagojone, pozostawiały trwałe blizny w sercu.

Ustawiłam bagaże w przedpokoju. Dorobek mojego życia spakowany w dwie skromne podróżne torby. Zabrałam tylko niezbędne rzeczy, tak jakbym przez te wszystkie lata nie miała żadnych potrzeb, zrealizowanych marzeń. Będę musiała od nowa gromadzić drobiazgi, zbierać bibeloty, żeby w ich pobliżu poczuć się zadomowiona.

Ojciec bez słowa podał mi ręcznik. Przyjemnie było wycierać mokrą głowę w miękką, lekko wytartą tkaninę. W kuchni cicho syczał czajnik. Uśmiechnęłam się gorzko. Znajomy zapach rodzinnego domu powoli ogarniał mnie, rozbudzając wewnętrzne ciepło. Tata szykował herbatę i ustawiał na stole blaszane, pełne ciastek pudełka. Jak na swój podeszły wiek, poruszał się nad wyraz sprężyście.

Siadając przy kuchennym stole, przyglądałam mu się z przyjemnością.

- Całe życie starałem się was wychować i Bóg mi świadkiem, wkładałem w to wszystkie siły. I co? - ojciec pytał retorycznie, nie patrząc na mnie.

- Nie przesadzaj! Jesteśmy dobrze wychowani i wykształceni. Ja jestem lekarzem, Adam inżynierem...
- broniłam się.

- Inżynier? Jaki tam z niego inżynier! Kiepski hurtownik, a do tego jeszcze ostatnio został radnym. Też mi persona. Radny w pipidówce! Śmiechu warte - ironizował.

- Daj spokój! - prosiłam. - Dopiero przyjechałam. Porozmawiajmy o czymś przyjemnym - zaproponowałam.

Piliśmy gorącą herbatę i w zamyśleniu wyglądaliśmy przez mokre okno, na którym drobinki wody przytulały się do gładkiej szyby, trwając chwilę w bezruchu, a następnie, gnane niewidzialną siłą, staczały się w dół, zabierając napotkane na swojej drodze kropelki.

- Płot trzeba naprawić - zauważyłam.

-Po co? - pytanie ojca uświadomiło mi nieprzyjemną prawdę.

Wzruszyłam ramionami. To nie mój dom. Nie będę mogła czuć się w nim swobodnie. Weszłam na jego teren. Stanowię potencjalne zagrożenie. Muszę dopasować się do panujących tu praw. Każde ich przekroczenie, niedostosowanie się będzie traktowane jako wypowiedzenie wojny. Najwyraźniej tata był dobrze przygotowany do walki. Taktykę miał opracowaną. Niszczyć w zarodku każdy mój pomysł, każdą próbę osvajania nieprzyjaznego otoczenia. On tu jest samcem, on włada tym rewirem. Zaznaczył go dawno swoim zapachem. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek zburzył ustalony przez niego porządek.

- Płot sam się rozleci, nie trzeba mu pomagać - mówił, odwracając głowę od okna. - Kto by się nim przejmował?

- Zawsze lubiłeś odgradzać się od sąsiadów - przypomniałam mu.

- Od nieboszczyków się nie odgradzisz, tu płot nic nie da -ponuro powiedział ojciec.
- O czym ty mówisz? - pytałam, a w duchu zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby tata miał już demencję starczą.
- O kim - poprawił mnie. - Mówię o Zawilaku. Umarł. Jutro pogrzeb. Nie przepadaliliśmy za sobą, można powiedzieć, że od lat rywalizowaliśmy, a teraz ja musiałem przygotować go do ostatniej drogi. Skończyło się na tym, że jednak potrzebował mojej łaski - ojciec z chytrym uśmieszkiem na ustach lustrował rozwalające się ogrodzenie, zza którego widać było posesję Za-wilaka. Poczułam dziwną więź z sąsiadem. Jemu udało się odejść. Ja muszę dalej brnąć w swoje przeznaczenie. Nowe życie zacznę od pogrzebu, spakowanej w dwóch torbach garderoby i nowego, kupionego trzy dni temu, samochodu.
- Pójdę się rozpakować. Gdzie zamierzasz mnie ulokować? - zapytałam.
- Myślę, że najlepiej będzie ci w pokoju Adama - mówił ojciec, dopijając herbatę. Dawny pokój Adama był najładniejszym pomieszczeniem w całym domu. Przestronny, widny, z pięknym, okrągłym wykuszem. Lubiłam przesiadywać na niskiej ławie pod oknami i wpatrywać się w spokojny pejzaż podmiejskiej, willowej dzielnicy. Nic się tu nie zmieniło. Okryte kapą żelazne łóżko, mocno odarte z farby i dawnej świetności, nadal prezentowało się wytwornie. Pożółkłe firanki falowały na lekko uchylonych oknach, przez które wpadał świeży zapach mokrej trawy. Dawno niemalowane ściany zatraciły swój kolor. Wełniany, wytarty dywan pamiętał chyba czasy młodości moich dziadków, a mimo to czułam się tu bezpieczniejsza i spokojniejsza, tak jakby te stare ściany i zniszczone meble mogły ochronić mnie przed własnymi myślami, odgradzić od tego, co bardzo bolało, tkwiąc w sercu jak

zadra. Usiadłam w bujanym fotelu, zamknęłam oczy i kołysząc się miarowo, prawdopodobnie zapadłabym w błogą drzemkę, gdyby nie krzyki dochodzące z kuchni. Widocznie przyszedł Adam i jak zwykle kłócił się z ojcem. Znając tatę, codzienne awantury i słowne utarczki będą dla nas chlebem powszednim. Wpadłam z deszczu pod rynnę. Odgłosy z dołu przybierały na sile. Postanowiłam interweniować. Stąpając cicho po schodach, zesłam na dół. Ukryta za drzwiami przysłuchiwałam się rozmowie.

- Szukasz sensu życia? Chcesz zbawić świat? Pytasz dlaczego i z jakiej przyczyny jesteś? Tu i teraz? To ja ci powiem! Otwarcie. Dobrze się nad tym zastanów. Życie ci ucieka! Życie! Rozumiesz? Zbawiciel się znalazł! Mesjasz! Domu pilnuj! Domu! Żony i dziecka - pieklił się ojciec.

- Tato, czy ty raz nie mógłbyś mi przyznać racji? Tak dla zabawy? Choćby po to, żeby sprawdzić moją reakcję? Zobaczyć, jak to jest, kiedy się kogoś potrafi zrozumieć?

- Empatii mnie nie ucz! Pilnuj swego nosa. W nic się nie mieszaj. To nie twoje sprawy. Mówisz o rzeczach, o których nie masz najmniejszego pojęcia. Naprawdę nie masz własnych problemów? Nie jesteś sędzią, nie jesteś Bogiem. Wara ci od forowania wyroków!

- Diabli mnie podkusili - Adam szeptem ganił samego siebie. - Po jasną cholere wszystko ci opowiadam? Ciągle mam nieuzasadnioną nadzieję, że gdzieś głęboko, ukryte przed ludzkimi oczami, ukryte przed światem drzemią w tobie, w głębi duszy resztki człowieczeństwa. Zawsze byłeś antyspołeczny. Nigdy się w nic nie angażowałeś. Ludzie walczyli o wolność, siedzieli w więzieniach, cierpieli! Wstydzilem się za ciebie. Za ojca cynika, egoistę, konformistę!

- Wstydz się, synu! Wstydz! Wolałbyś, żeby mną poniewierano, bito, ciągnano po prokuraturach? Który z nas jest egoistą?

Nie możesz się biedaku pochwalić ojcem z więzienną przeszłością? Imponować, opowiadać obok kogo miałem zaszczyt spać na styropianie? Brak ci koneksji, powiązań?

- Skąd w tobie tyle złości, jadu, tyle goryczy i nienawiści? -Adam złapał się za głowę.

- U mnie? Jadu i nienawiści? Czy ja chcę kogoś sprawdzać, rozliczać, karać? Grzebać w ludzkich życiorysach i nie starając się zrozumieć motywów postępowania, publicznie piętnować, skazywać na ogólne, moralne potępienie? Nie masz pojęcia, jakie to były czasy! Bawi cię, że komuś przyłożysz? Skopiesz leżącego? To starzy ludzie, życie im już odpłaciło. Samo wymierzyło sprawiedliwość! Im nie potrzeba sędziów, im potrzeba lekarzy! Tym się zajmij. Szpital oddłuzcie, szkołami się zainteresujcie, drogi naprawcie. Zapracujcie na swoje diety. Niech ludzie widzą, że działacie, a nie zajmujecie się nadal zmianami nazw ulic.

- Uważasz, że możemy spokojnie pracować, dogadywać się z ludźmi, którzy donosili, kablowali, szpiegowali? Z kapusiami nie będę! Nigdy!

- Adam, rozum w gówno ci się zamienił? Przecież oni są stąd! Wszyscy ich znają. Od dziecka. Myślisz, że głosowaliby na nich? - ojciec nie myślał kończyć dyskusji.

- Ludzie są głupi! Głosują bez zastanowienia!

- Na ciebie też? Tak bez zastanowienia... - stary zaczął się śmiać. - Radny! Do pracy się zabierz, a nie szukaj tanich sensacji! Ciebie też kiedyś rozliczą! Pilnuj się! Uważaj i już szykuj sobie linię obrony. Pamiętaj, historia lubi się powtarzać!

Nie wytrzymałam! Weszłam do kuchni i próbowałam rozdzielić walczące strony. Na mój widok ucichli. Adam z wdzięczności, że przyszłam mu z odsieczą ucałował mnie w oba policzki.

- Ewuniu kochana... Dawno cię nie widziałem! - wołał radośnie.

Przyglądając się, oceniał moją sylwetkę jak znawca podziwiający obraz pędzla utalentowanego artysty.

- Wspaniale, przepięknie wyglądasz! Jak zawsze urocza! A on cię zostawił? Taką babkę porzucić dla starej żony? To debil... - starał się podnieść mnie na duchu.

- Jednak mógł... - przyznałam cicho. - Nazywam go teraz Panem S. Pan S.. równa się szuja, szubrawiec, sukinsyn, skurwiel! - szybko wyrzuciłam z siebie jak podrażniona żmija wypluwająca nagromadzony jad. - Pomożesz mi przestawić meble? - starałam się zmienić temat.

Ojciec spojrzał na mnie srogo.

- Tylko w pokoju - powiedziałam z naciskiem. - Do tego mam chyba prawo? - wołałam się jednak upewnić.

Tato zrezygnowany machnął ręką. Widocznie w starciu z Adamem zużył wszystkie swoje siły

Rozdział 2

- Odkąd pamiętam, nikt tu niczego nie przestawiał. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - Adam rozglądał się. - To ustawienie wydaje się być optymalne. Do głowy by mi nie przyszło...

- Tobie nie! Muszę wszystko zmienić, przestawić, uporządkować. To taka odwykowa terapia miłosna. W pierwszej kolejności ten stary obraz. Zawsze podziwiałam cię, że się go nie pozbyłeś. Przecież to kicz w najpiękniejszym wydaniu. Na tej łączce brakuje tylko namalowanego jelonka - szydziłam z wątpliwego dzieła sztuki.

Negatywne nastawienie do otaczającego mnie świata łatwo przelewałam na poszczególne przedmioty. Wszydzenie malowidła sprawiło mi dziwną ulgę. Zdałam sobie bowiem sprawę, że jest jeszcze coś, co może być brzydsze, śmieszniejsze i bardziej żalosne ode mnie.

Adam przyjrzał się obrazowi.

- Masz rację. Wygląda na to, że malarz bardzo się śpieszył i dlatego nie zdążył go domalować. Pewnie miał sporo zamówień na tego rodzaju widoczki i produkował je taśmowo - śmiał się. - Nie wiem... Ja bym się zastanowił, ojciec będzie wściekły, lepiej zapytajmy...

- Włóż na łóżko i zdejmuj! - rozkazałam. - Walnij nim o podłogę i po kłopocie. To stara rama, na pewno się roztrza-

ska. Powiemy, że ci wypadła. Zanim załatwi nową ramę, powieszę tu coś ładniejszego.

- Zgrabna intryga - pochwalił mnie Adam - ale czy się nam uda? Z ojcem nie jest łatwo.

Spojrzał na kwiecistą łąkę, która, jak wszystkie zgromadzone w pokoju przedmioty, straciła dawny blask, a wypłowiałe kolory mizernie imitowały piękno letniego dnia.

- Spróbować warto. W razie czego to był twój pomysł, ja jestem tylko narzędziem zbrodni - asekurował się Adam.

Siedząc w bujanym fotelu, obserwowałam jego poczynania. Ściągnął buty, dziarsko wszedł na skrzypiące łóżko i delikatnie zdjął obraz ze ściany, na której została niebieska plama, niemy świadek naszych knozań. Próbował zrobić krok i spokojnie stanąć na podłodze. Łóżko zafalowało, wydało głuchy pomruk sprężyn, dając nam do zrozumienia, że nie jest w stanie utrzymać takiego ciężaru. Adam zachwiał się, niebezpiecznie przechylił do przodu. Dzieło było sporych rozmiarów, rama drewniana, solidna. Nie wypuścił jednak z rąk swojego skarbu. Złośliwy obraz przeważył szalę i runął na ziemię, pociągając za sobą uczepionego ramy Adama. Zamarłam...

- Chyba odnieśliśmy sukces - mówił Adam, podnosząc się z podłogi i otrzepując zabrudzoną koszulę.

Pochyleni nad zrujnowanym malowidłem z przyjemnością konstatowaliśmy ogrom zniszczenia.

Rama rozpadła się na drobne kawałki. Wypłowiałe płótno podarło się w trzech miejscach, a zabezpieczająca je od tyłu dykta, pognieciona i zdeformowana, leżała obok. Udało się. Koniec z łączką, na której zabrakło jelenia.

- Zaplanuj, jak chcesz tu ustawić, a ja tymczasem posprzątam - spokojnie powiedział Adam, zbierając z dywanu resztki ramy. - Ewa - dodał ściszym głosem. - Zobacz! Tu coś jest...

Stałam za jego plecami.

- Ale kino! To było ukryte między płótnem a dyktą. Jak myślisz, co to może być? - patrzył na mnie ze zdziwieniem.

W ręce trzymał pożąłką kopertę.

- Może to certyfikat potwierdzający wartość obrazu - szydziłam. - Kossak to przecież nie był... Otwórz to się dowiemy.

Usiedliśmy na ławie w wykuszu. Patrzyliśmy to na siebie, to na pożąłką kopertę. Adam z namaszczeniem obracał ją w palcach, gładził, oglądał ze wszystkich stron.

- Dosyć. Otwieramy - poganiałam go, jednak bez entuzjazmu.

Rozdział 3

Nie mogliśmy uwierzyć. Dziecięce marzenia o ukrytym skarbie stały się prawie realne. Plan, z dokładnymi wskazówkami, leżał na stole. Wpatrywaliśmy się w niego jak w hipnotycznym półśnie. Dwoje dorosłych ludzi po czeiaviestce! Pożeraliśmy wzrokiem każdy szczegół z pożółkłego świstka papieru. Owszem, nie przeczę, chciałam zmienić swoje życie, sprawić, żebym poczuła się młodsza. Nie myślałam, że odmłodzę się do tego stopnia i stanę się poszukiwaczką tajemniczych, dawno ukrytych, bliżej niesprecyzowanych przedmiotów. Wiadomo, pieniądze, jak magnes, przyciągają szczęście. A jeśli to naprawdę są zbierane przez naszych przodków oszczędności? Z miny Adama mogłam wywnioskować, że myśli podobnie. Na jego twarzy pojawiły się wypieki podniecenia, oczy nabrały promiennego blasku. Nie odrywając wzroku od karteczki, bębnił palcami dłoni o blat stołu.

- Powinniśmy powiedzieć tacie... - sugerowałam.
- Ani się waż! - zgromił mnie Adam. - Jak go znam, wyrzuci plan i tyle będzie z naszego skarbu! Nic nie powiemy. Sami sobie poradzimy, a jak już odnajdziemy ukryte precjoza, wtedy się z nim podzielimy.
- Nie wiem, jak ty to sobie wyobrażasz - zastanawiałam się. - Ojciec nie jest głupi. Zorientuje się, że kombinujemy i dopiero będzie chryja. Pilnuje nas jak dzieci. Patrzy nam na ręce.

Kroku nie można zrobić, żeby cię nie upomniał i nie dociekał powodów twojego postępowania.

- Zachowajmy spokój i zdrowy rozsądek - prosił Adam. - Pokonamy go sprytem. Trzeba tak prowadzić poszukiwania, żeby ojciec myślał, że jesteśmy zajęci jakimiś remontem, porządkami. Wtedy się skoncentruje na przeszkadzaniu nam, będzie musiał skierować wszystkie swoje siły na to, co my mu wskażemy.

- Jednym słowem, kamuflaż - podsumowałam. - Mi nic do tego, ja mam inne zmartwienia. Cały ten plan jest mocno podejrzany. Skąd wiemy, że przedstawia strych naszego domu?

- Nie kracz! Wszystko będzie dobrze, ale nikomu ani słowa. Ja nawet Grażynce nie powiem! - obiecywał. - Łączy nas teraz tajemnica.

- To może złożymy przysięgę, zawrzemy przymierze krwi? - ironizowałam.

- Nie wygłupiaj się! To poważna sprawa - zganił mnie Adam. - Musimy działać z rozmysłem, ostrożnie.

- Nie gniewaj się - prosiłam - ale to śmieszne. Kto i dlaczego miałaby schować ten idiotyczny plan za kiczowatą łączką? Czysty absurd, pomyśl logicznie.

Adama widocznie myśl o znalezieniu fortuny pochłoneła do tego stopnia, że nie był już w stanie powstrzymać rozbudzonej wyobraźni. Nie docierały do niego moje słowa, snuł daleko idące plany. Mężczyźni nigdy nie pozbywają się naiwności małych chłopców. Widząc upragniony cel na horyzoncie, są gotowi poświęcić własne życie, aby zaspokoić pragnienia. Dobrze, jeżeli narażają się sami. Czasem jednak posuwają się do ostateczności i właśnie dzięki temu dochodzi do wojen, które mają spełnić chłopięce marzenia, sny o potędze i bogactwie. Adam z całą pewnością należał do mężczyzn o dziecinnym usposobieniu. Realizował każdy, nawet najbardziej niedorzeczny pomysł, nie

patrzac przy tym na wyrzeczenia, jakie ponosila jego rodzina. Nie byl w stanie pogodzic sie z porazka. Skarb byl na wyciagniecie ręki. Odstapienie od poszukiwan uwazalby za osobista klęskę. Wiedzialam juz, ze dopoty nie spocznie, dopoki nie dowie sie, jaka tajemnice skrywaja sciany starego domu. Stalam sie jego sojusznikiem wbrew swojej woli. Pech chcial, ze odnalezienia planu dokonal w mojej obecności. Jedyną nadzieją mogła byc myśl, ze zwycięzy zdrowy rozsadek, a czas ostudzi jego zapal. Postanowilam dac mu kilka dni do namyslu.

- Czy do tego pokoju jest klucz? - zapytalam.

- Jest - ucieszył sie, myslac, ze bezkrytycznie przyjelam jego taktykę.

- Zrobimy tak - zaproponowalam. - Przez najblizsze dni, przypilnuje, zeby ojciec tu nie zagladal.

Kiedy sie juz troche zadomowie, wtedy podejmiemy decyzje, co dalej. Na razie zapominamy o skarbie. Udajemy, ze nic sie nie stalo. Przyczajamy sie jak koty do skoku. Nasze dzialania musza byc dobrze przemyslane.

Rozdział 4

Wisząca nad stołem lampa nie oświetlała całej kuchni. Nigdy dotąd nie zwróciłam na to uwagi. Krąg światła obejmował zaledwie połowę pomieszczenia. Dziwne usytuowanie żyrandola (nie wisiał on na środku sufitu) sprawiało wrażenie, jakby w ciemnych kątach kuchni czaiły się duchy dawnych mieszkańców. Czułam na plecach ich chłodne oddechy. Złudzenie mogło być wywołane rozmową, jaką prowadziłam z ojcem. Śmierć sąsiada była przyczynkiem do wspomnień, rozważań na temat przemijania, tęsknoty za utraconymi na zawsze bliskimi nam osobami. Od odejścia mamy minęło prawie ćwierć wieku, ale jej obecność nadal była widoczna i mimo upływających lat, wydawało mi się, że czuję jej zapach. Zamknięte drzwi pokoju, w którym chyba od czasu jej śmierci nic się nie zmieniło, pilnie strzegły minionej miłości. Tata często przesiadywał w nim godzinami. Potrafił się odgradzić od realnego świata, owinać się w kokon tęsknoty i wspomnień. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem, próbowaliśmy wdrzeć się w tę jego samotność. Stanowczym zakazem zabronił nam wstępu do pokoju mamy. Adama intrygowało, co ojciec tam robi, ja uszanowałam jego prawo do intymności.

- Pamiętam Zawilaka jako człowieka nadpobudliwego, niezadowolonego z życia raptusa - mówiłam.
- Głupi cwaniaczek - potwierdził ojciec. - Sam sobie winien! Chciał być honorowy!

- Zналиście się od dziecka? - zapytałam.

- Nie - zaprzeczył. - Tu mieszkała rodzina mamy. Ja przeprowadziłem się dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. Znałem go wcześniej, często z mamą tu przyjeżdżaliśmy.

- Ale przyjaźniliście się - podtrzymałam rozmowę.

- Tego bym nie powiedział. W pewnym sensie byliśmy na siebie skazani. Zawilak nigdy nie przestał kochać Janki. Czuł się jak Romeo, którego los odseparował od wyidealizowanej Julii. Faktem jest, że ożenił się na złość Jance. Myślał w swojej głupocie, że w ten sposób ją ukarze. Sam wpakował się w piekło - ojciec uśmiechał się ironicznie.

- Nie wiedziałam, że w młodości Zawilak i ciocia Janka już mieli się ku sobie - przyznałam.

- Mieli, mieli... To chyba taka rodzinna tradycja. Brat twojej babki kochał się w siostrze ojca Zawilaka, potem Janka i Stachu, a w końcu ty i Marek. Nie musisz się czerwienić, dobrze wiem, że się w nim podkochiwałaś - mówił ojciec, podając mi kanapkę.

Wykorzystałam to jako pretekst do przerwy w rozmowie. Jadłam powoli, przeżuając każdy kęs. Lubiłam Marka, ale znałam go słabo. Dwie, może trzy nasze randki nie wystarczyły, abyśmy mogli naprawdę zbliżyć się do siebie. W sumie brakowało nam wspólnych zainteresowań. Nasze domy dzielił jedynie drewniany płot, ale stosunki sąsiedzkie były raczej chłodne i sporadyczne. Marek szybko wyjechał. Nie chodził z nami do tutejszego liceum. Po rozwodzie jego rodziców rzadko odwiedzał ojca.

- Ten podstarzały Romeo jeszcze wiosną szukał u nas skarbu - mówił ojciec. - Twierdził, że na naszym strychu są ukryte jego miłosne listy. Podobno Janka z mamą tam je schowały. Ciotka wyznała mu to na łożu śmierci i prosiła o ich odszukanie oraz spalenie dowodów ich głupoty. Sami nie pamiętali,

o co im poszło. Dwa tygodnie przed ślubem pokłócili się na śmierć i życie o drobiazg, który wyparował z ich pamięci jak kamfora.

- I co? Znalazł? - zainteresowałam się.

Skojarzyłam sobie plan z ukrytymi listami. Skarb na strychu nie był chyba przeznaczony dla nas, a szukanie go w tych okolicznościach wydawało mi się niesmaczne.

- Nie znalazł - cieszył się ojciec. - Zastanawiam się jednak, czy on rzeczywiście aż tak bardzo kochał Jankę, jak sam mówił. Prawdą jest, że po jej śmierci od razu zapadł na zdrowiu. Przez ostatni miesiąc siedziałem przy nim dzień i noc. Wycierpiał się, ale znosił to dzielnie. Chwilami nawet mi imponował.

- Ty się nim opiekowałaś? A gdzie rodzina? Żona, syn, siostra? - wypytywałam, myśląc, że jestem sprytna.

- Adam zawiadomił Marka, ale nie wiemy, czy się pokaże. Będziesz musiała to jakoś przeżyć - drwił ze mnie. - Nie warto czekać na starą miłość, wierzyć, że wybuchnie z nową siłą. Miłość, jak człowiek, po latach staje się koślawa, obwisła i nie-apetyczna. Nie rób sobie złudzeń. Jeśli się zjawi, to na pewno z żoną i dziećmi.

Zrobiło mi się przykro. Nie powiem, spotkanie z Markiem mogło być przyjemne, ale nie robiłam sobie najmniejszych nadziei na jakikolwiek związek. Nawet o tym nie pomyślałam. Nie jestem starą panną, która chce złapać każdego pojawiającego się na jej drodze mężczyznę. W sumie jestem niezależna! Sytuacja ta ma również swoje dobre strony. Potrafię ułożyć sobie życie. Nasza rozmowa niebezpiecznie zmierzała w kierunku mojej osoby. Uznałam, że najwyższy czas, aby położyć się i odpocząć.

- Pójdę na górę. Jestem zmęczona. Jutro posprzątam -oznajmiłam, ziewając na pokaz.

- Idź, idź... - oschle pożegnał mnie ojciec.

Nachyliłam się, chcąc pocałować go w policzek. Ostentacyjnie odchylił głowę. Niezły teatrzyk odegraliśmy. Ja jako kochająca córeczka, on jako niedobry ojciec. Ciekawe, które z nas było bardziej przekonywające i bliższe prawdy.

Rozdział 5

Przez grube zasłony przedzierało się skąpe światło wczesnego poranka. Z dołu dobiegały odgłosy rozmowy, dziwne trzaski i szmery. Wyskoczyłam z łóżka i wybiegłam na korytarz, ale po kilku krokach zorientowałam się, że tata nie rozmawia z Adamem. Obcy, męski głos z całą pewnością nie należał do mojego brata. Ożywiona konwersacja wypełniała stary dom. Przysiadłam na schodach i przysłuchiwałam się.

- Czego się napijesz? - pytał ojciec dziwnie, jak na niego, uprzejmym głosem.

- Kawy - lakonicznie odpowiedział gość.

- Jak chcesz - niechętnie zgodził się tata. - Powinieneś się trochę przespać. Trudne przeżycia przed tobą.

- Tak... - przyznał gość.

- Długo zamierzasz tu zostać? - dopytywał ojciec, krzątając się po kuchni.

- Nie wiem. Jeśli mi się uda, to do końca - dwuznacznie, wymijająco oznajmił gość.

- Przejechałeś kawał świata. Jesteś jego jedynym, najbliższym krewnym. Pogrzeb nie trwa długo.

Jakoś musisz to wytrzymać. Myślałem, że zostaniesz kilka dni. Stachu zostawił testament. Wiem, bo byłem świadkiem. Bogactwa tu nie ma, ale jest dom, posesja, samochód. Trzeba coś z tym zrobić. Nie można pozostawić tego na pastwę losu. Człowiek pracował na

to całe swoje życie. Ktoś to musi zrobić, chociażby wyrzucić na śmietnik, spalić.

- Komu to zapisał? - zainteresował się gość.

- Jak to komu? - zdziwił się ojciec. - Tobie!

- Wie pan, pytam, bo różnie w życiu się układa. Myślałem, że może pani Jance... Nie miałbym o to pretensji - tłumaczył gość.

- Pewnie by jej coś zostawił, ale nie mógł - wyczułam w głosie ojca zjadliwą ironię.

- To nie moja sprawa. Ja się w to nie mieszam. Każdy jest kowalem własnego losu - odpowiedział gość. - Ona tam mieszka?

- Nie - krótko oznajmił tata.

- Nie chciałbym mieć z nią nieprzyjemności. Rozumie pan? Czy ona ma jakieś prawa związane z tym domem? - dociekał gość.

- O ile wiem, w tej chwili nie posiada żadnych praw. Posesja i wszystko, co się na niej znajduje, należy do ciebie. Janka już swoją część majątku dostała i na pewno nie upomni się o resztę - zapewniał tata. Rozmowa ucichła. Słyszałam tylko odgłosy jedzonego śniadania. Cicho podniosłam się i wróciłam do swojego pokoju. Najchętniej weszłabym pod prysznic, ale łazienka znajdowała się na dole.

Zrezygnowałam więc z mycia. Ubrałam się pośpiesznie, nakładając pierwsze lepsze ciuchy. Ja też miałam ochotę na kawę. Uczesałam włosy i spojrzałam w małe lusterko, niestety, bez makijażu wyglądałam nieszczęśliwie. Zerknęłam na zegarek. Dwadzieścia po piątej! O tak wczesnej porze nie będę się malować, choćby na dole siedział sam książę Karol we własnej osobie. Wywnioskowałam z rozmowy, że to nie był książę tylko Marek. Trudno, zobaczy mnie w pełnej krasie. Bez korekty. Tak jak natura i przemijające lata mnie ukształtowały.

Rozdział 6

Marek wyglądał uroczo. Siwe włosy nadawały mu powagi. Okulary w cienkich, czarnych oprawkach podkreślały inteligentny wyraz twarzy. Lekkie bruzdy zmarszczek wokół oczu i podbródka świadczyły o sporym życiowym doświadczeniu. Ubrany był w dżinsowe, firmowe spodnie i w elegancką, sportową koszulę w delikatną niebieską kratkę, która wspaniale komponowała się z jego niebieskimi, ciągle pełnymi blasku, oczami. Wydawał mi się wyższy niż przed laty. Zmężniał. Biorąc pod uwagę jego wiek, prezentował się znakomicie. Nawet lekko widoczny brzuszek nie był w stanie popsuć dobrego wrażenia. Widząc mnie w drzwiach kuchni, podniósł się z krzesła, wstając do powitania. Dopiero wtedy zauważyłam bliznę na jego prawym policzku. Przecinała gładko wygoloną twarz, jak niemy świadek tragicznych wydarzeń.

Nie potrafię składać kondolencji. Ciarki przechodzą mi po plecach, czuję się irracjonalnie winna, speszona. Boję się żywych, nie umarłych. Od lat wypracowałam sobie sposób, aby ten przykry obowiązek ograniczyć do jednego słowa i dwóch szybkich pocałunków w policzek. Podchodząc do Marka, myślałam, czy w tym wypadku wystarczy jeden całus. Blizna nie odstraszała mnie, w końcu jestem lekarzem. Nie chciałam być nietaktowna. Nie znałam pochodzenia rany. Bałam się, że może sięga ona głębiej, aż do serca. Zastanawiałam się, który

policzek nastawiamy najpierw do całowania? Prawdopodobnie prawy, ale nie byłam pewna. Decyzję mu zostawiłam. Jeżeli nastawi drugi, trudno, pocałuję. Uśmiechając się smutno, wyciągnęłam do niego rękę. Ujął ją w obie dłonie, przez ułamek sekundy rozkoszował się naszym dotykiem, potem podniósł i ucałował.

- Przykro mi - starałam się nadać łagodne brzmienie głosowi.

Obyło się bez dodatkowych pocałunków. Marek skinął głową, wypuścił moją rękę z ciepłych dłoni i odpowiedział jakby od niechcenia.

- Dziękuję.

Poczułam ulgę. Smutne obowiązki mieliśmy za sobą, przynajmniej na razie. Tata postawił na stole filiżankę z kawą.

- Zjesz coś? - spytał.

- Może trochę później - przesłałam mu przepaszający uśmiech.

- Tak, tak... - zrzędził ojciec. - Kawa na czczo... Długo tak nie pociągniesz.

- Tato - prosiłam.

Jego uwaga wydała mi się nie na miejscu. Z ulgą zauważyłam, że Marek uśmiecha się dyskretnie. Piłam kawę i spoglądałam na zdezelowany płot za oknem. W promieniach porannego słońca jego spróchniałe sztachety nabrały innego wyrazu. Sterczały dumnie, jakby drwiąc sobie z przemijania. Otaczająca je trawa ugięła się pod podmuchami wiatru, a one wciąż trwały nieporuszone.

Wspomnienie dawnej świetności kazało im tkwić na posterunku, odgradzać świat zmarłego Stacha Zawilaka od nadal żywego świata mojego ojca.

- Wszystko jest przygotowane - odezwał się tata. - Adam pomyślał nawet o stypie. Musisz skontaktować się z nim, może coś będziesz chciał zmienić, zrobić po swojemu.

- Nie, nic nie będę zmieniał. Na pewno wszystko jest w porządku. Rozliczę się z nim po pogrzebie. Jestem bardzo wdzięczny, że tak się zaangażowaliście. Prawdziwych przyjaciół poznajemy po czynach, nie po słowach - mówił Marek, nie patrząc na żadne z nas.
- Jego reakcja nie zdziwiła mnie. Boimy się ludzi, którzy nam pomogli. W pewnym sensie jest to uzasadnione. Poznali nasze słabe strony. Obnażyliśmy się przed nimi ze swoją bezradnością. Trudno wymagać od nas wdzięczności w chwili, kiedy czujemy się upokorzeni własnymi ułomnościami. Tym razem ojciec wykazał dużo taktu.
- Koszty pogrzebu pokrywa ubezpieczenie - stwierdził lakonicznie. - Nie ma o czym mówić. Podpiszesz kilka papierków i to wystarczy. Naszykowałem ci pokój. Połóż się, prześpij - zachęcał.
- Dobrze - zgodził się Marek.

Rozdział 7

Rozpakowałam swoje rzeczy. Nie było tego dużo. Układając w szafie bluzki, bieliznę, starannie rozwieszając spodnie i spódnice, doszłam do wniosku, że dorobku mojego dotychczasowego życia nie można nazwać imponującym. Na domiar złego, znaczną część garderoby stanowiły prezenty od byłego partnera. Gust miał dobry. Ubierał mnie ze smakiem. Jediną wadą kupionych przez niego ubrań był kolor. Brązowy. Wszystko brązowe! Dlatego przez dziesięć lat byłam monotematyczna, a jednak nie udało mi się wkraść w jego świat. Nie pasowałam do koncepcji mąż, żona, dzieci. Powinnam przewidzieć koniec naszej znajomości. Osoba preferująca jedną barwę z całą pewnością ma skłonność do stagnacji i niechęć do zmian w swoim otoczeniu. Ja nie mieściłam się w kanonie, byłam dysonansem burzącym ład i porządek. Wtargnęłam w jego ustabilizowane życie i mimo tego, że nie miałam nic wspólnego z rozpadem jego małżeństwa, musiał w duchu mnie o to oskarżać. Uznałam, że najwyższy czas zmienić nie tylko swoje życie, ale przede wszystkim swój *image*. Do pogrzebu miałam jeszcze sporo czasu. Spojrzałam w małe lusterko i nie musiałam się nawet pytać, co należy zrobić. Włosy, podstawa zadbanego wyglądu, a co za tym idzie, dobrego samopoczucia. Pojedyncze siwe kędziorki złośliwie wysuwały się na pierwszy plan. Szaro-czarne odrosty kontrastowały z wypłukaną miedzią. Odtrącona, porzucona

kobieta podświadomie zdaje sobie sprawę ze swojego wyglądu, tej swoistej wizytówki zdradzającej stan ducha i jeszcze bardziej poniżającej jej godność z racji uzewnętrznienia poniesionej straty i przeżywanego bólu. Irracjonalnie sądzi, że wystarczy zadbać o pozory, aby udało się ukryć cierpienie, oszukując tym samym los, wierząc, że się odmieni i pozwoli się odrodzić w postaci pięknej dziewczyny, dając następną, może tym razem w pełni wykorzystaną szansę na szczęście u boku czulszego mężczyzny. Nic bardziej mylnego. A jednak postanowiłam wybrać się do fryzjera... Szybki letni prysznic zmył ślady niewyspania. Pogoda była piękna. Postanowiłam, że dopasuję swój nastrój do panującej na dworze aury. Nałożyłam żółtą bluzkę, białe spodnie, wprawnym ruchem pociągnęłam usta czerwoną pomadką. Włożyłam znaleziony wczoraj plan do torebki i nie bacząc na konsekwencje swojej decyzji, wybrałam się do miasta. Siedząc już w samochodzie odebrałam telefon od Adama.

- Słuchaj, wszystko przemyślałem - mówił.
- O Boże! - wystraszyłam się. - Przemyślałeś wszystko! Co to znaczy wszystko?
- Nie żartuj. Mówię o skarbie - denerwował się.
- Daj spokój. Nie ma żadnego skarbu - śmiałam się. - Rozmawiałam z tatą.
- Zwariowałaś? A nasza umowa... Ja nikomu nie powiedziałem - wściekał się.
- Dobrze zrobiłeś. Ja też nie powiedziałam, ale już wiem, co tam jest schowane.
- Byłaś na strychu? Sama? - Adam najwyraźniej miał do mnie pretensje.
- Nigdzie nie byłam. Tata powiedział mi, że na strychu ukryte są listy miłosne Stacha Zawilaka do cioci Janki i że mama pomagała w ich ukryciu - opowiadałam. - Podobno

Zawilak szukał ich, ale nie znalazł. O planie ojciec chyba nie wie, to zapewne robota cioci Janki. Tak czy owak to nie skarb, tylko już nikomu niepotrzebne dowody miłości. A swoją drogą, to nie wiedziałam, że oni mieli się pobrać.

- A to menda! - syczał Adam.

- Kto? O kim mówisz? - dziwiłam się.

- Jak to kto? Stachu Zawilak. Niezły kit ojcu wstawił, musiał wiedzieć o skarbie. Bezczelny! Myszkował po naszym strychu i nawet ojcu nic nie powiedział. I co mu z tego przyszło? Myśli, że zabrał tajemnicę do grobu, cwaniaczek jeden - Adam snuł spiskową teorię. - Ciekawe, czy zostawił jakieś znaki dla Marka. Trzeba go będzie pilnować. To twoje zadanie. Nie spuszcza go z oczu. Wara od naszego strychu! Na swoim niech sobie grzebie, ile chce - śmiał się. - Skarb jest nasz, bo pod naszym dachem.

- Adam, opamiętaj się - prosiłam. - Tam nic nie ma.

- Nie bądź naiwna! Listy? Plan do schowka z miłosną korespondencją? Ewo, ile ty masz lat? Ojciec chyba jest już dziecinniały, jeśli dał się na to nabrać. A może się nie dał? Udaje głupka i podpowiada nam, co mamy robić? To nawet ma sens. Niby on nic nie wie, niby Zawilak szukał... Stary ma jeszcze resztki zdrowego rozsądku - cieszył się Adam.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że ma. Więcej od ciebie. Co ci się stało? Mówisz jak potłuczony! Nie mam siły udowodniać ci, że jesteś w błędzie - stwierdziłam bezradnie.

- Nie denerwuj się Ewuś! Jutro sprawdzimy i będziemy bogaci! - promieniał.

- Dziś jest pogrzeb, zostawmy te przyziemne sprawy na boku. Skarb może poczekać. Teraz jadę zrobić się na bóstwo.

- Świetny pomysł - pochwalił mnie. - Dobrze by było, gdybyś zawróciła Markowi w głowie. Będzie myślał o pierdo- *ozaziat o łach*, a my spokojnie przeprowadzimy poszukiwania.
- Mam tego serdecznie dosyć! - krzyknęłam.
- Baw się dobrze! - Adam szybko zakończył rozmowę.

Rozdział 8

Wysiadłam w centrum, w miejscu moich wspomnień. Będąc dzieckiem, uwielbiałam ten mały rynecek. Kiedy wracałam ze szkoły, musiałam zrobić kilka okrążeń, dokładnie obejrzeć wszystkie wystawy, przeczytać repertuar kina wiszący na okrągłym słupie, i dyskretnie zajrzeć przez okna do jedynej w mieście kawiarenki. Dopiero w klasie maturalnej odważyłam się zasiać w jej wnętrzu i zamówić kawę. Byłam dumna z tej swojej dorosłości, jakże pewna tego, że ze świadectwem dojrzałości wyruszę w świat i powrócę tu okryta sławą, a wtedy wszyscy będą mi się kłaniali, wieszowali sukcesów i główną uliczkę miasta nazwą moim imieniem. Konfrontowałam marzenia z rzeczywistością. Sukces nie był moim udziałem. Uliczkę przemianowano, ale niestety nadal nie nadano jej mojego imienia. Ze Świerczewskiego zmieniono ją na Piłsudskiego, jak prawie we wszystkich miastach w Polsce. Nie umiałam odnaleźć dawnej świetności małego ryneczku. Po kawiarni nie ma już śladu. Na jej miejscu powstał bank. Nie było też słupa z ogłoszeniami, dawno zlikwidowano kino, więc widocznie nie było czego ogłaszać. Mieszkańcy miasteczka znali się jak łysy konie, ja jednak wśród mijających mnie przechodniów nie potrafiłam odnaleźć ani jednej znajomej twarzy. Mimo słonecznej pogody, otaczające mnie budynki wyglądały szaro i prawie słyszałam ich niemą prośbę o przywrócenie dawnej świetności.

Rozdział 9

Byłam jedyną klientką i już to powinno wzbudzić moją czujność, niestety - pochłonięta wspomnieniami i rozpatrywaniem poniesionej klęki - nie zwróciłam na ten fakt należytej uwagi. Pomieszczenie było nieduże, widne, schludnie urządzone. Na ścianach wisiały fotografie przedstawiające modelki z artystycznie ułożonymi kokami, lokami, krótkimi włosami obciętymi z wielką finezją. Przyglądałam się im, próbując dopasować odpowiednie uczesanie do swojej urody i nastroju. W drugim pokoiku, stanowiącym zaplecze salonu fryzjerskiego (szyld nad wejściem dumnie ogłaszał: Salon fryzjerski), przy otwartym oknie stała młoda kobieta w białym fartuszk. Palila papierosa, rozmawiając jednocześnie przez telefon. Ruchem głowy zachęciła mnie, abym usiadła w fotelu ustawionym przed wielkim lustrem. Rozsiadłam się, zamknęłam oczy i spokojnie czekałam. Fryzjerka zakończyła rozmowę, zgasiła niedopalonego papierosa i z wymuszonym uśmiechem na twarzy pojawiła się obok mnie.

- Myjemy? - zapytała znudzonym głosem.

- Nie, dziękuję. Wybrałam tę skromną fryzurkę - wskazałam na wiszące obok lustro zdjęcie.

- Z modelowaniem? - fachowo zapytała młoda fryzjerka.

- Oczywiście - stwierdziłam.

Fryzjerka, nie pytając o dalsze szczegóły, zabrała się do pracy. Uznałam to za dobry znak i postanowiłam oddać się

własnym myślom. Zamknęłam oczy i prawie zapadłam w półsen. Nożyczki rytmicznie dźwięczały nad uszami, a ja starałam się wyobrazić sobie moje życie w tym miasteczku. Strzyżenie nie trwało długo i dziewczyna przystąpiła do modelowania. Szum suszarki, ciepły powiew powietrza, sprawił, że moje myśli pognały w innym kierunku. Gdyby Adam miał rację i na naszym strychu znaleźlibyśmy skarb, może mogłabym się wyrwać z tego marazmu. Kupiłabym nieduże mieszkanie w Warszawie, znalazła pracę w jakiejś osiedlowej przychodni i korzystała z życia, a przede wszystkim bez celu podróżowałabym po całej Europie. Zdawałam sobie sprawę z tego, że nie są to oryginalne marzenia, ale wyszłam z założenia, że lepiej mieć takie niż żadne.

Suszarka ucichła. Fryzjerka zdjęła z mojej szyi ochronną pelerynkę. Spojrzałam w lustro... Zamarłam!

- Proponowałabym farbę - beznamiętnie mówiła dziewczyna.

Nerwowo spoglądałam na fotografię modelki z wybraną przeze mnie fryzurą i na własne odbicie w lustrze. Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

- Ile jestem pani winna? - wycodziłam przez zaciśnięte zęby.

Bałam się szerzej otworzyć usta, żeby niechcący nie wypuścić z siebie krzyku rozpacz.

- Strzyżenie kosztuje piętnaście złotych, modelowanie... - wyliczała fryzjerka.

- Razem! - poganiałam ją. - Ile razem?

- Jak dla pani, dwadzieścia pięć złotych - powiedziała i przypieczętowała targ miłym, w jej mniemaniu, uśmiechem.

- Jak dla mnie? - szydziłam, patrząc jej prosto w oczy. Wyjęłam z portmonetki trzydzieści złotych i ostentacyjnie

czekałam na wydanie reszty. Niewydarzona fryzjerka wolnym

krokiem skierowała się na zaplecze. Patrzyłam w lustro i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Na głowie miałam męską fryzurę! Krótko obcięte włosy unosiły się dzięki zabiegowi modelowania, stercząc jak sztachety w płocie dzielącym nasze podwórko od obejścia Zawilaków. Wyglądałam okropnie. Najchętniej zażądałabym odszkodowania za poniesione straty moralne, ale patrząc na wracającą właśnie fryzjerkę, zrezygnowałam z jakichkolwiek roszczeń i wyrywając jej z dłoni pieniądze, wybiegłam z salonu.

Oszołomiona stałam na małym ryneczku. Cała małomiasteczkowa paranoja zmieściła się na mojej głowie. Niosłam ją jak koronę cierniową, dowód napiętnowania i klęski. Nawet gdyby w miasteczku był jeszcze jeden zakład fryzjerski, nie stanowiłoby to dla mnie pociechy. Drugi raz nie dam się wystrychnąć na dudka! Trudno, postanowiłam się nie załamywać. Dumnie wyprostowana, ruszyłam przed siebie. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że moja fryzura nie budzi najmniejszego zainteresowania wśród mijających mnie przechodniów. Uważnie przyglądałam się ich głowom. Większość kobiet miała identyczne fryzury jak moja. Widocznie to lokalna moda, myślałam wystraszona. Bunt nie zda się na nic. Przeglądałam się w mijanych wystawowych oknach. Zatrzymałam się przed pasmanterią, zza szyby której barwne apaszki i jedwabne szaliki mieniły się kolorami tęczy. Znalazłam wyjście z tej nieciekawej sytuacji. Za kilka godzin powinnam towarzyszyć ojcu na pogrzebie. Zakryję tę kopę siana! O dziwo, ale w tym małym sklepiku znalazłam również czarną, lekko lśniącą chustkę. Na dziś będzie odpowiednia. Sprzedawca tak bardzo ucieszył się z moich odwiedzin, że z wyrazem największego zadowolenia wykładał na ladę cały asortyment apaszek, chustek, chusteczek i szaliczków. Przykładał je do swojej piersi, zarzucał na ramiona, a kiedy już przypominał pstrokatego stracha na wróble, kolejne

szmatki nakładał sobie na głowę. Najwyraźniej próbował mnie rozśmieszyć, a przynajmniej wprawić w lepszy humor.

- W taki dzień jak dzisiaj, musi pani kupić coś wesołego, barwnego - doradzał mi.

- Idę na pogrzeb - mówiłam spokojnie.

- Rozumiem. W takim razie powinna pani zawiązać tę czarną, uroczą chusteczkę z tyłu szyi. Proszę spróbować - proponował.

Posłuchałam jego sugestii. Postawił na ladzie przenośne lusterko, abym mogła przejrzeć się i dokonać wyboru.

- Wygląda pani pięknie! Jak za dawnych lat... - powiedział, wpatrując się we mnie jak w obrazek.

Chwilę przyglądałam się jego twarzy, lecz nie znalazłam w swojej pamięci jej odpowiednika sprzed dwudziestu lat.

- Czy my się znamy? - zapytałam troszeczkę speszona.

- Trudno powiedzieć... - uśmiechał się. - Chodziliśmy do jednej klasy, ale czy to pomogło nam we wzajemnym poznaniu się? Raczej nie... - filozofował.

- Nie wszystko stracone... Wróciłam na stałe - kokietowałam go, sama nie wiem dlaczego.

- Wiem - odparł krótko.

- Zapomniałam, gdzie jestem. Tu wszyscy wszystko wiedzą! Wybacz, że cię nie poznaję...

- Prawdę mówiąc, bardzo bym się zdziwił, gdybyś mnie poznała. Jestem Zbyszek Sieradzki. Zawsze byłem niepozorny, nierzucający się w oczy. Ty byłaś gwiazdą! Ciebie nie można zapomnieć! Dziwię się tylko, że wróciłaś?

- Też się dziwię - zdobyłam się na szczerość. - Myślę, że wszyscy szukamy swojego miejsca. Ja jeszcze nie znalazłam. Wyszłam z założenia, że aby zacząć wszystko od początku, muszę startować z punktu wyjścia. Nie jestem jednak pewna, czy to słuszna teza.

- W każdym razie śmiała. Trzymam kciuki! Kto wie, może jesteś takim Koziółkiem Matołkiem w spódnicy? - żartował.

- Zobaczymy! Od wczoraj prześladowuje mnie pewien rozwalający się płot... Kto wie...

- Weź też tę żółtą apaszkę - zaproponował mi. - Pasuje do ciebie.

Rzeczywiście. Rozłożyłam ją na ladzie. Na żółtym tle nieduże słoneczniki. Chętnie zdjęłam z głowy czarną chustkę.

- Nie powinnaś korzystać z usług miejscowych fryzjerów - śmiał się Zbyszek, widząc, jak moje niesforne, źle obcięte włosy unoszą się do góry.

- Właśnie. Zastanawiam się, co robią tutejsze kobiety? Przyglądałam się im na ulicy. Wszystkie są obcięte na jedną modłę. Doszłam do wniosku, że przynajmniej nie wyróżniam się z tłumu. Masz żonę?

- zaciekałam się.

- Pewnie, że mam. I dwie córki!

Ostentacyjnie rozglądałam się, czy aby nikt nas nie obserwuje. Nachyliłam się nad ladą, zbliżając twarz do Zbyszka.

- Znasz ich fryzjera? Może mają jakiegoś stylistę? - mówiłam konspiracyjnym szeptem.

- O stylistę tu raczej trudno - śmiał się serdecznie. - Sam je strzygę! Patrząc na ciebie, zastanawiam się, czy coś z tym jeszcze można zrobić?

- Myślisz, że można? - ucieszyłam się.

- Poczekaj dwa, trzy tygodnie, a potem przyjdź do mnie. Obetnę, ułożę, wymodeluję! Będzie dobrze, zobaczysz. Przymierz jeszcze tę żółtą. Poprawi ci zły humor.

Nadal nie mogłam przypomnieć sobie jego twarzy z czasów naszej młodości. Rozmowa z nim wprowadziła mnie w dobry nastrój. W żółtej chustce na głowie wyglądałam wyjątkowo młodo. I pomyśleć, że taki miły, ciepły facet dorastał kiedyś obok mnie, a ja nie zwróciłam na niego najmniejszej uwagi.

Zacęłam sobie wyobrazać, jakby wyglądało moje życie, gdybym była trochę mądrzejsza i potrafiła odnajdywać w ludziach to, co najważniejsze, a nie koncentrowała się na pozorach, powierzchownych walorach. Zbyszek na pewno wieczorami siedzi z żoną i córkami przy kuchennym stole. Żartując i śmiejąc się, opowiadają sobie wydarzenia minionego dnia. Piją herbatkę, jedzą ciastka i obgadują mieszkańców miasteczka! Potem włączają telewizor i wspólnie oglądają kolejny odcinek kiepskiego serialu, podziwiając urodę i stroje średniej klasy aktorów, wczuwając się w ich ekranowe perypetie. Ja chciałam wyrwać się stąd do wielkiego świata! Marzyły mi się piękne restauracje, teatry, kina. U mojego boku nietuzinkowy mężczyzna, taki, który nie jest w stanie znudzić się prozą życia. No i mam za swoje! Mój eksperyment najwyraźniej się nie powiódł i z żalem musiałam przyznać wyższość mieszczańskiego stylu bycia nad moim, a przecież Zbyszek sprzedający guziki, nici, rajstopy i chustki nie był w niczym gorszy od Pana S., znanego ginekologa z tytułem doktorskim i koneksjami w środowisku medycznym. Zapłaciłam za chustki.

- Napijesz się kawy? - niespodziewanie zapytał Zbyszek.

- Nie chcę ci przeszkadzać - krygowałam się, chociaż pomysł bardzo mi się spodobał.

- Nie żartuj! - śmiał się. - Tkwię tu jak kołek w płocie. Ruch jest zerowy, ale to akurat mi odpowiada.

Dużo czytam. Chodź na zaplecze, mam tam mały kantorek. Powspominamy złote czasy!

Pijąc kawę, słuchałam jego opowieści. Zaraz po studiach wrócił do miasteczka. Kilka lat uczył języka polskiego w naszym dawnym liceum. Ożenił się z siostrą mojej dawnej koleżanki i wspólnie rozpoczęli prywatną działalność gospodarczą. Obecnie prowadzą małą kawiarenkę i dwa sklepy. Woli siedzieć

w pasmanterii, ma tu spokój i może robić to, co lubi najbardziej - czytać. Ponowił obietnicę zajęcia się moją fryzurą.

Po wyjściu od niego zastanawiałam się, które z nas miało ciekawsze, bardziej spełnione życie i jakie mamy przed sobą perspektywy na następne lata..

Rozdział 10

Słońce grzało niemiłosiernie. W czarnej sukience, w czarnej chusteczce na głowie wyglądałabym na pierwszą żałobnicę, dlatego świadomie założyłam beżowe rajstopy, aby odrobinę złagodzić przygnębiający efekt okolicznościowego stroju. Przeciwsłoneczne okulary, za którymi skryłam cyniczne spojrzenie, pozwoliły mi do woli obserwować gromadzących się ludzi. Staliśmy przed kaplicą, odpowiadając na powitania krewnych i znajomych Zawilaków. Ojciec nie szczędził uszczypliwych, rzucanych ukradkiem uwag na ich temat. Posiadał niezwykłą, i dzięki Bogu rzadką, umiejętność lapidarnego wyrażania opinii

O ludziach. Wyglądało to mniej więcej tak:

- Witam serdecznie - mówił do starszego, szczupłego mężczyzny. - Spotykamy się znów w smutnych okolicznościach...

Kiedy jednak staruszek oddalił się i wszedł do kaplicy, ojciec szepnął mi do ucha.

- Niedługo zobaczymy go w roli głównej!

Uważałam, że jego docinki nie są na miejscu. Znając ojca, wiedziałam jednak, że w trudnych sytuacjach zachowuje dystans do rozgrywających się wydarzeń. Łatwo przychodzący mu sarkazm stanowił ochronny klosz, pozwalający odizolować się od rzeczywistości, dlatego też, stwarzając pozory smutku

i zadumy, wysłuchiwałam komentarzy, nie potępiając jego zachowania.

Zauważyłam zbliżającego się Marka. Delikatnie uderzyłam ojca łokciem, dając mu do zrozumienia, że powinien mieć się na baczności.

- Spokojnie, widzę - oznajmił mi prawie radośnie.

Marek stanął przy nas. Wyjął paczkę papierosów i bez słowa skierował ją w naszą stronę.

Odmówiliśmy przyjęcia poczęstunku, chociaż nie powiem, ręka sama wyciągała mi się do kuszącej paczki. Od dwóch lat nie paliłam. Chwila była sprzyjająca, aby wrócić do nałogu, jednak obecność ojca skutecznie mnie powstrzymała.

- Sporo ludzi! - stwierdził poważnie tata. - Stach byłby zadowolony.

- Czyja wiem? To chyba już nie ma żadnego znaczenia... -Marek skrzywił się w próbie uśmiechu. - W każdym razie, bardzo dziękuję, że przyszliście.

- Tak... - zastanowił się tata - na pogrzeby przychodzimy dla żywych. To taka swoista parada. Każdy chce się pokazać, ale nigdy nie ma chętnych do zagrania pierwszoplanowej roli.

- Nikogo to nie ominie - Marek uśmiechnął się ironicznie. -Po wszystkim zapraszam was na stypę. Adama też. Na pewno się pojawi.

- Owszem, będzie - powiedział ojciec. - Za zaproszenie dziękujemy, ale wybacz nam, pójdziemy od razu do domu. Dzisiaj nie wyjeżdżasz, możesz nadal spać u nas. Pogadamy wieczorem.

- Dobrze - zgodził się Marek. - Nie widziałem pani Janki -niepokoił się.

- Zobaczysz ją. Jest, jest - uspokajał go tata.

- Pięknie ci w tej czerni - zwrócił się do mnie i gasząc po drodze papierosa, wrócił do kaplicy.

- No, no, no... - mówił ojciec z poważną miną. - I z małego Zawilaka wyrósł stuprocentowy mężczyzna. Kobiece piękno po-

trafi dostrzec nawet w tak niesprzyjających warunkach. Chwała mu za to.

- Tato! - zganiałam go. - Jak możesz? I dlaczego nie powiesz mu o cioci Jance? - dziwiłam się.

- Własny ojciec mu nie powiedział - usprawiedliwił się. - Śmierć to takie traumatyczne przeżycie, lepiej będzie, jak się będzie dowiadywał stopniowo. Wszystko w swoim czasie.

Stach Zawilak po kłótni z narzeczoną pocieszył się w objęciach następnej wybranki swojego serca. Z tego co zdążyłam się dowiedzieć, ożenił się szybko. Małżeństwo to jednak z góry było skazane na rozpad. Zawilak nie przestał kochać cioci Janki. Na tym tle między małżonkami dochodziło do ciągłych spięć i awantur. Marek był jedynym, łączącym ich ogniwem. Kiedy osiągnął samodzielność, Zawilakowa wystąpiła o rozwód i natychmiast po otrzymaniu wyroku wyjechała do Niemiec. Czekał już tam na nią daleki krewny, za którego wyszła za mąż. Zabrała ze sobą syna, dlatego też nie widziałam się z Markiem prawie dwadzieścia lat. Stach, odzyskawszy wolność, znów związał się z ciocią Janką, która cierpliwie czekała na spełnienie ich miłości. Nie pobrali się. Ciocia starała się zachować pozory, twierdząc, że łączy ich tylko przyjaźń. Całymi dniami przebywali razem, ale co wieczór ciocia wracała do swojego małego mieszkanka. Marek nie miał zastrzeżeń do tego związku. Nie potępiał ojca. Kiedy odwiedzał go, chętnie spotykał się z ciocią Janką.

Adam i Grażynka przybiegli w ostatniej chwili. Zdążyliśmy się przywitać i wszyscy weszliśmy do małej kaplicy. Nabożeństwo żałobne trwało krótko. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że ksiądz gdzieś się śpieszył.

- Za godzinę ma następny pogrzeb - szeptem poinformował nas Adam.

Wiedział, bo w końcu to on załatwiał wszystkie sprawy związane z pogrzebem. Po mszy ustawieni w zwartą grupkę

obserwowaliśmy formowanie się konduktu. Trumna ze Stachem Zawilakiem, dźwigana przez czterech, dobrze zbudowanych i ubranych w jednakowe stroje grabarzy, przedefilowała przed nami, a my, spuszczać głowy, oddaliśmy ostatni hołd zmarłemu. Nie zdążyłam podnieść wzroku i wyprostować się, kiedy Grażynka szepnęła mi do ucha:

- Ślicznie ci w tej chusteczce.

Pomyślałam, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło i myśl ta, w tak smutnych okolicznościach, nappełniła mnie optymizmem. Może moje przeżycia nie były warte łez, które wylałam? Może moje życie nie skończyło się wraz z odejściem Pana S? Dwa razy, tu, na cmentarzu usłyszałam komplementy. Zanim ludzie ustawili się w żałobnym orszaku, uznałam pogrzeb za przełomowy moment. Postanowiłam pochować swoją nieudaną miłość z ciałem Stacha Zawilaka. Zostawić ją tu, na cmentarzu. Poczułam się wolna, oczyszczona! Spokojnie przyglądałam się grabarzom ustawiającym trumnę na odkrytej platformie karawanu. Marek podszedł do ojca i wystraszony, zapytał:

- Gdzie pani Janka?

Ojciec odpowiedział bez zająknięcia:

- Czeka koło Kuli.

Kondukt ruszył. Marek samotnie szedł za trumną. Dalsza rodzina podążała za nim, zachowując stosowny odstęp. Dowcip taty zrozumiałam dopiero przed świeżo wykopanym grobem. Stach Zawilak został pochowany obok cioci Janki, po jej lewej stronie. Z prawej strony cioci leżał Kula! Wacław Kula, świętej pamięci!

Czarna płyta na grobie cioci odbijała słoneczne promienie. Obok znajdowałam się mała, pomalowana na zielono ławeczka, pod którą leżała stara szczotka wykorzystywana do omiatania pomnika.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz Zawilaka, kłę-

kającego z trudem i delikatnie, z namaszczeniem czyszczącego lśniący nagrobek. Teraz osierocona szczotka posłuży Markowi do pielęgnacji obu grobów. Patrząc na nią, uświadomiłam sobie kruchość naszego istnienia. Kolejny przedmiot, który zwyciężył wyścig o przetrwanie. Do oczu napłynęły mi łzy...

Rozdział 1 1

Siedziałam sama przy kuchennym stole. Grażynka i Adam dawno wrócili do siebie. Ojciec pomógł mi posprzątać po obiedzie i ulotnił się. Słyszałam, jak wchodzi do pokoju mamy, zamykając drzwi na klucz. Dzisiejszy pogrzeb odnowił w nim ból, przypominając dawno poniesioną stratę. Dziwiłam się, że po tylu latach tata wciąż nie może pogodzić się z jej śmiercią. Jakoś nie mogłam uwierzyć w wieczną miłość...

Wyglądałam przez okno, za którym nie zachodziły żadne zmiany. Bojąc się popaść w melancholię, zaczęłam planować przyszłe remonty, co do których miałam uzasadnione obawy, że nieprędko dojdą do skutku. Zastanawiałam się też nad ukrytym skarbem. Adam trwał w przekonaniu, że odnajdziemy majątek i resztę życia spędzimy w błogim lenistwie, pławiąc się w dobrobycie. Mnie intrygowała inna myśl. Co zrobimy z odnalezionymi listami? Nie wiedziałam, czy możemy je czytać, czy raczej powinniśmy je spalić lub zostawić w dawnym miejscu? Ich autorzy spoczywają obok siebie (i obok Kuli). Skoro listy były schowane, cała ta epistolografia nie powinna ujrzeć światła dziennego. Problem ten spoczywał na moich barkach. Byłam całkowicie pewna, że Adama nie zainteresują miłosne historie i z chwilą pozbycia się złudzeń oraz marzeń o wspaniałym bogactwie, zostawi mnie z decyzją, co dalej zrobić ze znaleziskiem. Przyszedł mi na myśl Marek. Jeżeli zostanie

kilka dni, a my w tym czasie znajdziemy skarb, oddam mu wszystko i niech on się martwi.

Marek przyjechał około osiemnastej. Otworzyłam mu drzwi. Uśmiechnął się smutno i zapytał:

- Mogę się do ciebie przytulić?

Zaskoczona taką prośbą, zgodziłam się. Obejmując mnie mocno, położył głowę na moim ramieniu. Poczułam jego ciepło, miły zapach. Tkwiliśmy tak w przedpokoju do chwili, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że nie mam nic na głowie. O kurczę! Zobaczył w pełnej krasie dzieło miejscowej fryzjerki. Co gorsza, nie zdążyłam pomalować włosów. Nie robiąc gwałtownych ruchów, starałam się wyswobodzić z jego ramion.

- Bardzo cię przepraszam - wyjąkałam, zasłaniając głowę rękami. - Wejdz do kuchni, zaraz wrócę.

I nie czekając na odpowiedź, rzuciłam się biegiem w kierunku schodów. Mam jednak pecha! Nawet jak trafi mi się coś miłego, zaraz muszę zostać sprowadzona na ziemię. Paskudna rzeczywistość nie pozwala mi na wzniosłe uniesienia. Z Panem S. też tak było. Każdą naszą romantyczną chwilę przerywał jakiś telefon albo okazywało się, że któreś z nas musi natychmiast udać się do szpitala. Zapomniałam o czułym przytulaniu, miłych słówkach, całej tej grze kochanków.

Wpadłam do swojego pokoju i kompletnie straciłam głowę. Co mam zrobić? Najprościej byłoby nałożyć chusteczkę. Ale którą? Czarną czy żółtą? Na sobie miałam jedną z bluzek podarowanych przez Pana S. Brązową. Właściwie, od biedy, obie chustki mi do niej pasowały. Problem polegał na dostosowaniu mojego wyglądu do sytuacji. W czarnej będę nadal wyglądała jak żałobnica. Nie podobało mi się to. W końcu Zawilak był tylko naszym sąsiadem. Formalnie nigdy nie należał do rodziny. Może powinnam założyć ją jako znak solidarności z uczu-

ciami Marka? Żółta wydawała mi się za bardzo jaskrawa. Co prawda było mi w niej ładniej, odmładzała mnie. Zaczęłam żałować, że nie kupiłam jeszcze brązowej. Gdybym ją miała, nie miałabym dylematu. Jutro pójdę do Zbyszka i kupię jeszcze trzy. Usiadłam na łóżku i trzymając obie chustki w rękach, próbowałam dokonać najlepszego wyboru. Zwyciężyła żółta! Dziś pochowałam swoją miłość, a po niej nie będę nosiła żałoby. Nigdy.

Wróciłam do kuchni. Na stole stały, ustawione w dwa równe rzędkie, butelki piwa.

- Nie wiedziałem, czy lubisz piwo - tłumaczył się Marek. - Jeśli nie, to może masz ochotę na wódkę lub wino. Mam i to. Muszę się napić! Dotrzymasz mi towarzystwa?

- Oczywiście. Może być piwo - zgodziłam się. - Ojciec powinien mieć gdzieś jakieś kufle. Poczekaj, poszukam...

Marek wyjmował z podróźnej torby otwieracz do butelek, a ja nerwowo otwierałam kolejne drzwiczki starego kredensu. Udało mi się znaleźć trzy kufle, każdy inny. Z tryumfalnym uśmiechem postawiłam je na stole.

- A gdzie twój tata? - dopytywał się Marek.

- Zamknął się w pokoju mamy. Od jej śmierci tylko on ma prawo w nim przebywać. Nie wiem, co tam robi, ale chyba nie należy mu przeszkadzać.

Usiedliśmy po przeciwnych stronach stołu. Marek rozlał piwo do dwóch kufli.

- Zrobimy libację - powiedział uroczyście. Wystraszyłam się. Na tak wielkie pijaństwo nie miałam ochoty. Owszem, dwa, trzy piwka mogę wypić, ale nazywać to zaraz libacją? Lekka przesada.

Tymczasem Marek wylał z butelki resztkę piwa na blat stołu.

- To dla bogów - wyjaśnił mi. - Przydałaby się jeszcze jakaś świeczka.

Odetchnęłam z ulgą. O taką libację mu chodziło! Przypomniałam sobie, że lichterzyk ze świeczką stoi w gościnnym pokoju.

- Świeczka jest tam, gdzie śpisz. Przynieść? - zapytałam.

- Nie - zatrzymał mnie. - Libacja wystarczy.

- Długo tu zostaniesz? - pytałam, chcąc skierować rozmowę na przyszłe wydarzenia, omijając bolesne wspomnienia.

- Zostanę... Chcę tu zamieszkać. Mam tu dom - głową wskazał okno.

Odruchowo spojrzałam na płot, spoza którego widać było kawałek dachu siedziby Zawilaków.

- Witaj w klubie! - ucieszyłam się. - Dobrze jest wiedzieć, że nie jestem w okolicy jedyną zabłąkaną owieczką, która wraca do stada, na stare śmieci.

- My, marnotrawni... - gorzko uśmiechnął się Marek. - Ty miałaś do kogo wrócić, ja wracam do czegoś!

Poczułam się nieswojo. Egoistycznie myślałam o własnych cierpieniach, o zranionej miłości, o alienacji, jaką tu odczuwam. Przedemną siedział człowiek zapewne boleśniej doświadczony przez życie. Nie chcąc spojrzeć mu w oczy, skupiłam się na trzymanym w rękach kuflu. Badałam jego fakturę i delikatnie pieściłam palcami wgłębienia w kryształ. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na wartość i urodę tego przedmiotu. Pod wpływem wypitego alkoholu myśli nabierały tempa i poruszały się kilkoma pozornie odległymi torami. Zastanawiałam się nad brakiem perspektyw i nad dawnym, przelotnym, dziewczęcym uczuciem, którego nie potrafiłam odnaleźć nawet w głębokich zakątkach serca. Dyskretnie spoglądając w stronę Marka, porównywałam go z utraconym partnerem. Niestety, nie dysponowałam potrzebną bazą danych. Marek stanowił mgliste wspomnienie, miłe, ale odległe i nierealne. Dlaczego przyjechał sam? Co się stało z jego żoną i dziećmi? Przystojny mężczyzna

w jego wieku powinien posiadać rodzinę, która wspiera się nawzajem w trudnych sytuacjach. Tymczasem zapijaliśmy swoje smutki z dala od bliskich, kochających ludzi, jak rozbitkowie na bezludnej wyspie, skazani na własne milczenie i bezsensowne udawanie, że samotność jest naszym świadomym wyborem. Dzwoniąca cisza przeszywała uszy. Stawała się trudna do zniesienia. Miałam ochotę krzyknąć, tańczyć w oszalałych płasach, aby zabić własne myśli i strach, który powoli ogarniał mnie swoimi paraliżującymi mackami.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! - szeptał Marek, waląc pięścią w blat stołu.

Widocznie i w jego głowie kłębiły się natrętne myśli. Miał jednak prawo do uzewnętrznienia uczuć. O dziwo, poczułam znaczną ulgę. Jego wybuch tłamszonych emocji oczyścił również moją duszę.

- Kurwa! - przytaknęłam mu skwapliwie.

- Poleję? - zapytał, nagle uradowany.

- Lej! Lej! - domagałam się. - Zapijemy wszystkie nasze krzywdy!

Te przeszłe, obecne i przyszłe! - prawie skandował.

- Za lepsze życie! Za bogactwo! Za miłość! - wzniosłam wysoko w górę swój kufel, w którym żółty płyn kołysał się, wypuszczając małe bąbelki.

- Za miłość - cicho, ledwie dosłyszalnie, wyszeptał Marek. Wypiliśmy parę łyków, rozsiedliśmy się wygodnie na krzesłach i patrząc sobie prosto w oczy, uśmiechaliśmy się.

- A niech tam! - machnęłam ręką. - Życie jest piękne, tylko nie potrafimy tego dostrzec...

- Może... - zgodził się ze mną. - Mamy jednak jeszcze jakieś szanse, jak skazaniec przed śmiercią ma prawo do ostatniego życzenia... My też mamy prawo życzyć sobie chociaż kilku chwil szczęścia.

Zamarłam. Jego wyznania prowadziły tylko w jedną stronę. Do łóżka! Hola, hola, nie tak szybko! Spać to ja będę sama! Mimo tych składanych sobie zapewnień, zwyciężyła we mnie kokietka.

- Chwile szczęścia chętnie zamieniłabym na całe lata - mówiłam, zalotnie przewracając oczkami. - Żaden erzac mnie nie interesuje. Miłość do grobowej deski, to moja obecna religia! Kochać i być kochaną... - rozmarzyłam się.

- Kochać i być kochanym? - zastanawiał się Marek. - Libacja na cześć miłości! - mówił, wylewając resztkę piwa ze swojego kufła na blat stołu.

- Jak Tristan i Izolda! Jak Dante i Beatrycze! Jak Filon i Laura! Jak Romeo i Julia... - wymieniałam sławnych kochanków.

- Jak Stach i Janka! - Marek śmiał się serdecznie.

- Tak, to prawda - przyznałam. - Jak Stach i Janka. Marek otworzył nową butelkę i nalał piwa do kufli.

- Za ich miłość! - teraz on wznosił toast.

- Za ich miłość! - potwierdziłam, wypijając spory łyk.

- I za naszą! - kontynuował Marek.

Spojrzałam na niego pytająco? Czyżby chciał mi przez to coś powiedzieć? Trafnie odczytał mój niepokój i szybko dodał:

- Za moją i twoją! Każdego z osobna, oczywiście.

- Oczywiście! - zgodziłam się. - No to za naszą miłość!

Nie byłam pijana. Dowodem na to może być moja nieugięta wola, której nie zatraciłam tej smutnej nocy. Mimo bardzo silnej pokusy, nie zapaliłam papierosa! Rozmawialiśmy, trochę wspominając nasze szczenięce miłości, trochę snując plany (każde z nas z osobna) na najbliższe miesiące. Marek postanowił zamieszkać w odziedziczonym po ojcu domu. Przeszedł niegroźny zawał serca i zamierzał odpocząć od pracy. Z jego słów wynikało, że stać go na zapewnienie sobie dostatniego życia i słodkie nieróbstwo. Trochę mu zazdrościłam. Ja niestety

nie miałam tak komfortowej sytuacji, musiałam podjąć pracę w tutejszej przychodni. Będzie mi lżej niż w klinice, ale mam spore wątpliwości, czy potrafię się dostosować do zwyczajów i atmosfery, jaka panuje w niedużych przychodniach. O pracy naukowej nie było co marzyć. Rozpoznanie anginy nie stanowiło dla mnie większego problemu, powinnam więc znakomicie sobie poradzić.

Około jedenastej do naszej stypy przyłączył się tata. Miał zaczerwienione oczy i odcisnięte na nosie ślady po okularach. Może zamyka się w pokoju mamy i czyta? Marek napełnił piwem trzy kufle.

Ojciec mierzył nas tasującym wzrokiem.

- Nie wyglądacie na żałobników - stwierdził.

- Pamiętasz tato stypę po dziadku? - przypomniałam sobie.

- Owszem, pamiętam - tata uśmiechnął się mimowolnie.

- Byłam wtedy jeszcze mała i bardzo przeżyłam śmierć dziadka. Kiedy na stypie atmosfera się rozluźniła, babcia opowiadała, jak przed wojną odbywały się takie przyjęcia.

- Wtedy potrafili uczcić pamięć zmarłych, nie to co dziś. Nie śpieszyli się. Pili całą noc - dopowiedział tata.

- Babcia mówiła, że kiedy umarł jej brat, zjechała się cała rodzina. Dawno się wszyscy nie widzieli i tak się upili, że zaczęli śpiewać ulubioną piosenkę nieboszczyka, a nie była to bynajmniej pieśń kościelna czy żałobna. Moja prababcia podobno tak się wystraszyła, że biegała wkoło stołów i pilnowała biesiadników, żeby czasem nie przyszło im do głowy zacząć tańczyć. Sama podobno nie miałyby nic przeciwko temu, ale bała się sąsiadów.

- Niestety, wszystkie piękne tradycje odchodzą w niepamięć - utyskiwał tata. - Teraz zaczynamy żyć na amerykańską modłę! Chrzczyny w knajpie, komunie w knajpie, wesele w knajpie i stypa też w knajpie! Podobno to oznaka ucywilizowania! - kpił.

Czy mogę pana o coś zapytać? - Marek włączył się do naszej rozmowy.

- Pytaj - zachęcał go tata.

- Bo widzi pan, czegoś nie zrozumiałem. Tam, na cmentarzu, powiedział mi pan, że pani Janka czeka obok kuli.

- Zgadza się - przyznał tata.

- No właśnie! A ja tam nie widziałem żadnej kuli...

Sprośnych piosenek nie śpiewaliśmy, to prawda. Siedzieliśmy jednak do drugiej w nocy, piliśmy i opowiadaliśmy dowcipy o nieboszczykach. Co chwilę, któreś z nas przypominało sobie o Wacławie Kuli i układając na stole trzy pudełka zapalek, wyjaśniało pozostałym, gdzie leży ciocia Janka, gdzie Stach Zawi-lak, a gdzie Kula. Ostatni toast wzniosł tata.

- Uczciliśmy cię Stachu, jak umieliśmy! Spoczywaj w pokoju i czekaj na nas. Oni niech jeszcze nacieszą się tym światem, ja niedługo do ciebie dołączę.

W ten sposób, zgodnie ze staropolskim zwyczajem, zakończyliśmy obrzędy pogrzebowe Stacha Zawilaka i mojej nieudanej miłości.

Rozdział 12

- Ewo! Długo jeszcze będziesz się wylegiwała? - głos ojca grzmiał za drzwiami.
- Tato! Mam urlop... Litości! - prosiłam.
- Nie ma litości! Wstawaj! Chcesz jechać do miasta? - zapytał już spokojnym tonem. - Marek jedzie, mógłby cię zabrać.
- Zaraz zejdę - obiecałam, przeciągając się błogo.
- Pośpiesz się! Smażę jajecznicę - poganiał mnie.

Pokój, należący dawniej do Adama, był duży i ładny, brakowało w nim jednak podstawowych sprzętów. Przede wszystkim nie było lustra. Wstałam z łóżka, nałożyłam szlafrok. Zawiązałam żółtą chustkę pod brodą. Nie miałam pojęcia, jak wyglądam i było mi to całkowicie obojętne. Kurczowo trzymając się poręczy, nie schodziłam, a ześlizgiwałam się ze schodów. W kuchni przyjemnie pachniało kawą i smażonymi jajkami. Stałam w drzwiach, obserwując krzątających się tam mężczyzn. Pracowali w milczeniu, widocznie z góry ustalili reguły. Tato mieszał jajka na patelni, a Marek ustawiał na stole talerze i rozkładał sztuce. Pan S. nigdy nie mógł porozumieć się z ojcem, ceniał go, ale tylko jako rywala, adwersarza. Ojciec nie , pozostawał dłużny. Wiecznie sprzecjali się, politykowali, nawzajem pouczali.

Ta harmonia w przygotowywaniu posiłku była dla mnie czymś nowym i niespotykanym. Marek Zawilak wkradł się

w łaski ojca, a to była nie lada sztuka! Zazwyczaj tata trzymał wszystkich na dystans, cynicznie odnosząc się do ich poglądów i lekceważąc ich osiągnięcia. Adamem wprost poniewierał. Ze mną obchodził się łagodniej. Najwyraźniej zaimponowała mu tym, że broniłam doktorat. Co prawda nie wyraził swojego uznania, jak przystało na dumnego ojca, ale przynajmniej stwierdził: „Teraz będzie wiadomo, dlaczego ludzie zwracają się do ciebie per «pani doktor*».

- Dzień dobry! - zauważył mnie Marek.

- Mam nadzieję, że będzie lepszy od wczorajszego - wyraziłam głośno swoje życzenie.

- Podobno masz jeszcze urlop - stwierdził. - Nie chciałbym ci psuć planów, ale czy mogę cię prosić o pomoc?

- Chciałam jechać do miasta, odwiedzić przyjaciół - wykręcałam się.

- Dobrze się składa. Muszę załatwić parę spraw w urzędach. Podrzucę cię, a potem, o ile się zgodzisz, poszlibyśmy na cmentarz. Wypada uporządkować grób. Pomogłabyś, doradzając, jak mam to zrobić. Kobiety zawsze mają lepszy smak do układania kwiatów.

Usiadłam przy stole i piłam kawę. Ojciec nakładał jajecznicę.

- Dobrze - zgodziłam się niechętnie.

- Świetnie - ucieszył się, kładąc ciepłą dłoń na moim ramieniu.

Spłoszona tym niespodziewanym, czułym gestem, odruchowo odsunęłam się od niego. Nie cofnął ręki, nachylił się nade mną i przenikliwie spojrzał mi prosto w oczy. O dziwo, uspokoiłam się i wróciłam do poprzedniej pozycji. Delikatnie uścisnął moje ramię. Poczułam rozchodzące się, przenikające mnie ciepło. Wiedziałam, że ojciec nas obserwuje. Bałam się jego zgryźliwych uwag, przed którymi jedyną obroną mógł być atak. Niewiele myśląc, przystąpiłam do działania.

- Nie mam lustra - stwierdziłam ni z gruszki, ni z pietruszki. - Może jest gdzieś jeszcze stara toaletka mamy, ta z dwoma skrzydłami, pamiętasz? - zwróciłam się do taty. - Miała dwa ruchome lusterka po bokach.

Trafiłam w czuły punkt. Ojciec zmienił się na twarzy, poczerwieniał jakby z wysiłku. Dobrze wiedziałam, że toaletka nadal stoi w pokoju mamy. Nieproszona weszłam w jego świat i próbowałam wyrwać mu skarb, najdroższe wspomnienie. Demonstracyjnie udając, że nie dosłyszał pytania, spuścił głowę i w milczeniu zajadał jajecznicę.

- Może u mnie znajdziemy jakieś lustro - zaproponował Marek, niewtajemniczony w naszą rodzinną rozgrywkę.

Przesłałam mu uśmiech. Zrozumiał, że rzecz dotyczy drażliwej sprawy i nie próbował już ingerować w dalszą rozmowę. Zresztą, nie było w co ingerować, bo tata zamknął się w sobie i do końca śniadania nie powiedział już ani słowa. Wstając od stołu, rzucił mi pogardliwe spojrzenie, sycząc:

- Posprzątajcie po sobie.

I poszedł zamknąć się w pokoju mamy. Zmywałam brudne naczynia. Marek przyglądał się mi, paląc papierosa.

- Nie przeszkadza ci dym? - zapytał.

- Nie - stwierdziłam lakonicznie.

Mogłam udzielić mu innych odpowiedzi: „Ależ nie, możesz palić, mi to nie przeszkadza”, „Skądże znowu, pal ile chcesz”, „Też coś! Sama paliłam i muszę się przyznać, że nadal mnie do tego ciągnie”, „Powiem ci jako lekarz: palisz po zawale? Rzuć to świństwo”. Mogłam... Ostatni rok, jaki spędziłam z Panem S. sprawił, że nie potrafiłam normalnie rozmawiać. Bałam się odezwać, głośno wyrazić swoje myśli. Żyliśmy obok siebie, ograniczając nasze kontakty do niezbędnych, szybko wypowiedzianych słów. Doprowadziliśmy do perfekcji zwięzłość naszych roz-

mów. Komunikowaliśmy się za pomocą równoważników zdań i czasowników w trybie rozkazującym. Pewnie brzmiało to zabawnie, mnie jednak nie śmieszyło. „Herbaty? Proszę. Zimną? Ciepłą. Z cukrem? Bez. Co w pracy? W porządku. A u ciebie? Bez zmian. Z cytryną? Tak”.

Cały ten związek, to nasze niby małżeństwo, z góry skazany był na niepowodzenie. Patrząc z perspektywy tych paru miesięcy dzielących nas od rozstania, zastanawiam się, na jakiej podstawie twierdziłam, że nam się uda? Traktował mnie jak elegancki dodatek, maskotkę, którą można było zaimponować kolegom oraz praktyczną pomoc domową. Ja natomiast tak bardzo pragnęłam zaznać odrobinę miłości, że przez lata wmawiałam sobie, iż jestem szczęśliwa. Jednak tryb rozkazujący: kochaj mnie! - w tym wypadku nie zadziałał.

- Wezmę prysznic i możemy jechać - mówiłam, wracając do terażniejszości.

- Cały dzień przed nami, nie musimy się śpieszyć... Dobrze, że tu jesteś! - Marek chwycił mnie za przegub ręki.

- Nie za dużo tych czułości? Gotowa jestem przyzwycząić się do nich. Uważaj! - ostrzegałam. -

Telefon dzwoni. Już drugi raz go słyszę. Przepraszam, pójdę odebrać - powiedziałam, wyszarpując się z jego silnego uścisku.

Wychodząc z kuchni, czułam na sobie jego wzrok. Jak niedoświadczona nastolatka, odruchowo wyprostowałam plecy, oddalając się prawie tanecznym krokiem. Telefon rzeczywiście dzwonił. Zamknięty w pokoju mamy ojciec nie reagował na jego wezwania. Podniosłam słuchawkę.

- No! Nareszcie! Co wy tam robicie? - wściekał się Adam. -Próbuję się dodzwonić od godziny.

- Tata zamknął się w swojej świątyni, a ja zmywałam. Nie słyszałam - tłumaczyłam.

- Co z naszym planem? Mogę wpaść dziś wieczorem? Marek jest jeszcze? - pytał.

- Jest.

- Długo zostanie? Przy nim nie możemy szukać. Zorientuje się i pewnie będzie chciał swoją działkę - podejrzewał.

- Damy mu parę listów, może nas nie zdradzi - drwiłam.

Z planu wynikało, że skarb ukryty jest na strychu. Podobał mi się sam pomysł wyprawy, lubiłam grzebać w starych, nikomu już niepotrzebnych szpargałach. Kto wie, co można tam znaleźć... Ale wiara Adama, że nasze poszukiwania odmienią los i doprowadzą nas do bogactwa, denerwowała mnie. Cieszyłam się, że dopóki Marek mieszka z nami, dopóty będę miała spokój i wyprawa po złote runo odwlecze się w czasie.

- Głupia jesteś - zbeształ mnie braciszek. - Umówimy się na inny termin. Skarb nam nie ucieknie. Co ojciec robi w tym pokoju? Cały czas tam siedzi?

- Nie wiem, co robi, ale rzeczywiście przesiaduje tam godzinami. Poobserwuję go przez jakiś czas, a potem zastanowimy się, co z tym zrobić. To nienormalne! Mama nie żyje już ćwierć wieku. Kto wie, może potrzebny będzie psychiatra... -zastanawiałam się.

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości - stwierdził Adam. - Uważaj, ojciec jest przebiegły i inteligentny. Szybko cię przejrzy, a kiedy się domyśli, co mu szykujesz, nie chciałbym być w twojej skórze. On ci da psychiatrę!

- Sama nie wiem, co o tym myśleć... - przyznałam się. -Urządził sobie miłe schronienie. Czy kiedyś malował ten pokój?

- Nic o tym nie wiem. Zamyka go, a klucz zawsze trzyma przy sobie. Nigdy mnie tam nie wpuścił.

- No to się włamiemy, nie ma innego wyjścia - stwierdziłam.

- Racja - zgodził się ze mną. - Najpierw skarb, a potem pokój mamy. To plan działania już mamy.

- Domorosły poeta z ciebie - zaśmiałam się z przypadkowej rymowanki - Jeszcze remont! - przypomniałam mu. - Spróbujemy tam wejść pod pretekstem malowania. Tak czy siak, mój pokój trzeba odnowić. Pomożesz mi?
- Oczywiście. O, klient przyszedł. Trzymaj się! Zadzwoń później.

Rozdział 13

W małym sklepiku, nad którym wisiał niemający uzasadnienia szyld „Delikatesy”, kupiłam bombonierkę i słoiczek rozpuszczalnej kawy. Tak zaopatrzona weszłam do sklepu Zbyszka.

- Witaj! - ucieszył się na mój widok.

- Poproszę zieloną, beżową i brązową chustkę - wyrzuciłam z siebie, naśladowując głos małej dziewczynki.

Zadowolony Zbyszek wykladał towar na ladę, z gracją wystukując ceny na kasie fiskalnej, przysłuchując się wydawanym przez nią dźwiękom jak wspaniałej muzyce. Poskładane chusteczki zapakował w reklamówkę. Teraz on udawał, że bawimy się „w sklep”.

- Jest pani winna siedemdziesiąt pięć złotych - powiedział.

- Proszę - odliczyłam pieniądze.

- Dziękuję! - schował je do kasy i podał mi towar.

- Dziękuję! - uśmiechnęłam się.

- Zapraszamy ponownie! - kłaniał się Zbyszek.

Nie zamierzałam jeszcze wychodzić. Kiwnęłam głową w stronę zaplecza.

- Mam kawę i czekoladki - kusiałam go.

- Kawę też mam! Ale czekoladki... - oblizywał się.

Miło było siedzieć, plotkując o ludziach, których dawno wymazałam ze swojej pamięci, a którzy znów mogli odegrać znaczącą rolę w moim życiu.

- Najbardziej nie lubię, jak ktoś się wywyższa. Taki Krzysiek Wąsik! Pamiętasz? - pytał Zbyszek.
 - Pamiętam. Chodził do naszej klasy w podstawówce.
 - No właśnie! Znamy się od żłobka. Teraz jest zastępcą burmistrza. Szycha! Mówię mu: „Cześć!”, a on odpowiada: „Dzień dobry panu!”. Śmieszny gość! Wredny jak diabli. Władza na mózg mu padła. Uważaj, jego żona pracuje z pediatrami. Jest pielęgniarką. Z dyplomem! Wiesz która, taka gruba, niska, na pewno kojarzysz. Baśka Wyrodek - uśmiechnął się. - To nazwisko wyjątkowo do niej pasowało.
 - Widzę, że będzie mi potrzebny przewodnik po lokalnej społeczności. Gruba i niska... - zastanowiłam się, szukając w pamięci obrazu Baśki Wyrodek sprzed wielu lat. - Nie wydaje ci się zabawne, że mówiąc o kimś dawno niewidzianym, używamy określeń typu gruba, niska, ruda. Cechy zewnętrzne dominują zawsze nad cechami charakteru. Będę uważała na grubą, niską Baśkę, a co do konfliktów w pracy, zdarzają się wszędzie. Przyznaję, że specyfika małego miasteczka stawia przede mną poważne wyzwanie. Boję się, czy sobie poradzę, zwłaszcza gdy nie wiem, kto wróg, kto przyjaciel - rozważałam.
- Zbyszek podsunął mi pudełko czekoladek. Zamyślona wzięłam jedną i włożyłam do ust.
- Twój problem polega na tym, że nie rozpoznajesz dawnych znajomych, liczy się jednak z tym, że oni cię dobrze pamiętają. Jesteś doktorem, a więc osiągnęłaś sukces. Wróciłaś, a więc musiałaś popełnić jakiś błąd, nieważne jaki, najważniejsze, że masz swoje słabe strony. Znalezienie ich jest tylko kwestią czasu i cierpliwości. My tu żyjemy w marazmie, nam się nie śpieszy. Spróbuj tylko podnieść trochę wyżej głowę, a cios padnie z najmniej spodziewanej strony. Taka to już jest uroda małych miasteczek - pouczał mnie Zbyszek.

- Aż się chce zacytować poetę: „Mam w dupie małe miasteczka” - śmiałam się, chociaż przedstawiona wizja niezaprzeczalnie napełniała mnie strachem.
 - Tu panują prawa dżungli - instruował mnie Zbyszek. - Wygrywa najsilniejszy, najprzebieglejszy działający bez skrupułów i wyrzutów sumienia.
 - Hasło „żyj i pozwól żyć innym” nie obowiązuje? - dopytywałam się, naiwnie zachowując odrobinę nadziei.
 - Bywają wyjątki - pocieszał mnie. - Sama wkrótce się przekonasz, że na starych przyjaciół zawsze możesz liczyć.
 - Jednym słowem, mam się strzec Wąsików? - próbowałam podsumować naszą rozmowę.
 - Wąsikom mówimy stanowcze nie! - szeptem skandował Zbyszek, podnosząc prawą dłoń. - Przybij piątkę!
- Przybiłam.
- Chciałabym móc od czasu do czasu cię odwiedzić. Nie chcę jednak sprawiać ci kłopotu... - mówiłam.
 - Nie przejmuj się, mam mądrą żonę, choć o taką w tej dziurze trudno. No, może jeszcze Grażynce Adama nie brakuje zdrowego rozsądku. Ona też jest bardzo rozważna. A o moją Izę się nie martw - zapewniał mnie. - Odwiedzaj mnie codziennie, a ja będę sprowadzał najpiękniejsze chustki, jakie tylko wyprodukowano.
 - Nie! - powstrzymałam go. - Wystarczy. Teraz myślę o ładnym komplecikui bielizny. Nie seksownym
 - zaznaczyłam. - To ma być coś ze smakiem, eleganckiego. Dla dojrzałej kobiety. Cena nie gra roli.
 - Mówisz, masz - cieszył się Zbyszek. - Klient nasz pan! Poszukam - obiecywał.
 - Szukaj. Potrzebuję jeszcze firanek i zasłon. Jutro wpadnę, to podam ci wymiary.

- Naprawdę się cieszę, że wróciłaś! Mój mały sklepik dzięki tobie przeżyje prawdziwy renesans!
- Spadłaś mi z nieba! Już miałem zamykać interes...
- Pomożemy sobie nawzajem, transakcja wiązana.
- Kto wie, może to był dobry pomysł, żebyś tu przyjechała? - zastanawiał się.

Rozdział 14

Niebo zasnuły ciężkie chmury. Nieśmiały blask księżycy tylko chwilami wpadał przez otwarte okno. Przewracałam się na łóżku, nie mogąc wygodnie ułożyć spoconego ciała. Dochodziła północ, a ja ciągle przekładałam poduszki, zmieniałam nocne koszule i piżamy, aż w końcu zrezygnowana, zupełnie naga, starałam się zasnąć. Burza wisiała w powietrzu. Podświadomie nasłuchiwałam jej dalekich odgłosów. W taki duszny parny wieczór, kiedy do skóry lepią się nawet najdelikatniejsze ubrania, myśli kłębią się jak burzowe chmury i jak pioruny przenikają nasze jestestwo. Nikłe przebłyski księżycowej poświaty uświadomiły mi, na czym polega nasze życie. Zmagamy się z przeciwnościami losu i tylko czasami zza smutków i codziennych spraw możemy dostrzec odrobinę radości, którą łapczywie chwytny, ciesząc się, że światło rozjaśnia panujący wokoło mrok. Pod zamkniętymi powiekami przesuwały mi się wspomnienia, zupełnie jakbym stała u wrót śmierci. Poszczególne obrazy, wyrwane z czasu i z kontekstu jedynie potwierdzały ponure rozważania. Obecny stan mojego ducha mogłabym śmiało porównać do czarnej dziury nieprzepuszczającej nawet tej odrobiny światłości, a dochodzące do mojej świadomości grzmoty były jedynie odgłosami dawno przebrzmiałych, ale ciągle bolesnych wydarzeń. Zaniepokoiły mnie jednak inne dźwięki. Wstrzymałam oddech, najwyraźniej ktoś chodził po strychu... Niewiele myśląc,

wyskoczyłam z łóżka, nałożyłam szlafrok i cichutko wyślizgnęłam się na korytarz, gdzie odgłosy były wyraźniejsze. W całym domu panowała idealna wprost cisza, tylko ze strychu dochodziły szepty rozmów i szuranie przypominające przesuwanie mebli. W jednej chwili przypomniałam sobie o skarbie. Plan nosiłam w torebce, z którą nie rozstawałam się poza domem. Kto mógł jeszcze o nim wiedzieć? Marek? Tylko on! Widocznie jednak Stach Zawilak nie szukał miłosnej korespondencji. O Boże! Dałam się nabrać jak małe dziecko... Adam miał rację, tam nie ma żadnych listów. Marek mieszka u nas... Nie był jeszcze w domu ojca... Na co czekał? Dlaczego nie przeniósł się do hotelu, tylko nadużywał naszej gościnności? Udawał miłego, flirtował ze mną, a jak uśpił naszą czujność, wgramolił się nocą na strych z zamiarem wyniesienia naszego skarbu. Żmija! Ze mną chcesz zadrzeć? Ze mną? Z oszukaną i porzuconą kobietą? Jeszcze nie wiesz, no co mnie stać!

Adrenalina podskoczyła mi do tego stopnia, że przez krótką zamglił mi się wzrok. Opanowała mnie wściekłość rozgrzewająca i tak już gorące ciało. Nie dam! Nie pozwolę! Skarb jest mój! Mój i Adama! Wróciłam do pokoju i starałam się zebrać myśli. Słyszałam rozmowę, więc nie jest tam sam. Ma współnika, którego wpuścił po kryjomu. Sama nie dam im rady. Trzeba obudzić ojca. A może lepiej wezwać policję? Podjęłam decyzję. Wygrzebałam z szafy sportowe buty. W klapkach nie wypada gonić złodziei. Głośny łomot przeszył cały dom. W pierwszej chwili byłam pewna, że to grzmot, ale następujące po nim odgłosy wskazywały na dużą determinację strychowych rabusiów. Już się nie krępowali. Działali jawnie, nie bacząc na to, że możemy ich usłyszeć. Musiałam się śpieszyć. Zdjęłam szlafrok, naciągnęłam na siebie bluzkę

i spodnie od pidżamy, na bieliznę nie miałam czasu. Skradając się na palcach, wyszłam na korytarz. Rzeczywiście, klapa zamykająca wejście na strych była podniesiona, a przez otwór widać było

błyski latarki. Stara, drewniana drabina stała oparta o ścianę. Tego nie rozumiałam, szczerze się przyznam. Nie traciłam czasu na zastanawianie się. Najciszej jak potrafiłam, zesłam na dół do kuchni. Postanowiłam nie budzić taty, w jego wieku takie emocje nie są wskazane, mógłby dostać ataku serca. Wyjęłam z szuflady duży nóż do chleba. Tak uzbrojona poczułam się silniejsza i bardziej pewna siebie. Z góry dochodził głuchy łoskot. Rozmowy brzmienia stały się bardziej nerwowe. Nie słyszałam słów i nie mogłam rozpoznać, czy któryś z głosów należy do Marka. Wiedziałam, że powinnam zadzwonić do Adama i prosić go o pomoc, bałam się jednak spłoszyć nieproszonych gości. Wróciłam na górę i stanęłam pod włazem na strych. Przystawiłam drabinę do otworu. Poruszałam się swobodnie, ponieważ bandyci zaabsorbowani przestawianiem starych gratów nie mogli mnie usłyszeć. Stękali przy tym tak, że cały dom trząsał się w posadach. Weszłam na drabinę i powoli wsunęłam głowę w otwór. Duża, ręczna latarka leżała na podłodze. Dwie schylone sylwetki mocowały się z małą komódką. Nie mogłam ich rozpoznać w mizernym świetle. Rozpoznałam za to komódkę... Z całą pewnością była to toaleta mamy, ta z dużym lustrem i dwoma skrzydłami. Jeden z bandytów schylił się i podniósł z ziemi grubą linę. Bez słowa zaczęli oplątywać nią toaletkę. Sprytne! Chcą ją spuścić na dół, dlatego odstawili drabinę, przebiegło mi przez rozpaloną z emocji głowę. Dlaczego zainteresowali się właśnie tym meblem? Nie miałam pojęcia, byłam jednak gotowa położyć własne życie na szali, aby bronić go przed kradzieżą. Zza paska spodni wyjęłam kuchenny nóż i włożyłam go w usta, mocno przygryzając jego ostrze. Łokciami oparłam się o podłogę strychu i podciągnęłam resztę ciała. Mężczyźni zajęci swoją pracą, nawet mnie nie zauważyli i bez przeszkód mogłam dojść do latarki. Przykucnęłam przy niej, deli-

katnie biorąc ją do lewej ręki. Rozluźniłam szczęki, wyjęłam nóż i przygotowana do walki, szybkim, energicznym ruchem uniosłam latarkę, kierując jej światło w stronę bandytów. Oskoczyli od toaletki jak rażeni gromem. Nie wiedzieli, gdzie się schować, rozglądali się w panicznym popłochu. Byli całkowicie zdezorientowani. Ja również. Dobrze, że nie mogli widzieć mojej miny. W końcu doszli do wniosku, że i tak nie schowają się przed intruzem (czyli przede mną) i postanowili na atak odpowiedzieć atakiem.

-- Kto tam? - wrzasnął ojciec, bo nagle przypomniał sobie, że to jego strych i on tu rządzi.

Byłam tak skonfundowana, że nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa. Jedyne, na co mogłam się zdobyć, to opuszczenie rąk. Teraz strumień światła oświetlał ich nogi.

- Kto tam, do jasnej cholery! - grzmiał tata.

- Spokojnie! Tylko spokojnie... - łagodnym głosem uspokajał Marek. Posłuchałam go. Ojciec jednak nie posłuchał! Nie bacząc na grożące mu niebezpieczeństwo, ruszył w moją stronę.

- Panie Piotrze! Nie! - ryknął Marek i rzucił się na tatę, przewracając go na podłogę.

Padające, bezwładne ciało taty narobiło takiego hałasu, że skutecznie zagłuszyło pierwszy grzmot, który w tej sekundzie walił z ogromną siłą. Zdwojony huk ogłuszył nas na dłuższą chwilę.

Wystraszona wypuściłam z rąk trzymane przedmioty. Marek pomagał tacie wstać, niezdarnie szamocząc się z nim i obejmując go ramionami. Najchętniej uciekłabym, gdzie pieprz rośnie.

Wstrzymywał mnie jedynie strach. Zawilak wykazał się takim bohaterstwem, że mogłam śmiało spodziewać się, iż rzuci się na mnie i kto wie, co może mi zrobić? Nie miałam wyjścia, musiałam się zdekonspirować.

- To ja, Ewal - przyznałam się drżącym głosem.
- Ewa? - nie wierzył Marek.
- Idiotka, nie Ewa! - wrzeszczał tata. - Co ty tu u diabła wyprawiasz? Dlaczego nas straszysz?
- Co wy tu robicie? - broniłam się. - Jest burza, noc! Co za kretyński pomysł, żeby teraz łązić po strychu...

Marek, śmiejąc się serdecznie, oparł się o toaletkę.

- Ty się nie śmie! Trzymaj mnie, bo ją pacnę! - denerwował się ojciec. - To twoje głupie pomysły! Niespodzianka! Mało mi gnatów nie połamałeś!
- Bardzo pana przepraszam... - tłumaczył się Marek. - Ewo, pan Piotr ma rację, to moja wina. Chciałaś toaletkę, więc pomyślałem, że się ucieszysz, kiedy rano zobaczysz ją w swoim pokoju. Strasznie głupio to wszystko wyszło...
- Dziecinada! - warczał tata. - Że też jestem taki głupi i dałem się na to namówić.
- Burza szaleje! Nie ma o co się spierać. Toaletkę trzeba znieść. Do pracy! - rozkazałam. - Pioruny walą nam nad głowami...

Monotonne dudnienie deszczu o dachówki przerywały głucho grzmoty. Sceneria była przerażająca. Co kilka sekund rozjaśniało się małe, dachowe okienko, rozświetlając fragment strychu. Dostałam gęsiej skórki, nie wiem czy ze strachu, czy z zimna. Szczękając zębami, wzdrygałam się przy kolejnych hukach. Toaletka chybotwała się już na skraju wejściowego otworu.

- Jak chcecie ją spuścić? Przecież może się rozlecieć? - martwiłam się.
- Dobrze byłoby, gdybyś zeszła na dół i pilnowała - zaproponował Marek. - Dasz radę?
- Zejdę! Uważajcie tylko, żeby ten piękny mebel nie wylądował na mojej głowie.

- Nie wymądrzaj się! Złaz i asekuruj! Tylko zachcianki ci w głowie! Wymyślania! Drabinę zabierz, żebyśmy mieli więcej miejsca - beształ mnie tata.

Bez słowa komentarza zeszłam i odstawiłam drabinę, opierając ją o ścianę. W czarnej dziurze w suficie obserwowałam toaletkę. Powolutku zbliżała się na długość moich wyciągniętych rąk.

- Ewo, staraj się ją troszeczkę odchylić, tak, żeby można było przystawić znów drabinę, bo zostaniemy tu na wieki - prosił Marek.

Stary mebel kołysał się tuż nad moją głową. Z trudem udało mi się skierować go trochę w bok. Przy zetknięciu z podłogą toaletka wydała głuchy pomruk. Z góry spadła lina, co mogło oznaczać tylko jedno: koniec akcji pod kryptonimem „Niespodzianka”. Szybko podstawiłam drabinę i dzielni konspiratorzy zeszli ze strychu. Ojciec staranie przyłożył pokrywę zamykającą wejście. Marek stał obok mnie i przyglądał się swoim otartym przez linę nadgarstkom.

- Przydałyby się tu jakieś schodki - mówił jakby od niechcienia.

- A po co? - kpiąco pytał tata. - Tu nikt nie chodzi. Nie ma takiej potrzeby, gdyby nie fanaberie księżniczki, moglibyśmy spać spokojnie.

- To może ja zrobię herbatkę - zaproponowałam, chcąc zatrzeć złe wrażenie, jakie tato wywarł na Marku.

Rozdział 15

Ojciec nie miał racji, schody na strych były naprawdę potrzebne, przekonałam się o tym następnego dnia rano, bezowocnie poszukując kuchennego noża.

- Spodziewałem się tego - mamrotał tata. - Jesteś tu zaledwie kilka dni, a już niczego nie można znaleźć. Leżał zawsze na swoim miejscu. Chcesz tu mieszkać, proszę bardzo, ale nie pozwolę zniszczyć całego domu. Bądź tak dobra i szanuj to, co tu zastałaś. Starzy ludzie cenią sobie porządek.

- Tato, niczego nie przestawiałam, nie chowałam, nie zabierałam - broniłam się.

- A nóż! - ojciec nie zamierzał ustąpić. - Sam wyszedł na spacer, przewietrzyć się?

- Nie wiem, może Marek go pożyczył... - próbowałam znaleźć jakieś wyjście z tej bezsensownej opresji.

- Nie zasłaniaj się gościem! To nasz dom i my musimy dbać o swój majątek! - krzyczał ojciec, wywracając do góry nogami wszystkie szuflady w kredensie.

Zaniechałam poszukiwań. Usiadłam przy stole i spokojnie piłam kawę. Po burzliwej nocy wstał wyjątkowo ładny dzień. Przez otwarte okno wpadało świeże, rześkie powietrze i słychać było śpiew ptaków. Oddychałam, rozkoszując się pięknem poranka, kiedy przez głowę przebiegło mi mgliste wspomnienie noża. O kurczę, przecież wyniosłam go na strych. Będę mia-

ła za swoje. Tata przy każdej okazji wypomni mi rozrzucanie sztućców po całym domu. Odczekam, aż ojciec wyjdzie z domu i wdrapię się na górę, potem podrzucę ten cholerny nóż do szuflady i po kłopotcie.

- Mamy gości - mówił tata, spoglądając przez okno.

- Kogo? - zapytałam, udając brak zainteresowania tak wczesną wizytą.

- Adam z Tomkiem!

Na widok wnuka ojciec odruchowo zaczął poruszać się inaczej. Przygarbił się, wysunął głowę do przodu i podreptał do drzwi wolnym, nienaturalnym dla niego, posuwistym krokiem, jakby w obecności Tomka nie wypadało mu demonstrować ciągle jeszcze wspaniałej kondycji fizycznej.

Najwyraźniej pragnął wcielić się w rolę dziadka, udowadniając, że czas zrobił swoje i choćby z tej racji należy mu się szacunek. Obserwując kątem oka aktorskie popisy ojca, nastawiłam czajnik.

- Napijcie się kawy? - zapytałam, kiedy weszli do kuchni.

- Małą chętnie... - Adam ucałował mnie w policzek. Podeszłam do Tomka.

- Witaj bratanku. Wyrosłeś na przystojnego mężczyznę -komplementowałam go.

- Trochę podrosłem, fakt - przytaknął. - Ładna fryzurka -pochwalił. - Modna! - ironizował.

- Mogłam się tego po tobie spodziewać. Niedaleko pada jabłko od jabłoni - śmiałam się, odruchowo przyglądając źle obcięte włosy.

Od naszego ostatniego spotkania Tomek wyciągnął się tak bardzo, że musiałam wspiąć się na palce, aby ucałować jego młodzieńczą twarz. Przyjrzałam się mu z bliska, bardzo przypominał swojego dziadka. Oprócz zewnętrznych podobieństw mieli prawie identyczne charaktery. Tomek od dziec-

ka miał trzeźwe podejście do otaczającej go rzeczywistości, trafnie formułował wnioski z zaobserwowanych wydarzeń.

- Słyszałem ciociu, że na zawsze porzuciłaś wielkie miasto i postanowiłaś wrócić na łono rodzinki - zagadywał mnie bratanek.
 - W przyrodzie musi być równowaga. Niedługo ty wyruszysz w wielki świat. Ktoś musi tu wypełnić miejsce po tobie - mówiłam, zalewając kawę gorącą wodą..
 - Jednym słowem taka wymiana pokoleń - żartował.
 - Swoista zmiana warty... Musisz jednak pamiętać, że ja wykonałam swój plan w stu procentach, tym samym podniosłam poprzeczkę. Bez doktoratu nie masz tu po co wracać.
 - A z doktoratem jest po co? - spytał.
 - Tego jeszcze nie wiem. Powiem ci to za kilka lat. Wymienimy się wtedy doświadczeniami - zaproponowałam, ustawiając szklanki na stole.
 - Adam, dobrze, że jesteś - zmieniłam temat, bo przewidywałam, że Tomek zacznie wypytywać mnie o Pana S. - Pozwól do mojego pokoju. Chciałam się ciebie poradzić, co można zrobić z toaletką mamy. Przydałaby się jej drobna renowacja -sprytnie wywabiłam brata z kuchni.
 - Z jaką znów toaletką? - dopytywał się brat.
 - Chodź ze mną, to ci wszystko pokażę i wyjaśnię - zaproponowałam.
 - Nawet kawy nie można wypić... - biadolił, ale podniósł się z krzesła i ruszył za mną.
- W milczeniu dotarliśmy do mojego pokoju. Staranie zamknęłam drzwi, nie chciałam, żeby ktoś usłyszał naszą rozmowę.
- Co jest? - spytał Adam, sadowiąc się w bujanym fotelu.
 - Byłam w nocy na strychu - mówiłam tajemniczym głosem.

- W nocy? - patrzył na mnie z niedowierzaniem. - Po jaką cholere łązisz tam po ciemku, w dodatku podczas burzy? Odbiło ci? Jeszcze ktoś by usłyszał... - denerwował się.
- Spokojnie. Prawdę mówiąc, to ja ich usłyszałam - i opowiedziałam mu o wydarzeniach, jakie miały miejsce w czasie, kiedy błyskawice rozświetlały niebo, a pioruny wstrząsały całą okolicą.
- Jesteś pewna, że chodziło im tylko o toaletkę? - dopytywał się.
- Tak, tym razem nie szukali skarbu. Jest jeszcze jeden problem. Zostawiłam tam nóż... - przyznałam się.
- Nóż? Ewo, ty się na pewno dobrze czujesz? - Adam nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi.
- Całkiem możliwe, że nastąpiły już poważne, nieodwracalne zmiany w mojej psychice - zastanawiałam się nie na żarty. - Słuchaj, myślałam, że to są bandyci. Idąc na strych, zabrałam z kuchni nóż do krojenia chleba, dla obrony - tłumaczyłam. -Potem zapomniałam o nim i zostawiłam go. Dziś rano tata...
Nie musiałam kończyć. Adam zrozumiał sytuację. Serdecznie śmiejąc się, drwił ze mnie prosto w oczy:
- Nie chcę cię straszyć, ale masz przechlapane. Tatuś ci nie popuści! Szoruj na ten cholerny strych, bo w przeciwnym razie radzę ci się już pakować! Ukochany nóż ojczulka! Dobrze! Sama się ładujesz w kłopoty.
- No właśnie. Dlatego mam do ciebie ogromną prośbę. Musisz jakoś wywabić ojca z domu. Nie wdrapię się tam, kiedy on się tu szwenda. Schował gdzieś drabinę!
- Ewo, nie wiesz, co mówisz. Bardzo się zdziwiłem, że sam, z własnej i nieprzymuszonej woli poszedł na pogrzeb Zawilaka. Ojciec nie opuszcza własnego podwórka. Musisz sobie sama radzić, ja ci nie pomogę - mówił Adam, sceptycznie kiwając głową.

- Kiedyś przecież musi wychodzić, chociażby po zakupy -upierałam się.
- I tu się mylisz - Adam śmiał się pobłaźliwie. - Sprawunki przynosi mu znajoma, tatulek sam nie zasuwa z siatkami. Dziewczyno, nie będzie ci tu lekko...
- Nie nabijaj się ze mnie. Ciekawe, jak chcesz szukać skarbu, kiedy ojciec będzie w domu? Gdzie on trzyma drabinę? Sama sobie dam radę! - denerwowałam się.
- Spokojnie. Coś się wymyśli. Marek jest tu jeszcze? - zapytał.
- Nie wiem, dzisiaj go nie widziałam... Pewnie odsypia nocną wyprawę.
- W nim nasz ratunek, tylko on może wyprowadzić tatę z domu - ucieszył się Adam.
- Jak to sobie wyobrażasz? Zaprosi go na przechadzkę? -ironizowałam.
- Wiesz co? Nie dziwię się, że zostałeś na lodzie. Nie masz ani odrobiny sprytu. Trzeba działać dyplomatycznie. Zostaw ten nóż w spokoju, ja pomyślę, ułożę plan i po południu wpadnę do was. Pogadam z Markiem - obiecywał. - Teraz muszę lecieć, mam umówionych klientów. Od kiedy zaczynasz pracę? - zapytał.
- Nie bój się, do tego czasu zdążymy znaleźć skarb - uspokajałam go.

Rozdział 16

Zajrzałam do pasmanterii Zbyszka. Codzienne odwiedziny u przyjaciela sprawiały mi prawdziwą przyjemność, stanowiąc odskocznnię od nachodzących mnie pesymistycznych rozmyślań. Małe zaplecze sklepiku, oddzielone od rozgrywających się na zewnątrz wydarzeń, istniejące jakby w próżni, funkcjonowało w mojej świadomości jako bezpieczne schronienie, wyspa na wzburzonym, kipiącym morzu, ostoja i oaza, w której mogłam nabrać sił na dalszą wędrówkę po nieprzychylnych uliczkach rodzinnego miasta. Tembr głosu Zbyszka działał kojąco na mój system nerwowy, a wypowiedane przez niego spostrzeżenia pokrywały się z moimi poglądami.

- Kawa i ploteczki? - zapytał bezceremonialnie.

- Nie wiem, czy na ploteczki mam wystarczającą ilość informacji o tutejszej społeczności - starałam się wykręcić. - Kawki jednak chętnie się napiję.

- Niepotrzebnie tak się wzdrygasz - tłumaczył z kamiennym wyrazem twarzy, prowadząc mnie na zaplecze. - Nasze zainteresowanie bliźnimi nie zawsze ma negatywne podłoże. Poświęcając uwagę problemom współmieszkańców naszej małej społeczności, staramy się uczestniczyć w ich życiu. Co prawda, jest to bierny udział, ale dowodzi, że nie pozostajemy obojętni na sprawy innych ludzi - ironizował. - Poza tym, zawsze miło jest wiedzieć, że komuś wiedzie się gorzej od nas.

Dowartościowujemy się cudzymi zmartwieniami, udajemy przejętych, poruszonych ich nieszczęściem, a w duchu dziękujemy Bogu, że nasze życie przebiega spokojnie i że to nie my jesteśmy na językach całego miasta.

- To ciekawe - przyznałam. - Przygotowałeś sobie całą ideologię tłumaczącą funkcjonowanie małomiasteczkowej plotki. Przez zdefiniowanie problemu, oswojasz go, usprawiedliwiasz i już bez przeszkód możesz do woli korzystać z rozkoszy płynących ze śledzenia cudzych tragedii.

- Nie do końca się z tobą zgodzę - mówił łagodnie, stawiając przede mną filiżankę z parującą, aromatyczną kawą. - Jestem gorącym wyznawcą teorii, którą na własny użytek nazywam teorią permanentnych doświadczeń. Niestety, wykorzystujemy swój emocjonalny potencjał w minimalnym stopniu, zresztą podobnie dzieje się z naszym intelektualnym potencjałem. Nie mogąc odczuć na własnej skórze całego wachlarza uczuć, palety odcieni przeżyć, chętnie poddajemy się empatii, tłumacząc sobie, oczywiście błędnie, że dzięki temu jesteśmy bliżsi poznania prawdy. Plotka jest jedynie narzędziem, pretekstem, pożywką dla naszego układu obronnego, który szykujemy sobie na wypadek osobistych tragedii. To taka swoista szczepionka. Wytwarzanie mechanizmu obronnego. Jako produkt uboczny, dzięki egoizmowi, czasami uda się nam wykrzesać odrobinę współczucia dla drugiego człowieka.

- Fascynujące - mówiłam z uznaniem. - Z tego wynika, że nawet najgorsze przywary można uważać za zalety, wszystko zależy od odpowiedniej interpretacji faktów i intencji - śmiałam się.

- Oczywiście - Zbyszek zmienił ton z profesorskiego na przyjacielski. - A tak już całkiem poważnie, to moja mama zawsze twierdziła, że dopóki ludzie o tobie mówią, dopóty wiadomo, że żyjesz.

- I w ten oto sposób doszliśmy do konkluzji, że plotka jest nieodłącznym elementem naszego życia - podsumowałam.
- A nawiązując do tego - dodał Zbyszek - mogę pogratulować ci intensywności życia.
- Co przez to rozumiesz? - zaniepokoiłam się.
- Nic poza tym, co powiedziałem. Twoja historia krąży po mieście, rozrasta się i nabiera wspaniałych barw. Jednym słowem, jesteś obecną sensacją - informował mnie.
- Obecną? - spytałam zdziwiona tym sformułowaniem.
- Obecną na ustach wszystkich mieszkańców - uściślił. Miła atmosfera prysła jak mydlana bańka. Nie przypadła mi do gustu rola dziwoląga. Już czułam na sobie wzrok przechodniów. Słyszałam drażniące szepty za moimi plecami. Ironiczne uśmiešky, świdrujące spojrzenia, próbujące zgłębić tajemnicę, przesywały mnie na wylot. Powinnam była to przewidzieć, wcześniej obrać linię obrony. Zbagatelizowałam zagrożenie! Nieprzygotowana musiałam stawić czoła niewidzialnemu wrogowi - plotce!
- Myślę, że przesadzasz... Nie jestem interesująca... Zwyczajna kobieta po czterdziestce... O czym tu mówić? - denerwowałam się.
- No wiesz! - oburzył się. - Wracasz po tylu latach, z tytułem doktorskim i ciągle nosisz rodowe nazwisko. Jesteś istną kopalnią domysłów! Pomyśl sama! Dajesz niezwykle możliwości. Fantazja rusza i już wiemy, dlaczego nie masz męża i dzieci i dlaczego zrezygnowałaś z pracy w klinice.
- Właśnie, dlaczego? - próbowałam porównać rzeczywistość z plotką.
- Wersji jest kilka. Do wyboru, do koloru. Jedna z nich głosi, że zaordynowałaś złe leki, w rezultacie czego twój pacjent zmarł.
- Coś podobnego! Jak można wymyślać takie brednie? - irytowałam się.

- Spokojnie, to nie jest najgorsza wersja - łagodził moją reakcję Zbyszek.
- Są gorsze? - nie wierzyłam.
- Owszem...
- Nie oszczędzaj mnie. Wal prosto z mostu! Zniosę to dzielnie.
- No, nie wiem...

Przyglądał się mi wystraszonym wzrokiem i cichutko, z krótkim pauzami, wymieniał:

- Zaraziłaś się zapaleniem opon mózgowych i teraz masz kłopoty z logicznym myśleniem...

Romansowałaś z szefem, przez co wyrzucili cię z wielkim hukiem... Brałaś kolosalne łapówki...

Mimo tytułu doktorskiego, byłaś niekompetentna...

Z niedowierzaniem kiwałam głową.

- Nawet nie próbuj mi mówić, co mieszkańcy miasta wiedzą na temat mojego życia osobistego - lojalnie go uprzedzałam. - Nie ręczę za siebie!

- Rozumiem! Gdybyś jednak chciała poznać swoją przyszłość... - śmiał się.

- Z fusów, z kart, z ręki czy z księżyca? - dopytywałam się zgryźliwie.

- Prawdopodobnie z sufitu - przyznał.

- Z sufitu może być. Mów śmiało! W sumie dobrze jest wiedzieć, co nas czeka.

- A przyszłość przed tobą świetlana - Zbyszek naśladował cygankę. - Sierota przy tobie. Szpakowaty, bogaty, z zagranicznym paszportem. Szczęście pod jego dachem znajdziesz! Dobrobyt zamieszka z wami. Kto wie, może i potomstwa się doczekasz? - zakończył i podejrzliwie przyglądał się mojej minie.

- Rozczarowałaś mnie - przyznałam z niesmakiem. - Byłam pewna, że wymyślisz coś mocniejszego. Na przykład, że

uwiodę i pogrążę burmistrza, a na jego stołek wsadzę Adama. Niech też ma trochę radości z życia - śmiałam się.

- Takie prorocтва też krążą. Pamiętaj jednak, że w każdej plotce jest maleńkie ziarnko prawdy - ostrzegał.

- Co więc mi radzisz? - spytałam.

- Nic! Życie samo dopasuje się do tutejszych prorocत्व. Kto wie, może rzeczywiście znajdziesz swoje szczęście?

Po wizycie u Zbyszka wsiadłam do auta i chyłkiem przemknęłam przez miasto.

Rozdział 17

Tata, ubrany w eleganckie, jasne spodnie i beżową koszulkę, stał w przedpokoju. Na nogach miał sandały, w ręce trzymał skórzaną saszetkę. Pomyślałam, że gdzieś się wybiera.

- Gdzie ty się włóczysz? - przywitał mnie. - Dorób sobie w końcu klucz od domu! Jadę z Markiem załatwić kilka spraw. Wrócimy późno, więc nie czekaj na nas z obiadem.

- O, właśnie! - przypominałam sobie. - Nie ustaliliśmy, które z nas będzie się zajmowało przygotowywaniem posiłków.

Do tej pory robiliśmy to wspólnie, ale niedługo musiałam rozpocząć pracę, więc trzeba było jasno określić zasady gry. Nie lubię niedomówień, dlatego wykorzystałam sprzyjającą chwilę.

- Co tu jest do ustalania? - dziwił się ojciec. - Ty pracujesz, ja gotuję! Wszystko na ten temat.

- To wspaniale! - ucieszyłam się. - Nie lubię stać przy kuchni. Zawsze Pan S. gotował. Na początku miesiąca będę dawała ci na opłaty i jedzenie. Może tak być?

- Nie chcę od ciebie ani grosza. Opłaty robiłem bez twojej pomocy, to i teraz sobie poradzę. Stać mnie jeszcze na utrzymanie córki! - zachnął się tata. - Trzymaj kasę na własne potrzeby.

- Tato! - tłumaczyłam. - Zdaję sobie sprawę z tego, że inaczej wyglądają wydatki na utrzymanie jednej osoby, a inaczej dwóch. Dołożę się i będziemy kwita.

- Nie drażnij mnie - ostrzegął ojciec. - Kwita! Też coś! Do grobu pieniędzy nie zabiorę. Jak daję, to korzystaj! Tylko Adamowi nic nie mów. Jak go znam, zaraz się poczuje pokrzywdzony przez los i też będzie chciał mnie wydoić. Jemu mało i mało... On zawsze biedny... Klucz dorób! I rób tu sobie, co chcesz, maluj, remontuj, przestawiaj! Pamiętaj tylko o pokoju mamy. Nie masz tam wstępu i nawet nie próbuj tam zaglądać. Dziś przyjdzie tu młoda dziewczyna. Bądź dla niej miła! Ona wie, co ma robić. W nic się nie mieszaj i nie wydawaj jej poleceń. Nie jest służącą, lecz przyjaciółką. To chyba wszystko. Idę, bo Marek na mnie czeka. Aha! Adam zaraz przywiezie ci pizzę. Nie wiem, czy lubisz, ale nie chcę, żebyś była głodna.

- Tato! Ja jestem naprawdę dużą dziewczynką i umiem
O siebie zadbać!

- Umiesz? Właśnie widzimy, jak pokierowałaś swoim życiem! A niech tam... - machnął ręką. - Nie będę się denerwował, to nic nie da. Niech Adam załatwi z tym kluczem.

I ojciec, niespodziewanie, nastawił policzek do pocałowania. Zdziwiłam się, bo myślałam, że takie odruchy są mu obce, ale chętnie wykorzystałam sytuację, cmokając go z niekłamana przyjemnością.

Ledwie zamknęłam za nim drzwi, usłyszałam podjeżdżający pod dom samochód.

Adam był podniecony jak małe dziecko, które z napięciem oczekuje pojawienia się świętego Mikołaja. Od drzwi radośnie krzyczał:

- Chata wolna! Możemy spokojnie pobuszować! Daj talerze! Zjedzmy szybko i do roboty.

Położył na kuchennym stole pudełko z pizzą. Rozcierał ręce

i przestępował z nogi na nogę. Zawsze zastanawiały mnie niektóre reakcje dojrzałych mężczyzn.

Czasami przypominali małych chłopców, chcących jak najszybciej zrealizować swoje marzenia.

Dobrze znałam całą procedurę dążenia do celu

„małymi kroczkami". W ich umysłach zapalała się najpierw lampka, świadcząca o potrzebie natychmiastowego posiadania upragnionej rzeczy, przedmiotu, kobiety. Widząc szansę spełnienia pragnień, przystępowali do natarcia i wymuszali na otoczeniu akceptację swoich niedorzecznych pomysłów. Wtedy właśnie przekonywali, że są bliscy osiągnięcia pełnej Szczęśliwości i do stanu absolutnej ekstazy brakuje im tylko... Podskoki, składanie rąk w błagalnym geście, przymilne uśmiechy i czułe słówka przyspieszały wykonanie ich zamierzeń. Ich zachowanie w chwilach radosnego podniecenia wzbudzało we mnie skrajne odczucia. Z jednej strony rozśmieszali mnie, rozczulali, budzili politowanie i mogli liczyć na zrozumienie, z drugiej strony buntowałam się przeciwko wyrafinowanemu sposobom postępowania, złościła mnie ich nachalność, a chwilami nawet bezczelność. Prezentowany egoizm dorosłych mężczyzn doprowadzał mnie do szału. Mimo to, za każdym razem ulegałam pod wpływem tego słodkiego spojrzenia, dawałam się nabrać na błagalne gesty i obietnice, że w zamian zostanę wynagrodzona dozgonną wdzięcznością. Ostatni raz widziałam cały ten cyrk, kiedy Pan S.. zapragnął jachtu! Przez dwa miesiące tuptał za mną i podskakiwał jak pajac na sznurku. Teraz pewnie pływa ze swoją prawowitą żonką po mazurskich jeziorach i nawet nie wspomni moich wyrzeczeń, jakie w związku z tym zakupem musiałam ponieść. Podniecenie Adama najprawdopodobniej wynikało z chęci odnalezienia skarbu. Jadł łapczywie i poganiał mnie jak małe dziecko:

- Mamy mało czasu. Dobrze, że Marek zgodził się zabrać tatę. Drugi raz taka okazja już może nam się nie nadarzyć. Chodź już! Potem skończysz.
- Wiedziałaś, że przychodzi tu jakaś sprzątaczką? - spytałam z pełnymi ustami.

Całkowicie bezwiednie poddałam się jego nastrojowi.

- Kiedyś ojciec wspominał, że pomaga młodej dziewczynie. Płaci jej grosze, ale dla niej to i tak duże szczęście, że ma zajęcie.

- Kto to? Znasz ją? - dopytywałam się. - Ma tu dzisiaj wpaść. Co będzie, jak zastanie nas na strychu?

- Wielkie rzeczy - Adam bagatelizował sprawę. - Powiemy, że chcemy tam uprzątnąć. W końcu to strych naszego ojca. Mamy prawo.

- Racja - przyznałam. - Wiesz, gdzie drabina?

- Tak. Zaraz ją przytargam, a ty tymczasem przebierz się w jakieś gorsze ciuchy - komenderował.

- Nie mam „gorszych ciuchów” - stwierdziłam. - Od biedy mogę narzucić na siebie nieprzemakalną kurtkę.

- Mnie tam wszystko jedno w czym pójdiesz - tłumaczył się Adam. - Pewnie na górze kurzu i brudu jest pod dostatkiem. Wątpię, żeby tata często chodził na strych.

Na strychową wyprawę postanowiłam nałożyć ulubioną bluzkę Pana S. Podobał mi się w niej mały, wdzięczny kołnierzyk, którym wykończony był spory dekolt. Dostałam ją na ostatnią, wspólną Gwiazdkę. Wtedy na jej widok szalałam z radości, dziś nie mogłam na nią patrzeć.

- Ewa, chyba źle mnie zrozumiałaś - dziwił się Adam, kiedy zjawiłam się przy włączaniu na strych odstrojona jak na randkę.

- I tak zamierzałam ją wyrzucić. Nie pasuje do mojego nastroju.

- Powiedz, gdzie i kiedy będziesz nią rzucać! Chętnie złapię - żartował.

- A tobie ona po co? - dopytywałam się, robiąc groźną minę. - Grażynka niestety w nią się nie zmieści! Masz kogoś na boku?

- Oszalałaś! - oburzył się Adam. - Jeszcze mi tego brakowało. Jedna jędra mi wystarczy!
- Ustawił drabinę i nie oglądając się na mnie, wspiął się po niej do góry. Kiedy już był na strychu, wystawił głowę przez otwór i grzecznie prosił:
- Bądź tak miła i podaj mi tę torbę - pokazywał palcem na leżący pod ścianą brezentowy worek. Schyliłam się i próbowałam go podnieść. Okazało się, że nie jestem w stanie dźwignąć go powyżej ramion.
- Ciężkie cholerstwo! Coś ty tam zapakował?
- Adam zmuszony był zejść kilka stopni po drabinie, żeby odebrać ode mnie ten tłumok.
- Przygotowałeś się jak na złodziejską wyprawę - szydziłam z niego. - Nadal nie wiem, po co tam idziemy?
- Po nóż - przypomniał mi. - Nie gadaj tyle, tylko włącz. Zaraz może się przypałać ta sprzątaczką.
- O, bardzo cię przepraszam - mówiłam, gramoląc się na drabinę. - Nie sprzątaczką, lecz przyjaciółką! Tato konkretnie określił jej status.
- Guzik mnie to obchodzi - stwierdził Adam z głębi strychu. - Może być nawet kochanka. Nic mi do tego.
- No wiesz! - udawałam wzburzoną. - Kochanka w żadnym razie. Ja się nie zgadzam! Jeszcze może chciałaby tu zamieszkać? Wypraszam sobie! Ja, tata i kochanka pod wspólnym dachem?
- Adam nie zwracał na mnie uwagi. Wyjmował z torby olbrzymią latarkę i jakiś kawał żelastwa.
- Po diabła ci ten łom? Cały dom chcesz rozwalić? - obawiałam się.
- Znajdź nóż i schowaj go do torby, żebyśmy o nim nie zapomnieli, jak...
- Jak znajdziemy skarb? - dokończyłam tajemniczym szeptem.

- Ty to jesteś nieodrodną córeczką tatusia! Drwić z biednych ludzi to wy już potraficie! A plan zabrałaś?

- Zabrałam...

Adam rozkładał narzędzia, a ja rozglądałam się za nożem. Szczerze mówiąc, musiałam przyznać mu rację. Charakterek odziedziczyłam po ojcu, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ciocia Janka twierdziła, że jeżeli córka podobna jest do ojca, będzie w życiu bardzo szczęśliwa. Może jest w tym trochę prawdy, ja jednak na pewno stanowię niechlubny wyjątek od tej reguły. Dziesięć lat... Dziesięć długich lat oszukiwania samej siebie, wmawiania sobie, że osiągnęłam wymarzony cel, że mogę polegać na kochanym mężczyźnie. Nic nie szkodzi, że nie ma rozwodu... Ślepo wierzyłam w jego miłość i oddanie. Wiara ponoć czyni cuda! Cud to też był prawdziwy! Po tylu latach olśniło go! Przypomniał sobie, komu ślubował! Zakochał się ponownie we własnej żonie! No i jak tu nie wierzyć w cuda? Gdzie jest ten cholerny nóż?!

- Jestem gotowy do rozpoczęcia akcji pod kryptonimem „Skarb” - meldował Adam. - Masz go?

- Kogo? - odpowiedziałam łamiącym się głosem.

- Ewa, coś nie tak? - zaniepokoił się.

- Wszystko w porządku, porzucone kobiety mają to do siebie, że chwilami tracą kontakt z rzeczywistością - tłumaczyłam niby żartem, chociaż mówiłam śmiertelnie serio.

- Chętnie obiłbym mu mordę! - deklarował Adam.

- Daj spokój! Nie ma o czym i o kim mówić... - gasiłam jego zapał. - Nie widzę noża. Potem poszukam. Spójrzmy na plan.

Na odręcznie narysowanym szkicu uwzględniono ważniejsze elementy strychu. Centralne miejsce na planie zajmował komin. Z niemałym zdziwieniem zauważyłam, że zaznaczono wszystkie deski w podłodze. Zaczęłam je liczyć i porównywać ze stanem taktycznym.

- Liczba desek się zgadza - z podziwem kręciłam głową. - Może rzeczywiście coś tu jest? Zostawmy to w spokoju i nie zaglądamy do skrytki. Diabli wiedzą, co tam znajdziemy.

- Mowy nie mai Uspokój się! Sama widzisz, że plan jest dokładny. Szybko wyjmemy co nasze i w nogi - starał się opanować drżenie rąk.

Rozejrzałam się dookoła. Stare, ustawione pod ścianami meble wydawały się znajome i powoli przywoływały wspomnienia z dzieciństwa. Duża, trzydrzwiowa szafa... Zamknęłam oczy i pod powiekami zobaczyłam słoneczny pokój z rozsuwanymi drzwiami, w którym oprócz szafy i dostawionego do jej boku krzesła, były dwa drewniane łóżka z ustawionymi przy nich wysokimi, nocnymi szafeczkami. Okrągły stolik wciśnięty był w kąt między oknem a rozsuwanymi drzwiami. Naprzeciwko szafy stała toaletka. Ta sama toaletka, która teraz jest w moim pokoju.

- Adam, pamiętasz tę lalkę? - zapytałam.

- Jaką znowu lalkę? - odpowiedział, nie podnosząc oczu znad pożąłkłego planu.

- Tę na szafie! - starałam się przypomnieć mu ważne wydarzenie z naszego dzieciństwa. - Wtedy przestałam wierzyć w Mikołaja - wyznałam.

Adam usiadł na drewnianej podłodze, odłożył plan i z melancholijnym uśmiechem przyglądał się dużej, odrapanej szafie.

- Musisz przyznać, że to był dobry numer. Sprytnie to wymyśliliśmy! Rodzice się nie zorientowali - wspominał.

- Tak, prawda... Myśleli, że są przebiegli, a tymczasem to my ich wykołowaliśmy. To jest chyba moje najmilsze wspomnienie... Ciekawe, czy ta lalka jest gdzieś jeszcze? Na imię miała Ula. Pamiętam ją, jakby to było wczoraj.

- Ale jak ty wtedy zauważyłaś to pudełko? - zastanawiał się Adam.
- To akurat nie było trudne. Jak każda mała dziewczynka lubiłam godzinami marzyć przed lustrem. Wyobrażałam sobie, że jestem piękną księżniczką zamkniętą w zamkowej wieży, która czeka na swojego rycerza. Jednak, jak to w życiu bywa, mój wybawca nie pojawiał się, więc z nudów obserwowałam zwierciadlane królestwo. Któregoś dnia zobaczyłam, że na szafie stoi jakieś pudełko! Sama nie mogłam się po nie wspiąć. Byłam za mała...
- Ja nie byłem za mały - śmiał się Adam. - Pamiętam swoje rozczarowanie... Miałem nadzieję znaleźć w nim wymarzoną elektryczną kolejkę... Wchodziłem najpierw na krzesło, które stało przy szafie, potem łapałem się mocno jej górnej krawędzi i jak małpka wdrapywałem się na górę. Fajnie było tam siedzieć i obserwować pół mieszkania. Kiedyś rodzice szukali mnie, a ja cichutko leżałem, przyglądając się ich zmartwionym twarzom.
- Codziennie zdejmowałaś ją z szafy. Bawiłam się nią... Przed powrotem rodziców z pracy, chowaliśmy lalkę do pudełka i znów wchodziłem na szafę... To trwało chyba ze dwa tygodnie, do samej Wigilii. Ula była moją pierwszą lalką z wszytymi włosami! Jakie to teraz śmieszne...
- Nie pamiętasz, co ja wtedy dostałem pod choinkę? - zastanawiał się Adam.
- Nie, ale na pewno nie była to kolejka. Kolejkę dostałeś kilka lat później. Nie chciałeś się już nią bawić. Tata był zawiedziony, myślał, że się ucieszysz - przypominałam sobie.
- Była enerdowska! Miała nawet stacje i dwa ruchome przejazdy... Żeby tak można było cofnąć czas?
- rozmarzył się Adam.
- I znów bawić się wymarzonym prezentem, schowaną na szafie lalką. Poczuć smak spełnionych życzeń, jeszcze przed ich

urzeczywistnieniem się, przed odwiedzinami świętego Mikołaja! - wtórowałam mu.

- Ja już czuję smak skarbu. Moje mózgowy radary odbierają impulsy! On tu jest! Schowany przed nami jak ta lalka! Do roboty! Teraz on nam przyniesie szczęście! - prorokował Adam, najwyraźniej podbudowany wizją bajecznej przyszłości.

Usiadłam na zakurzonej podłodze, podniosłam plan i zaczęłam liczyć deski odchodzące od komina. Wszystko wskazywało na to, że skarb powinien być ukryty pod szczytowym, trójkątnym okienkiem. Obejrzałam się i zobaczyłam niską komodę. Nie dotykała ściany Ustawiona była prawie metr od niej. Miałam wrażenie, że celowo zasłania miejsce ukrycia skarbu. Jak dotąd wskazówki były jasne i miały potwierdzenie w rzeczywistości.

- Jest pod komodą - wyszeptalam.

Adam odpowiedział ściszym głosem. Z dołu dochodziło warczenie odkurzacza. Widocznie przyjaciółka taty zabrała się za porządki.

- Chyba przymknę kłapę. Nie chcę, żeby nam ktoś przeszkadzał, kiedy jesteśmy tak bliscy celu. Po co ryzykować! - mówił podniecony Adam.

Położył się na podłodze. Najciszej jak tylko się dało, odstawił drabinę i oparł ją o ścianę. Wychylał się przy tym tak mocno, że odruchowo przytrzymałam mu nogi, bojąc się, że spadnie na dół. Kłapę przesuwaliśmy oboje. Nie była ciężka, ale trudno było ustawić ją w odpowiedniej pozycji tak, żeby ściśle przylegała do otworu. Sami odcięliśmy sobie drogę odwrotu! W głowach królowało nam jedno słowo. Czarodziejskie, magiczne, tajemnicze słowo: „Skarb”!

Bez zbędnej zwłoki ruszyliśmy w stronę komody. Nie sprawdzając, co też kryją stare szuflady, przesunęliśmy ją o całe dwa metry Na drewnianych deskach pozostała gruba warstwa kurzu, która wyraźnie różniła się od reszty podłogi. Widocznie komoda stała tu dłużej niż pozostałe sprzęty i przez te wszystkie lata nikt

nie ośmielił się ruszyć jej z miejsca ani też pod nią posprzątać. Adam ukłęknał na oba kolana i drewnianym, małym młoteczkiem delikatnie stukał w deski. Ja wpatrywałam się w pożółkłą kartkę, próbując odnaleźć w grubej pierzynie kurzu miejsce zaznaczone na planie. Cudownie było móc zapomnieć o wszystkich życiowych porażkach i przenieść się w iluzoryczny świat złudzeń pełen nadziei i marzeń.

- Zobacz. Tu wyraźnie widać. Trzeba podnieść trzecią deskę z prawej! Musi być jakieś łączenie...
Widzisz, wgląda jakby była przecięta - nadal mówiłam szeptem.

- Pokaż! - spojrzał mi przez ramię. - Masz rację! W torbie mam małą szpachelkę. Przynieś ją, musimy zeskrobać ten wiekowy brud.

Zbity w jednolitą masę kurz odchodził od deski i śmiesznie zwijał się w rulonik. Po trzykrotnym zeskrobaniu, pokazała się jasna podłoga. Przecięcie było wyraźne. Teraz starczyło wcisnąć w szparę narzędzie i podważyć jedną część deski.

- No dobra! - zastanawiał się Adam. - Bądź taka mądra i powiedz, którą część deski mam unieść do góry?

- Oj, słaby z ciebie poszukiwacz skarbów - śmiałam się.

- Masz rację! Mądra z ciebie kobietka. Oczywiście, musimy podnieść tę, która dochodzi do ściany. Jest krótsza i łatwiej ją dźwignąć!

- No to „W imię Ojca i Syna” - przeżegnałam się - Do dzieła! Deska była spróchniała i przezarta przez korniki. Sypnęła

drobnym, żółtym pyłem. Nie stawiając większego oporu, uniosła się pod naporem szpachelki.

- Szybko! Podaj łom! - rozkazywał mi Adam.

Przy jego użyciu dźwignięcie deski okazało się dziecinnie łatwe. Adam odłożył wyjęty kawałek podłogi na bok, niedbale odrzucił żelastwo i z wypiekami na twarzy ciekawie zaglądał do dziury. Przykucnęłam przy nim i ujrzałam odnaleziony przez nas skarb...

Rozdział 18

- Ktoś nam gwizdnął drabinę! Zapakuj to wreszcie i chodź tu. Musimy się przecież stąd wydostać. Zaraz ojciec wróci i da nam skarby całego świata! Zobaczysz! - ostrzegałam.

- Coś wymyślimy - uspokajał mnie Adam.

Rozglądał się po strychu, szukając szmaty, w którą mógłby zawinąć znalezisko. Otworzył szafę, wyjął z niej stary ręcznik i owinął nim spore, metalowe pudełko. Ustawił zawiniątko na skraju otworu i sycząc, spoglądał na dół.

- Porządna ta przyjaciółka - mówił z uznaniem. - Sprząta starannie. Niczego nie pominie.

- Co jej przeszkadzała ta drabina? - zastanawiałam się.

- No właśnie? - Adam roześmiał się. - Nie ma co deliberować! Ciągniemy losy czy ty skaczesz na ochotnika? - pytał rozbawiony

- Widzę, że będę musiała cię popchnąć w otchłań! Ja na pewno zostaję na górze! Skacz i nie marudź! Innego wyjścia nie ma - zdecydowałam.

- Jak złamię nogę, będę żądał od ciebie odszkodowania - uprzedzał mnie lojalnie.

- Na to nie licz. Pierwszej pomocy ci udzielę, a to już jest i tak dużo - pocieszałam go.

Adam, widząc, że jestem nieugięta i nie może liczyć na moje bohaterstwo, skoczył i wylądował gładko. Spadł jak kot. Na cztery łapy!

- Nic sobie nie złamałeś - dopytywałam się zmartwiona.
- Krew! Widzę krew! - krzyczał, prostując się.
- O Boże! - jęknęłam. - Gdzie?
- Żartowałem - uniósł ku mnie roześmianą twarz. - Słuchaj, teraz spuść skrzynkę. Połóż się na podłodze i wyciągnij mocno ręce. Powinienem ją złapać.
- Posłusznie wykonałam zadanie. Adam, co prawda nie dosięgnął skarbu, ale kiedy go upuściłam, zgrabnie podskoczył i przejął drogocenne zawiniątko.
- Teraz siedź cicho! - polecił mi. - Zaraz wrócę i pomogę ci zejść. Schowam to w twoim pokoju.
- Pozbierałam porozrzucone narzędzia i włożyłam do brezentowego worka razem z odnalezionym nożem. Byłam gotowa do opuszczenia strychu. Patrząc po zgromadzonych przedmiotach, pamiątkach z mojego dzieciństwa i młodości, uświadomiłam sobie, że stoją tu wszystkie meble z pokoju mamy. Zdziwiło mnie to bardzo. Byłam pewna, że od jej śmierci tata nie zmieniał w nim niczego. Myliłam się! Co ukrywa przed nami? Dotarło do mnie, że mój ponad siedemdziesięcioletni ojciec ma swoje pilnie strzeżone tajemnice. Ma też młodą przyjaciółkę...
- Jesteś tam? - cicho wołał Adam.
- Tak! Już daję ci torbę! - mówiłam, nachylając się nad dziurą. - Dokonałam wielkiego odkrycia!
- Dobra, trzymam ją - mówił Adam, jakby moje słowa w ogóle go nie interesowały - Teraz ty. Spuść się, a ja będę cię asekurował od dołu.
- A co z klapą? - zapytałam.
- Zaraz przyniosę drabinę i ją zamknę - spokojnie wyjaśniał mi Adam. - Skacz!
- Co? Ani mi się śni! Zejdę stąd jak cywilizowany człowiek, po drabinie!

Adam nie miał wyjścia. Zrezygnowany machnął ręką i po chwili wrócił, niosąc drabinę.

- Teraz mogę zejść! Zapamiętaj sobie braciszku, nigdy nie zmuszaj damy do skakania ze strychu! - mówiłam.

Nóż schowałam do kuchennej szafki. Adam zamknął włącz, odstawił drabinę do komórki, a skarb ukrył w mojej szafie. Pozostały tylko wątpliwości, nurtujące mnie pytania bez odpowiedzi, dotyczące prawdziwej osobowości naszego ojca.

Rozdział 19

- Adam, o czym my właściwie mówimy? - chciałam koniecznie postawić na swoim. - Po co ci te papiery? Nie możesz zrobić z nich żadnego użytku. Kiedy ojca zabraknie, bierz sobie, co chcesz, teraz jednak zanieśmy je tam, gdzie były. To są jego rzeczy, nas to nie dotyczy.

Starłam się uświadomić mu śmieszność jego zachowań. Odnalezione przez nas dokumenty nie miały żadnej wartości, a już na pewno nie dla nas. Adam czuł pewien niedosyt i rozczarowanie. Rozbudzone nadzieje okazały się mirażem przynoszącym jedynie gorzkie porażki i utratę złudzeń. Uparcie bronił irracjonalnych marzeń, nie chcąc pogodzić się z faktami. W pewnym sensie rozumiałam go, bo przecież miło jest myśleć, że spadnie nam manna z nieba i nareszcie nie będziemy musieli martwić się o swoją materialną przyszłość, lecz ja nie miałam natury niepoprawnej marzycielki, dlatego z pobłażliwym uśmiechem przyglądałam się bratu przeglądającemu stare, rodzinne dokumenty. Nadal przypominał małe, podekscytowane dziecko szukające rozwiązania tajemnicy, gorąco wierzące, że za jego bohaterskie czyny spotka je zasłużona nagroda.

- Co ty wygadujesz? Majątek należy również do nas - złościł się. - Mamy do niego pełne prawo.

- Te poszukiwania pomieszały ci w głowie. Skąd wiesz, że ojciec był jedynakiem? Nigdy nie opowiadał o swojej rodzinie.

Twierdził, że wszyscy oprócz ciotki zginęli w czasie wojny. Jesteś pewny, że mówił prawdę? Sam widzisz! Z tych dokumentów wynika czarno na białym, że oni wyjechali i to jeszcze przed wrześniem! Zastanawiam się, dlaczego zostawili tatę, przecież był wtedy małym dzieckiem?

- Pewnie obawiali się, że nie przeżyje trudów podróży. Może akurat był chory? Musieli się tam najpierw urządzać, chcieli go potem ściągnąć, zresztą opiekowała się nim ciotka... - Adam szukał logicznego wytłumaczenia.

- Te dolary... - przypomniałam sobie. - Oni przedostali się do Ameryki. Wiedzieli, gdzie tata jest i pamiętali o nim...

- No wiesz? - zachnął się Adam. - Też mi pamięć. Pięć dolarów raz do roku! Wstyd i hańba!

- Dzielili się, czym mogli - usprawiedliwiałam nieznanych mi członków rodziny.

- Idiotko! Oni sprzedali tu ogromny majątek! Ziemię, fabrykę i Bóg wie, co jeszcze! - Adam walił ręką w trzymane dokumenty. - Przecież to bogacze! Co zrobili z pieniędzmi?

- Nie wiem - rozkładałam bezradnie ręce. -1 szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Jedyłą osobą, która może mieć prawo do spadku, jest tata. Jeżeli on się nie stara o odzyskanie majątku, to może świadczyć tylko o tym, że nie ma co odzyskiwać! Pogódź się z tym! Schowajmy dokumenty tam, gdzie były i zapomnijmy o całej sprawie.

- Mnie zastanawia fakt, że plan nie był pisany ręką ojca -dociekał Adam.

- O, to odkrywczą myśl! Jak na to wpadłeś? - drwiłam. - Ten rysunek mógł zrobić każdy.

- Zapomniałaś, że tata jest inżynierem? Pracował przy desce kreślarskiej. W życiu nie narysowałby takich krzywych linii.

- W takim razie kto i dlaczego schował ten plan za koszmarną łączką bez jeleni? Mama? - zastanawiałam się. - Skoro

tak, to ojciec pewnie nie wiedział, gdzie ukryła jego rodzinny skarb. Kartka nie była przeznaczona dla nas, lecz dla niego...

- Ktoś dzwoni! Idź otworzyć drzwi, a ja tymczasem schowam papiery z powrotem do szafy. Ani mru-mru ojcu! Musimy się dobrze naradzić, zanim wyjawimy mu prawdę - pouczał mnie Adam. Za drzwiami stała młoda, ładna dziewczyna. Jej opaloną twarz okalały skołtunione włosy. Często widziałam dredy na głowach młodych ludzi, ale byłam przekonana, że moda ta nigdy nie przyjmie się na prowincji. W czasach mojej młodości nie mogłam nawet myśleć o przespacerowaniu się tutejszym rynkiem w ekstrawaganckiej fryzurze lub super modnym ciuchu. Miejscowe plotkarki momentalnie donosiły o każdym takim wybryku dyrektorowi szkoły. Dziewczyna była młodziutka. Jej wiek oceniłam na szesnaście, siedemnaście lat. Miała powieki pomalowane ciemnym cieniem i długie, zakręcone rzęsy. Uśmiechała się przyjaźnie i bez zaproszenia wcisnęła się do środka. Dopiero w przedpokoju podała mi dwie reklamówki z zakupami.

- Jestem Angela! Pomagam panu Piotrowi w utrzymaniu domu! Pani jest pewnie córką! Doktor Ewa, prawda? Byłam tu już dzisiaj. Drzwi były otwarte, a w domu pusto. Wychodząc do sklepu, zamknęłam je. Bardzo przepraszam, nie wiedziałam, co mam zrobić. Wołałam, ale nikt nie odpowiadał. Pani cały czas tu była? - mówiła na jednym wydechu. - Miło panią poznać! Sprzątam, robię zakupy, czasem gotuję. Pan Piotr twierdził, że pani się zgodzi, żebym została. Nie biorę dużo, a pieniądze są mi bardzo potrzebne. Muszę zarobić na utrzymanie syneczka. Lubi pani dzieci? Czasem przyprowadzam go tutaj i pan Piotr się z nim bawi.

Przyglądałam się tej młodziutkiej matce. Nie mogłam odpowiedzieć na zadane mi pytania, bo wyrzucała z siebie lawinę

słów. Weszłyśmy do kuchni i obie zabrałyśmy się za rozpakowywanie siatek.

- Dzisiaj tak trudno o jakąś pracę - kontynuowała Angela. - Na takim zadupiu jak nasze miasteczko, to już w ogóle nie ma o czym mówić. Skończyłam właśnie szkołę i nareszcie będę mogła stąd wyjechać. Chcę iść na studia. Mój kochany Misiaczek musi jakoś przetrwać z dziadkami, a jak już będę na drugim roku, zabiorę go do prawdziwego miasta. Nie pozwolę, żeby się wychowywał w tym ciemnogrodziel Małe miasteczka to okropność! Nie ma nic gorszego!

- Wieś - powiedziałam, zamykając lodówkę.

- Proszę? - spytała wybita z rytmu swego monologu Angela.

- Myślę, że wieś jest jeszcze bardziej staroświecka niż najmniejsze nawet miasteczko - wyjaśniałam spokojnie. - Angela to po prostu Anieli? - upewniałam się.

Wyraźnie zmęczona dziewczyna usiadła na krześle przy stole.

- Napijesz się herbaty? - spytałam.

- Chętnie! Gorąco dzisiaj jak diabli, a ja troszeczkę się zmachałam. Pan Piotr dużo nie wymaga, nie sprawdza mnie, nie krytykuje. Sama się staram porządnie sprzątać. W końcu biorę za to pieniądze. Młódzież nie lubi pracować, ale ja sobie nie krzywdzę. Udało mi się odłożyć kilka groszy, będę miała na początek. Boże, jak ja chcę się stąd wyrwać! Duszę się tu! Podziwiam panią, ja bym nigdy nie wróciła... Z własnej woli, nigdy! Nie wiem, co by musiało się stać, żebym na stare lata wylądowała w tym grajdole! Pani jest odważna! Nie boi się tych wszystkich plotkarek, tych mend jednych, które tylko patrzą, komu dupę obrobić! O... Bardzo przepraszam, wyrwało mi się, ale to przecież prawda. Żeby pani wiedziała, co ludzie mówią... - Angela ucichła na moment.

Sprytnie wykorzystałam tę przerwę.

- O mnie czy o tobie? - zapytałam.
- O nas obu! Jeśli pani chce... - urwała, widząc jak przykładam palec do ust. - Coś się stało? - spytała szeptem.
- Chciałam zadać ci parę pytań. Bardzo proszę o zwięzłe odpowiedzi, najlepiej potwierdzaj lub zaprzeczaj. Jednym słowem! Tak! Nie! Rozumiesz? - mówiłam, uśmiechając się przyjacielsko. Spuściła głowę i zrobiła smutną minkę. Obserwowała mnie spod grubej warstwy tuszu nałożonej na rzęsy.
- No tak... Za dużo gadam... Wszyscy mi to mówią... Przepraszam, tak się ucieszyłam, że panią poznałam. Pani jest „kimś”, nie taką zwyczajną lekarką. No i myślałam, że jak mnie pani polubi, to mój Misiu będzie miał dobrą opiekę... W tej naszej przychodni są same konowały...
- Cisza! - krzyknęłam najłagodniej jak umiałam. - Teraz ja mówię, a ty tylko kiwaj głową. Ani słowa, bo mogę się zdenerwować i wyrzucę cię z roboty!
- Woda się zagotowała. Proszę pytać, ja zrobię herbatę - potulnie mówiła Angela, wstając z krzesła. Rozsiadłam się przy stole i z nieukrywaną przyjemnością przyglądałam się jej szczupłemu ciału, szybkim i sprawnym ruchom. Dziewczyna ustawiła na stole zaparzoną herbatę, cukierniczkę i paczkę ciastek. Usiadła naprzeciw mnie i w napięciu czekała.
- Z twojej paplaniny wywnioskowałam, że jesteś już pełnoletnia - zaczęłam. Angela twierdząco kiwnęła głową.
- Jak sama zauważyłaś, jestem od ciebie troszeczkę starsza... Czy mogę zwracać się do ciebie po imieniu? - kontynuowałam.
- Dziewczyna z wielkim zapałem potakiwała dredami. W takim razie mogę nazywać cię Anielą? Nie lubię imienia Angela, źle się mi kojarzy - tłumaczyłam.

Prawdę mówiąc, przez Angelę zostałam na lodzie. Nie tę, sympatyczną, drobną kobietkę z dredami na głowie, ale przez zarozumiałą, wyniosłą, egzaltowaną córeczkę Pana S. Gotowa była wykorzystać każdą okazję, żeby przypomnieć mi, jakie obowiązki spoczywają na Panu S. względem prawowitej żony i córki. Robiła wszystko, żeby popsuć nasz związek. No i w końcu osiągnęła swój upragniony cel. Przyjmowałam i obsługiwałam ją jak księżniczkę, wywoziłam za granicę w czasie zimowych ferii i wakacji, załatwiałam lewe zwolnienia z wychowania fizycznego, obsypywałam prezentami, a ona nie zaprosiła mnie nawet na swój ślub! „To rodzinna uroczystość! Nie zapraszamy osób postronnych. Sama rozumiesz, że źle byś się wśród nas czuła. Tata musi być przy mamie. Takie jest życie, moja panno! *Persona non grata!*” I wszystko posypało się jak domek z kart... Jego córka nazwała mnie panną, podkreślając w ten sposób mój status osoby niezameężnej i niemającej żadnych praw do Pana S. Nie stanął w mojej obronie. Nie nakłonił pięknej córeczki do zmiany zdania. Koszulkę wyprasowałam, krawacik zawiązałam, prezent i kwiaty kupiłam! Podwiozłam drania pod kościół, przed którym żonka już na niego czekała. Wystrojona, uśmiechnięta, cała w skowronkach! Po dwóch dniach oznajmił mi, że wraca na łono rodziny, a ja muszę wyprowadzić się z mieszkania, ponieważ para młoda chce sobie uwić w nim gniazdko.

- Zrobiłam coś nie tak jak trzeba? - wystraszyła się Aniela. - Pani tak posmutniała.

- Zastanawiałam się Anielciu, jak to jest? Ty chcesz się stąd wyrwać i szukać swojego szczęścia w wielkim świecie, ja przyjechałam tu odnaleźć spokój...

- Ludzie różnie mówią... Plotki krążą po całym mieście. Czy to prawda, że po nieudanej operacji umarł pani pacjent? - ożywiła się Aniela.

- Bzdura! Ja nie jestem chirurgiem. Nie operowałam. Czego to ludzie nie wymyślą? - dziwiłam się.

- Prawda! O mnie mówili, że mam dziecko z księdzem! Też coś! On mi tylko pomagał, podtrzymywał mnie na duchu. Fajny był, ale już go przenieśli. Młodych często przenoszą. W miasteczku aż huczało, że to przez mój brzuch. Słów brakuje... Może pani wie, dlaczego ludzi tak interesują cudze sprawy?

- Pewnie z wielu powodów, ale... - nie dokończyłam. Aniela zerknęła na zegarek i nie słuchając mnie, zaczęła się kręcić i rozglądać.

- Ojej! Strasznie późno. Muszę lecieć, bo Misiu pewnie jest już głodny. Karmię go jeszcze piersią, podobno to zdrowo. Boję się, że przez to zdeformuję biust, ale szkoda mi szkraba. Śmiesznie lgnie do cycka! Ciągnie tak mocno, że chwilami aż chce mi się krzyczeć, ale gdybym musiała kupować mleko, to nie starczyłoby mi forsy. Więc pani się zgadza, żebym przychodziła tu dwa razy w tygodniu? Nie będzie pani to przeszkadzało? Nie posprzątałam w pani pokoju, nie wiem, czy mam to robić?

- Zastanowię się, na razie nie ma takiej potrzeby. Ustalimy wszystko przy następnym spotkaniu. Idź już do małego, niech się nie denerwuje, gdzie podziało się jego jedzonko - żartowałam.

Miła dziewczyna, chociaż trzpiotka i gaduła - myślałam. Opowiedziała mi prawie pół swojego życia. Ciekawe, jak układają się jej stosunki z ojcem? Towarzystwo młodej szczebiotki powinno bawić go i pobudzać do życia. Aniela jest chyba jedyną osobą, która nie dopuszcza taty do głosu. Trafiła kosa na kamień - uśmiechnęłam się w duch.

Rozdział 20

- Masz jakieś kłopoty? - zainteresowałam się.

- Zaraz kłopoty - Adam bagatelizował całą sprawę. - Wiesz, jak to jest... Zachciało mi się być radnym, diety mnie skusiły. Interes idzie jak krew z nosa, więc pomyślałem, że dorobię do rodzinnego budżetu - tłumaczył.

- Racja - pochwaliłam go. - Każdy grosz się liczy, zwłaszcza teraz, kiedy Tomek wybiera się na studia.

- No właśnie! Sęk w tym, że musiałem wziąć pożyczkę, bez tego nie mogłem zrobić porządnej kampanii - wyznał.

- I? - ciągnęłam go za język.

Z jego miny wywnioskowałam, że wyszedł na tym jak Zabłocki na mydle.

- Nie ma o czym mówić - zrezygnowany machnął ręką. - Rata pożyczki przewyższa dietę radnego, a kredyt będziemy spłacać przez pięć lat - przyznał się ściszym głosem.

Nie wytrzymałam, roześmiałam się. Patrzyłam na skruszonego brata i zrobiło mi się go serdecznie żal.

- To się Grażynka ucieszyła! Nie ma co, ładnie ją urządziłeś! Boże, dlaczego mężczyźni nigdy nie dorastają?

- Dobrze ci się śmiać! Muszę teraz wysiadywać w urzędzie, użerać się z ludźmi, wysłuchiwać ich urojonych problemów. Nie byłoby tak źle, gdyby można było tutaj coś zmienić. Tłuki takie w tej radzie, że szkoda gadać. Nie wiem, co zrobić, skąd

wykombinować kasę? Tomka mi szkoda, on głupocie własnego ojca nie jest winien.

- Słuchaj Adam, z odnalezionych przez nas dokumentów jasno wynika, że dziadkowie pozbyli się majątku i uciekli za ocean. Skarb to jednak był. Myślę, że odkryliśmy rodzinną tajemnicę, dopiero teraz poznaliśmy historię przodków, wiemy skąd się wywodzimy, to nas w pewnym sensie zobowiązuje. Forsa nie jest najważniejsza, postaram się ci pomóc. Ojciec nie chce ode mnie żadnych pieniędzy na utrzymanie. Mogę ci co miesiąc zafundować połowę raty - zaofiarowałam się.

- Daj spokój, nie jest tak źle. Jakoś sobie poradzimy. Może umówmy się inaczej... - zaproponował.

- Jak ci pasuje! Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć -zgodziłam się.

- Swoją drogą, dziwię się, że ojciec nie chce od ciebie kasy, ode mnie bez skrupułów wyrwałby ostatni grosz. O pomocy z jego strony nawet nie marzę. Umie tylko zrzędzić i obrażać mnie. Twierdzi, że jestem „gównianym radnym”. Sam chętnie wypisałbym się z tego interesu, ale klamka zapadła, jakoś muszę przetrwać te cztery lata. Dzięki za słowa otuchy - i pocałował mnie w policzek.

Przez lata prawie się nie widywaliśmy, a nasze kontakty ograniczały się do telefonicznych życzeń z okazji imienin lub urodzin. Obecne codzienne spotkania z bratem dawały mi poczucie bezpieczeństwa, chociaż nie wiem dlaczego, bo z nas dwojga ja miałam silniejszą osobowość, trzeźwiej patrzyłam na świat. Bujający w chmurach, wiecznie naiwny Adam nieustannie wdawał się w niepewne interesy, ciągle budując zamki na lodzie. Podziwiałam cierpliwość Grażynki, to ona jest dobrym duchem ich rodziny. Adam miał jedną wielką zaletę. Dzięki swojej naiwności zachował pogodne usposobienie. Tylko ojciec był w stanie pozbawić go dobrego humoru,

wytykając mu braki w wiedzy i słaby charakter. Ja jednak cieszyłam się, że mam brata, na którego wsparcie mogłam liczyć.

Obcowanie z nim przypominało mi dzieciństwo, te piękne czasy, kiedy byliśmy wszyscy razem, a mama co dzień rano gotowała nam kakao.

Rozdział 21

- Znajomość z tobą naprawdę mi się opłaca - mówił zadowolony Zbyszek.
- Kupiłam zaledwie parę chusteczek - dziwiłam się. - Fortuny na mnie nie zarobiłeś.
- Na tobie nie, ale odkąd się u mnie pokazałaś, ruch w sklepie się zwiększył. Jak tak dalej pójdzie, istnieje poważne prawdopodobieństwo, że nawet będę miał zysk! - z zadowolenia zacierał ręce.
- Nic z tego nie rozumiem - przyznałam się. - Z ekonomii jestem kompletną nogą. Wy tłumacz mi - prosiłam.
- Chodź na kawę! - zapraszał mnie na zaplecze. Zbyszek był w znakomitym humorze. Zauważyłam, że na stoliczku rozłożył nową serwetkę. Uśmiechnęłam się w duchu, przypuszczając, że to na moją cześć.
- Skora dzięki mnie możesz osiągać większe zyski, warto chyba inwestować w tę naszą przyjaźń? - wskazałam na nakrycie stołu.
- To pomysł Izy. Stwierdziła, że wstyd przyjmować gości przy szmacie i wyrzuciła starą serwetkę. Słuchaj Ewo, nie wpadłabyś do nas na kolację? Serdecznie zapraszamy! Pogadalibyśmy o starych znajomych, powspominali dawne czasy... Co ty na to? Iza bardzo się ucieszy - zachęcał mnie.
- Sama nie wiem, nie chcę sprawiać wam kłopotu - starałam się jakoś wykręcić.

Po ostatnich przeżyciach czułabym się nieswojo w domu, w którym panuje miłość i wzajemne zrozumienie. Zbyszek wykazał się taktem i nie nalegał.

- Ponowię zaproszenia za kilka tygodni - stwierdził, widząc moje wahanie.

Mały dzwoneczek zawieszony nad drzwiami, powiadomił nas o przyjściu klienta.

- Miałem rację - ucieszył się Zbyszek. - Twoja wizyta zaraz przyciągnie tu tłumy! Wszystkie dewotki są ciekawe, czy aby nie uprawiamy tu seksu. Sama widzisz, jak pilnują mojej cnoty. Obroty wzrosną. Przepraszam cię, obowiązki wzywają...

Zostałam sama. Bezmyślnie mieszałam kawę srebrną łyżeczką. Nie używam cukru, piję kawę rozpuszczalną, ale nawyk mieszania tkwi we mnie głęboko i nie da się wykorzenić. Rozglądałam się, chcąc odgonić natarczywe myśli. -Dzień był ponury, nieprzyjemny. Przez małe okienko widziałam bawiące się na brudnym podwórku dzieci. Przyglądałam się im uważnie. Instynkt macierzyński dawno mnie opuścił. Pan S.. stanowczo nie życzył sobie kolejnych potomków. Przez pierwsze lata nie mogłam się z tym pogodzić. Idąc ulicą, zazdrośnie zaglądałam pod budki dziecięcych wózków, oglądałam się za niezdarnie stawiającymi pierwsze kroki maluchami, kurczowo uczepionymi krótkich spódniczek mam o młodych, zmęczonych i znudzonych twarzach. Z czasem pozbyłam się uczucia niespełnienia, wmawiając sobie, że mam ważniejsze zadania do spełnienia, niż przedłużenie gatunku. Zresztą dzieciom poświęcałam wiele czasu, niestety cudzym. Te z podwórka również poznam. Za tydzień rozpocznę pracę i pewnie niedługo, każde z nich odwiedzi mój gabinet. Po roku będę pamiętała ich imiona i nazwiska oraz schorzenia, z jakimi przyszło im się w tak młodym wieku borykać. W ten sposób zaistnieję w społeczności nie tylko jako pożywka dla plotek. Przynajmniej dzieci będą traktowały mnie

z respektem, może nawet z szacunkiem. Ciekawe, czy potrafię przyzwycząić się do roli lekarza pierwszego kontaktu? Czy jak inni wpadnę w rutynę i bezbłędnie będę potrafiła rozpoznawać tylko ropne zapalenie gardła? Patrząc na przyszłych pacjentów, nie musiałam obawiać się braku zajęcia. Mimo przeraźliwego wiatru i pochmurnej pogody, dzieci ubrane były w bluzki z krótkimi rękawkami. Nadmiar energii wykorzystywały, skacząc, biegając, krzycząc. Za dwa dni, jak amen w pacierzu, odwiedzą tutejszą przychodnię.

- Kawa mi wystygła - narzekał Zbyszek, kiedy wrócił na zaplecze.

- Pogoda dziś nieładna, nastrój też mam wisielczy - wyznałam, siadając przy stoliczku.

- Coś się stało? - zainteresował się.

- Nie, ale znajomy, Marek Zawilak, poprosił mnie, żebym pomogła mu posprzątać dom ojca. Nie lubię takich sytuacji. Nie wiem, po co mnie ze sobą ciągnie? Ani ja swat, ani brat - narzekałam.

- O ile wiem, on nie ma tu nikogo bliskiego. Może po prostu potrzebuje duchowego wsparcia - spokojnie mówił Zbyszek.

- Nie nadaję się na podpórę. Sama jestem w rozsypce. Im dalej, tym gorzej... Odkąd tu przyjechałam, nie mam ani chwili dla siebie. Ciągłe coś się dzieje. Chciałam pewne sprawy przemyśleć, przeanalizować, na nowo ułożyć sobie życie. W tych warunkach jest to niemożliwe. Strzępy myśli krążą mi po głowie, ale ciągle nie mogą się pozbierać i uciec od wspomnień. Grzebanie w rzeczach zmarłego Zawilaka nie pomoże mi wrócić do równowagi psychicznej.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość. Stres po rozwodzie porównywalny jest podobno ze stresem po śmierci najbliższej osoby. Trzeba czasu i wytrwałości, żeby sobie z tym poradzić - pocieszał mnie Zbyszek.

- Nie chodzi mi o Pana S. To już przebrzmiała historia, muszę żyć dalej. Gorzej radzę sobie z przystosowaniem się do panujących tu obyczajów. Wszystko mnie drażni, denerwuje. Czuję się obca, niepotrzebna. Zawalidroga ze mnie! - próbowałam obrócić swoje odczucia w żart. - Ciągle myślę o swoim dawnym mieszkaniu, o pracy... Tego mi brakuje...

- Może powinnaś wynająć niedużą kawalerkę. Poczujesz się lepiej, jak będziesz niezależna - Zbyszek próbował mi pomóc.

- Nasz dom jest tak duży, że prawie się z tatą nie widzimy. Myślę o remoncie, chcę zrobić coś po swojemu, poprzestawiać, pomalować... Pójdę już. Nie mogę zabierać ci czasu i żalić się bez końca. Dziękuję za kawę.

Głowa do góry! Dasz sobie radę! Wpadaj do mnie częściej, zarobię przez to parę groszy - zapraszał.

Rozdział 22

Nieduży dom Zawilaków od drogi odgradzał sad stanowiący naturalną barierę przed spojrzieniami plotkarskiej społeczności. Możliwe, że pochmurny dzień miał wpływ na moje odczucia, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że dom jest zaniedbany i dużo starszy od naszego. Cztery odrapane kolumny, ustawione na szerokich schodach, podtrzymywały płaski daszek ganku. Staliśmy przed nowymi, wejściowymi drzwiami, które okazały się ostatnią inwestycją Stacha Zawilaka. Marek niepewnie rozglądał się wokoło, jakby spodziewał się zjawy, ducha ojca mającego zaprosić nas do opuszczonego domostwa. Czekał na próżno. Z głębokim westchnieniem, ale zdecydowanie włożył klucza do zamka. Byłam zła, że mimo wewnętrznych oporów, uczestniczyłam w tym ponurym obrzędzie. Lekko pchnięte drzwi otworzyły się na oścież, weszliśmy do środka. W domu panował ciężki zaduch. Oboje, bez zbędnych słów, przystąpiliśmy do rozsuwania okiennych zasłon. Marek pootwierał okna, wpuszczając świeże powietrze. Zabiegi te raczej nie na wiele się zdały, ale my poczuliśmy się lepiej. Usiedliśmy w starych fotelach i w milczeniu patrzyliśmy na siebie. Drażniła mnie cisza, dzwoniąca w uszach, wszechobecna. Czekałam niecierpliwie, aż nowy właściciel domu zbierze siły i podejmie konkretne działania. Czułam się spięta, skrępowana i nie wiedzieć dlaczego - zażenowana, z całą pewnością nie byłam tu właści-

wym człowiekiem na właściwym miejscu. Marek wyjął paczkę papierosów i odruchowo wyciągnął ją w moją stronę. - Nie palę - powiedziałam cicho.

Sama nie wiem dlaczego, ten dom zawsze mnie przygnębiał. Porastający zewnętrzne ściany bluszcz piał się aż pod sam dach, przesłaniając niewielkie okna. Kiedy wpadałam tu do ciotki Janki, najbardziej lubiłam przebywać w sadzie. Tam też byłam najczęściej przyjmowana. Stachu Zawilak przeważnie majstrował w garażu, a ja z ciotką spokojnie rozmawiałam pod rozłożystą jabłonką, która tworzyła naturalną altankę. Jedynym pomieszczeniem wzbudzającym mój zachwyt w tym mrocznym domu, była ogromna łazienka. Obecnie nie prezentowała się najlepiej, ale przy odrobinie wysiłku i romantycznej fantazji można było, jak za pomocą czarodziejskiej różdżki, przeobrazić ją w prawdziwe cudo z dużą wanną, stylowymi kranami, bidetem i maleńką leżanką, na której odpoczynek po gorącej kąpieli oraz wcieranie w skórę balsamu stanowiłyby niepowtarzalną rozkosz i ukojenie. Oczami wyobraźni widziałam, jak pływam się w obfitej pianie, czytając książkę przy blasku świec. Stachu Zawilak miał jednak praktyczne podejście do życia. Nie zamontował wielkiej wanny.

Najzwyklejsza w świecie kabina prysznicowa, umywalka, sedes nadały łazience ascetyczny wyraz, maskując urok pomieszczenia. Nie było tam nawet pralki. Brudami zajmowała się ciotka Janka.

- Wyrzuciłbym stąd wszystko - zwierzał się Marek. - Rozwaliłbym ściany i zrobił jedno, duże pomieszczenie. Przede wszystkim trzeba wyciąć ten cholerny bluszcz, wstawić duże okna i wymienić podłogi.

- Ciekawe, czy można by tu było zainstalować kominek? -zastanawiałam się głośno.

- Szczerze mówiąc, nie przepadam za kominkami - zgasił mnie Marek.

Zrobiło mi się przykro. Nie chciałam się wtrącać w jego plany. Po prostu lubiłam patrzeć na palący się ogień. Tak jak o dużej wannie, marzyłam też o kominku. Musi być bardzo przyjemnie siedzieć sobie w fotelu po rozkosznej kąpieli, popijać wino i z ukochanym mężczyzną przyglądać się igraszkom wesołych płomieni. Istny romans, nie ma co. Jest ze mną chyba gorzej, niż myślałam... Zganiłam sama siebie za takie pomysły. Nie mam wanny nie mam kominka, nie mam faceta! Poczulałam, jak łzy napływają mi do oczu. Łamiącym się głosem przeprosiłam Marka i spytałam, czy mogę skorzystać z łazienki. Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Źle się czujesz? - zapytał.

- Nic takiego - uśmiechałam się zgryźliwie. - To tylko meno-pauza, potrafi czasem dać się we znaki... Zaraz mi przejdzie.

W łazience odkręciłam wodę i nacierając twarz mokrymi dłońmi, spojrzałam w wiszące nad umywalką lustro. Z menopauzą może przesadziłam, ale z doświadczenia wiedziałam, z jaką irytacją mężczyźni obserwują proces starzenia się kobiet, zupełnie tak, jakby ten problem ich nie dotyczył, twierdząc, że w pewnym wieku tracimy swoją atrakcyjność oraz zdolność do świadomego decydowania o własnym losie.

- Dobrze ci tak - szeptałam. - Nie ma wanny, nie ma kominka, nie ma kochającego mężczyzny...

Zacznij żyć w realnym świecie. Zajmij się sobą i myśl tylko o sobie! Tylko ty jesteś ważna! Przestań być miłą, grzeczną, układną. Zostaw tu Marka Zawilaka, niech się sam upora ze swoimi tragediami. Nie pozwól ludziom wciągać siebie w ich sprawy, potem znów się okaże, że zostałam wykorzystana, porzucona jak stare, wytarte buty. Co on mnie obchodzi? Nie chce kominka, to niech nie ma. Jego sprawa!

Otworzyłam drzwi i nie mówiąc Markowi ani słowa, opuściłam, i tak już opuszczony, dom Zawilaków.

Rozdział 23

Unikałam spotkania z Markiem. Kłopot polegał na tym, że zadomowił się u nas, krępując nasze rodzinne życie, o ile o takim w ogóle można było mówić. Ojca prawie nie widywałam. Zamykał się w pokoju mamy i siedział tam całymi dniami. Z niewiadomych przyczyn zabronił mi kontaktów z listonoszem. Zaczęłam podejrzewać, chyba słusznie, że jedynym, interesującym mężczyzną w moim życiu, jest tata. Otaczająca go mgiełka tajemniczości, nieświadomości i ustalone przez niego zakazy powodowały, że pilnie śledziłam każdy ruch, analizowałam wypowiedzi i starałam się kojarzyć fakty z przeszłości z jego obecnym zachowaniem. Mimo to, moje obserwacje nadal były niedostateczne i nie stanowiły solidnej podstawy do wyciągnięcia jakichkolwiek wniosków. Adam od chwili odkrycia skarbu odwiedzał nas sporadycznie. Wizyty te zawsze kończyły się awanturą. Tata z lubością kontrolował wszystkie jego pomysły, wypominając mu chwiejność charakteru i brak zdecydowania w głoszonych poglądach. Postawa ojca nie zrażała syna, który z uporem maniaka powracał skruszony, z perwersją poddając się tym psychicznym torturom, co wskazywało na swoisty masochizm. Przysłuchiwałam się ich słownym zmaganiom i nie potrafiłam podjąć decyzji, po czyjej stronie powinnam stanąć. W ten sposób byłam biernym kibicem, ze spokojem przyglądającym się pojedynkom. Jedyne ożywienie w monotonię letnich,

upalnych dni wносиła do naszego domu Aniela. Szczebiotała, prawila mi urocze komplementy i oczywiście opowiadała zabawne wydarzenia ze swojego krótkiego życia. Lubiłam ją, potrafiła wprowadzić mnie w świetny humor, chociaż jej zmartwienia z całą pewnością były poważniejsze od moich, ona była matką. Jej twarz rozjaśniała się, duże, nabrzmiałe mlekiem piersi falowały z emocji, gdy opowiadała o synku, o jego ojcu, który dowiedziawszy się o ciąży, ulotnił się jak kamfora. Słuchałam, kiedy spokojnie tłumaczyła mi, jak bardzo za nim tęskni i nie potrafi winić za swoją obecną sytuację. Nie powiedziała jednak, czy nadal go kocha. Aniela imponowała mi zaradnością oraz pokorą, z jaką przyjmowała kolejne ciosy od życia. Próbowwała ułożyć swoje sprawy i zabezpieczyć spokojną przyszłość kochanemu maleństwu.

Zaparzyłam herbatę w czajniczku. Była środa, więc lada chwila powinna zjawić się Aniela. Chciałam spędzić kilka miłych chwil w jej towarzystwie. Usłyszałam, jak weszła do domu i prawie równocześnie zobaczyłam ją w drzwiach kuchni. Wyglądała dziwnie, inaczej. Stała zamyślona, nieobecna. Przyzwyczaiałam się już do dredów na głowie i ostrego makijażu. Nie byłam pewna, czy ta zmiana pasuje do jej wizerunku.

- Napijesz się ze mną herbaty? - zapytałam.

- Nie, dziękuję. Pójdę i zabiorę się do roboty - odpowiedziała zmienionym głosem.

Najwyraźniej dziewczyna miała poważne zmartwienie. Zrobiło mi się jej żal, podeszłam do niej i odruchowo pocałowałam w opalone czoło.

- Nic się nie stanie, jak raz nie posprzątasz. W razie czego, zrobię to za ciebie. Siadaj i opowiadaj! Co się stało? - zachęcałam ją do zwierzeń.

Patrząc z bliska na twarz Anieli, odgadłam przyczyny przemiany. Nie było na niej śladu pudru, tuszu do rzęs ani cienia

do powiek. Oczy miała zmęczone i podpuchnięte. Wydatne wargi zaciśnięte. Dotykając pleców, poczułam drżenie jej ciała. Leciutko popychając, zaprowadziłam ją do stołu i bezwolną usadziłam na krześle. Nie poganiałam, nie namawiałam, nie wypytywałam. Rozlałam herbatę do filiżanek. Cierpliwie czekałam, spekulując, co też okropnego mogło przydarzyć się tej miłej, dzielnej dziewczynie i czy w jakiś sposób będę mogła jej pomóc.

- Ma pani może papierosy? - zapytała łamiącym się głosem.

- Nie palę - odpowiedziałam spokojnie.

- Pan Marek pali - stwierdziła.

- Nie ma go. Wyszedł.

- Szkoda - westchnęła.

Mimo panującego na dworze upału, Aniela otoczyła filiżankę obiema dłońmi, w taki sposób, jak robią to ludzie o zmarzniętych rękach.

- Nie jesteś chora? - zapytałam, może trochę za bardzo uradowanym głosem.

Chciałam jej koniecznie pomóc, a choroba dawała mi wolne pole do popisu. W leczeniu byłam naprawdę niezłą, w innych sprawach radziłam sobie znacznie gorzej.

- Nie jestem chora - zgasła mój zapal. - Małemu też nic nie dolega - uprzedziła kolejne pytanie z mojej strony.

Ogrzane dłonie przyłożyła do twarzy i trzęsąc się cała, zaniósła się głośnym płaczem.

- O Boże! - nie wytrzymałam. - Dziecko kochane! Co się stało? Mów szybko, natychmiast! - prosiłam.

Uspokoiła się. Otarła dłonią załzawione oczy, dyskretnie wydmuchała nos w chusteczkę i rzeczowo opowiedziała mi o przyczynach jej nienaturalnego stanu.

- Marcin wrócił! Dupek jeden! Przypomniął sobie o synku i zażądał ślubu. Chce, żebyśmy wynajęli mieszkanie albo

wprowadzili się do jego rodziców. Jeszcze czego! To przez nich wszystko się rozleciało! To oni nie wyrażali zgody na nasz związek. Wysłali Marcinka za granicę, żeby sobie biedaczek odpoczął... Nic ich nie obchodziło, jeszcze się z nas wyśmiewali. Grosza złamanego na dziecko nie dali. Nie przyszli nawet wnuka zobaczyć. Bronili swojego biednego syneczka, jakby mu się jakaś krzywda miała stać. A co ja jestem? Ja sroce spod ogona nie wyskoczyłam! Sama sobie poradziłam i rodzice mi pomagali. Mam porządną rodzinę, nie wyrzekli się mnie ani dziecka. Wspierali, utrzymywali. Zgodzili się, żebym poszła na studia. On chce wszystko zniszczyć. Zrobić ze mnie swoje popychadło. Sam będzie panem magistrem, a ja kelnerką na bankiecie życia - wyrzuciła z siebie i znów się rozplakała.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznałam. - Nie chcesz stworzyć Misiowi normalnej rodziny? Nie kochasz Marcina? Co twoje studia mają wspólnego ze ślubem? Uspokój się i po kolei odpowiedz na moje pytania - prosiłam.

- Kochać to go kocham! Czemu miałabym nie kochać? To dobry chłopak, tylko ma wrednych rodziców... Nie możemy odpowiadać za innych, prawda? Nie wiem, co mam robić? Jak pani myśli, czy na kimś takim można polegać? Gdyby mu naprawdę na nas zależało... No, niech pani powie, mogę mu zaufać?

- Popełniamy błędy, zwłaszcza gdy jesteśmy młodzi, a życie stawia przed nami pierwsze poważne przeszkody. Nie wiem, czy możesz mu zaufać, na pewno możesz dać mu jeszcze jedną szansę.

Pamiętaj, tu nie tylko o ciebie chodzi. Macie dziecko, do którego on ma równe prawa - tłumaczyłam.

- Jakie prawa? Niby dlaczego? Spłodził je, to fakt i co dalej? Zmył się! Nie obchodziło go, co się ze mną dzieje, jak się dziecko rozwija. Nawet przy porodzie nie był! Wpadł na jeden dzień, aby je zobaczyć. To była moja dobra wola, że zgodziłam się na to spotkanie. Misiu ma pół roku, a od tatusia dostał

jedną małą grzechotkę. Praw to ja go mogę w każdej chwili pozbawić!

- To wykop drania! - wyrwało mi się.

Aniela spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

- No co? - próbowałam pokryć zmieszanie. - Chyba mu się należy dobry kopniak na do widzenia? Jak chcesz, to ci pomogę! - zaproponowałam z entuzjazmem. - A jak mu będzie mało, to jeszcze mój ojciec dołoży!

Aniela zaczęła się śmiać.

- Już widzę, jak pan Piotr podnosi nogę! On w jeden półdu-pek, pani w drugi! Ale jazda! To byłaby dobra nauczka!

- Szkoda tylko, że takie załatwienie sprawy nie może pomóc wszystkim porzuconym kobietom - zauważyłam.

-Jużwiem! - ucieszyła się Anielcia. - Zrobimytak: najpierw wy skopiecie dupsko Marcinowi, a potem ja i Marcin pojedziemy do tego pani gagatka i sprawimy mu łomot! Niech wie, jak kobiety potrafią się zemścić! - mówiła, a oczy płonęły jej jak dwie świece.

- Problem polega na tym, że twój Marcin jeszcze może się przez to czegoś nauczyć. Mój gagatek, jak go nazwałaś, jest niestety niewyuczalny - smutno westchnęłam.

- Ale ból fizyczny odczuwa? - dopytywała się Aniela.

- Owszem, odczuwa - przyznałam.

- No to z kopa! - krzyknęłyśmy równocześnie.

- Bardzo mi pani pomogła. Człowiek, jak widzi przy sobie życzliwą duszę, zaraz lepiej się czuje.

Pójdę trochę posprzątać. Muszę rozważyć wszystkie „za” i „przeciw”. Studiów mi żal i tego, że miałam nadzieję wyrwać się stąd, uciec jak najdalej. Widocznie takie moje zakichane szczęście, że do śmierci zostanę na tym zadupiu... - Aniela znów posmutniała.

- Nie jest aż tak źle - próbowałam ją pocieszyć. - Studiować możesz zaocznie, to też da ci satysfakcję i możliwość

oderwania się od codziennych obowiązków. Co do ucieczki... Na moim przykładzie dokładnie widać, że to tylko złudzenia. Taki miraż, który donikąd nie prowadzi. Zwiewasz, dostajesz od życia swoją porcję upokorzeń, porażek, i wracasz skruszona, wystraszona, samotna. Szczęście nie zależy od miejsca naszego pobytu, ale od osób, które trwają przy nas murem. Widocznie Marcin dorósł do sytuacji, a ty masz teraz okazję wypróbować szczerą jego intencji i waszemu synkowi stworzyć prawdziwy, ciepły dom, a to jest niezwykle dar, który nie każdemu się trafia.

- Myśli pani, że najgorsze mamy już za sobą? - zastanawiała się.

- O, tego to ja nie wiem! Wiem jednak, że przeszliście poważny sprawdzian. Pierwsze, ważne kolokwium już zaliczyliście. Wasze uczucie przetrwało. Wszystko zależy od wniosków, jakie wyciągniecie z tej „nauczki”. On już wie, czego tak naprawdę chce. Twój ruch! Jeżeli okaże się, że oboje podobnie myślicie o przyszłości, macie szczęście w kieszeni - stwierdziłam, sama zaskoczona swoimi słowami.

- Po takich przejściach będę się bała mu zaufać - Aniela mówiła bardzo poważnie.

- Nie ufaj mu! - przytaknęłam. - Sprawdzaj go w każdej sytuacji.

- Kocham go... Nie mogę się teraz odwrócić i odejść... Całe życie myślałabym, że coś cennego straciłam... Gdyby mu na mnie nie zależało... Jak pani myśli? Pewnie by nie wrócił...

- Anielciu! Słoneczko drogie! Jak on mógłby żyć bez ciebie? Ciebie nie da się nie kochać! Nie pal za sobą mostów! „Idź za mąż póki pora...” - śmiałam się.

Aniela posprzątała ze stołu, umyła naczynia i z tajemniczym uśmiechem na twarzy poszła po odkurzacz. Zostałam sama, wpatrzona w rozwalający się płot... Ta mała trzpiotka

z dredami mogła spokojnie planować przyszłość. Nie musiała szukać po świecie swojego miejsca, wszystko, co było jej potrzebne do szczęścia, miała w zasięgu ręki. Nie zdawała sobie jeszcze sprawy z łaskawości losu. Rozpamiętywała dawne krzywdy, nurzała się w przebrzmiałym cierpieniu, ale byłam pewna, że odrodzi się piękniejsza, silniejsza i o wiele mądrzejsza. Mój czas już minął! Moje szanse na wygraną z życiem malały z każdą chwilą. Rozlatywałam się jak spróchniałe ogrodzenie dzielące nas od Zawilaków. Nie mogłam liczyć na niczyje nawrócenie... Nie mogłam liczyć na nowe uczucie... Nie mogłam liczyć na samą siebie... Poddałam się... Zobojętniałam... W głębi duszy zgadzałam się, że moje problemy są wydumane, że sama ponoszę winę za wszystkie porażki, jednak, jak to przeważnie robimy, użalałam się nad sobą. Która z nas bardziej zasługiwała na współczucie? Czy ja, dorosła, wykształcona, ale bezdzielna kobieta, mająca w dalszym ciągu dobrą pracę i zasobną kieszeń, bez widoków na czułość, miłość i oparcie w wiernym mężczyźnie, czy młoda, miła, nieposiadająca niczego oprócz dziecka i własnego optymizmu Aniela, którą obdarzył uczuciem chwiejny emocjonalnie chłopak? Nie miałam wątpliwości! To mnie pozbawiono szczęścia! Mnie trzeba żałować! Ona da sobie radę! Ja już przegrałam. Jak zraniony wilk oddziela się od watahy i w ukryciu, w samotności wylizuje rany, tak ja, oddzielona taflą kuchennego szkła od rzeczywistości, delikatnie muskałam myślami obolałe serce, bojąc się wyjść na światło dzienne i stawić czoła nowym problemom. W moim wieku raz stracone zaufanie przeradza się w czujność, nieufność i podejrzliwość... Podziwu godny egocentryzm!

Rozdział 24

Oglądali mnie jak małpę w zoo. Drzwi otwierały się w regularnych odstępach. Dziwnym trafem wszyscy pracownicy przychodni mieli niecierpiące zwłoki, bardzo ważne sprawy i koniecznie musieli załatwić je w moim gabinecie. Prześcigali się w wymyślaniu idiotycznych pretekstów. Lekarze przeważnie poszukiwali kierownika ośrodka, blankietów recept, długopisów. Mniej inteligentni po prostu wsadzali swoje ciekawskie głowy w lekko uchylone drzwi, przez kilka sekund przyglądali mi się uważnie, po czym niewyraźnie mruczając „przepraszam”, wycofywali się rakiem. Pielęgniarki były bardziej odważne, wpadały umówić się z Joanną na popołudniowe plotki, ograbić ją z dwóch łyżeczek kawy albo skorzystać z naszego telefonu. Panie z administracji wykazały się daleko idącym taktem, przychodząc w sprawach *stricte* służbowych. Każda z nich trzymała w dłoni dokument, który właśnie w tej chwili musiałam podpisać, a który zawieruszył się w trakcie załatwiania mojego przyjęcia do pracy. Szczerze mówiąc, pielgrzymki te były mi w pewnym sensie na rękę. Nie miałam wielu pacjentów, a bezczynne siedzenie doprowadziłoby mnie pewnie do szału. Korzystając z okazji, również ja przyglądałam się znanym już ze słyszenia moim obecnym współpracownikom. Baczna uwagę poświęciłam Basi Wąsik, ze zdziwieniem stwierdzając, że nie jest już tłuściutką nastolatką, tylko elegancką, prawie dystygowaną

matroną. Siostra Wąsik podobno odmówiła asystowania mi i dlatego moją pielęgniarką została miła, młodsza ode mnie o kilka lat Joanna. Już na początku naszej znajomości opowiedziała mi o bezrobotnym mężu i niezbyt udanym synu. Twierdziła, że większość genów odziedziczył po ojcu i dlatego ma z nim same kłopoty. Nie wyjaśniła mi, na czym one polegają, ale nic straconego, będziemy ze sobą obcowały siedem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu. Z całą pewnością, czy tego będę chciała, czy nie, poznam na wylot historię jej krewnych i znajomych. Perspektywa ta nie napawała mnie optymizmem. Gadatliwa pielęgniarka potrafi skutecznie obrzydzić człowiekowi życie. Na razie, Joanna starała się być miła, uśmiechając się do mnie przyjaźnie.

- Nic dziwnego - tłumaczyła mi jak dziecku. - Jest pani nowa. Przyszła pani z kliniki. Każdy chce zobaczyć nową doktor, w dodatku podwójną.

- Nie rozumiem? - przyznałam. - W jakim sensie jestem „podwójna“?

- No, że mówi się na panią doktor i ten tytuł... - jękała Joanna.

- Doktor, doktor - ironizowałam. - To tylko stopień naukowy - próbowałam kokieteryjnie bagatelizować swoje osiągnięcia. -Pani Joanno, proszę zobaczyć, czy na korytarzu ktoś nie czeka. Nie znałam obyczajów panujących w przychodni. Nie chciałam popełnić jakiejś gafy, a przede wszystkim wyrzucić złego wrażenia na pacjentach.

Pielęgniarka przekładała karty. Czytała nazwiska i uśmiechała się pod nosem.

- Mamy przerwę. Jak znam życie, to następny pacjent pojawi się dopiero po dwunastej - była dumna, że może mi zaimponować swoją wiedzą na temat klienteli tutejszego ośrodka zdrowia.

- Skąd ta pewność? - dopytywałam się raczej z grzeczności niż z ciekawości.

-Bo to wieś...-kpiła.

- Słucham? - udałam, że nie zrozumiałam.

- Chciałam powiedzieć, że to pacjenci ze wsi. Oni przyjeżdżają autobusem przed dwunastą - tłumaczyła się speszona.

Byłam pewna, że odgadłam jej następne myśli. Usiadła naburmuszona za biurkiem, udając, że układa karty przyjętych już pacjentów i co kilka sekund spoglądała na mnie spode łba. Nie wyglądała na zadowoloną z mojej postawy. Daję sobie głowę uciąć, że nie przebierała w epitetach określających moją osobę. Miałam to w nosie, ona również nie przypadła mi do gustu. Z krótko, prawie po męsku obciętymi włosami wyglądała na dziewczynę ze wsi. O Boże! Z niekłamanym przerażeniem stwierdziłam zbieżność naszych fryzur. Najwyraźniej musiałyśmy korzystać z usług tego samego salonu fryzjerskiego.

- Skoro nie ma pacjentów, chciałabym udać się do toalety -mówiłam specjalnie wyniosłym tonem, obserwując reakcję pielęgniarki.

Nie poznała się na moim żarcie.

- Ubikacja... Toaleta jest... Toaleta znajduje się na końcu korytarza. Klucz jest w szufladzie.

Zamykamy... Proszę potem zamknąć - jąkała się.

Wracałam wolnym krokiem przez prawie pusty o tej porze korytarz. Stałam przed drzwiami gabinetu, przyglądając się tabliczce ze swoim nazwiskiem oraz godzinami przyjęć. Zza drzwi dobiegał rubaszny śmiech. Najwyraźniej miałyśmy gościa i to gościa rodzaju męskiego. Energicznie nacisnęłam klamkę, wyprostowałam się wypinając piersi i z podniesioną wysoko głową weszłam do środka. Scenka, jaką zobaczyłam, wprawiła mnie w spore zakłopotanie. Siostra Joasia klęczała obiema nogami na krześle i przekładała swoje ciało przez biurko, za

którym rozsiadł się (na moim krzeselku) przystojny lekarz (tak przynajmniej wywnioskowałam po zwisającym mu na szyi stetoskopie). Mężczyzna, widząc mnie, podskoczył jak oparzony, bez cienia zażenowania wyciągając do mnie rękę.

- Pani doktor pozwoli, że się przedstawię? - mówił z szerokim uśmiechem na ustach.

Miałam wielką ochotę wykazać się asertywnością i nie pozwolić mu na ten gest. Zdobyłam się tylko na wymowne odwrócenie głowy w stronę pielęgniarki, która właśnie niezgrabnie zsuwała się z biurka. Od niechcienia podałam intruzowi rękę.

- Zenon Michalczyk - powiedział, składając długi pocałunek na mojej dłoni. - Ginekolog, do usługi - dokończył prezentację.

Kiedy wymieniłam swoje imię i nazwisko, ucieszył się tak, jakby rzeczywiście słyszał je po raz pierwszy.

- Z dużego miasta, tutaj do nas? - zapytał. - To awans czy degradacja? - i znów rubaszny uśmiech zagościł na jego twarzy.

- Proszę sobie to tłumaczyć jak panu wygodnie - odparłam, przeciskając się obok niego na swoje miejsce za biurkiem.

- Może pan doktor kawki się napije? - kokietowała go Joanna.

Nie potwierdziłam jej zaproszenia. Pan Zenon wyczuł brak zainteresowania z mojej strony, ale nie spuszczać z tonu, dalej flirtował z siostrą Asią. Opowiadał stare dowcipy, a ja czekałam, aż dojdzie do „Przychodzi baba do lekarza, a lekarz też baba...” No i nie zawiodłam się.

- Oj, chyba popełniłem gafę... - doktor Zenon udawał zmartwionego.

- Ależ skąd? - pocieszałam go sarkastycznie.

Zadzwoił telefon komórkowy pana Zenka. Bez skrupowania wyjął go i donośnym głosem rozmawiał, prawdopodobnie ze swoją pielęgniarką.

- Niech czekają! Nic im nie będzie, jak kilka minut później pozaglądam im... Chyba żadna nie rodzi? Dobrze, dobrze... Już idę!

Uśmiechał się przepaszająco, ale wciąż dumnie poinformował nas:

- Te kobiety żyć beze mnie nie mogą! Trudno, muszę was opuścić, miłe panie! Wybaczcie... - i złożył ręce jak do modlitwy.

- Wyjdę z doktorem - siostra Joanna poderwała się z krzesła. - Zobaczą, czy ktoś nie czeka na korytarzu.

Rozdział 25

Prace remontowe w domu Zawilaków posuwały się w szybkim tempie. Marek wychodził od nas rano, a wracał późnym wieczorem. Za starym płotem widać było obcych ludzi, którzy spacerowali po sadzie, paląc papierosy, pijąc mineralną wodę wprost z butelki albo po prostu rozprostowywali zmęczone kości.

Czekając, aż Aniela skończy pracę i będziemy mogły spokojnie porozmawiać, siedziałam przy kuchennym stole i próbowałam skupić się na czytanej książce. Dochodzące z za okna hałasy rozpraszały mnie i denerwowały.

- Dokładniej dziś posprzątałam. W środę chyba mnie nie będzie - mówiła Aniela, siadając na krześle obok. - Pan Marek mnie wynajął. Dobrze płaci. Uczciwy z niego człowiek. Mam u niego pracę na kilka miesięcy. Zarobię jak na zachodzie - śmiała się.

- W euro ci płaci? - zapytałam z grzeczności.

- Nie, ale nie liczy mi godzin, tylko daje miesięczną pensję. Żeby ten remont trwał i trwał! - wzniosła oczy do góry.

- Całe życie chcesz być sprzątaczką? Myślałam, że masz wyższe aspiracje, a ta praca tylko jest tymczasowa, żebyś mogła wyjść na prostą. Jak Zawilak chce cię zatrudnić na dłuższy czas, to niech to zrobi na „biało”. Zapłaci ci wtedy wszystkie świadczenia i będziesz miała staż pracy - podpuszczałam dziewczynę.

Z natury nie byłam pamiętliwa, ale krótki, nieprzyjemny epizod w domu Zawilaków wbił mi się w serce tak głęboko, że z irracjonalnych przyczyn nie mogłam wybaczyć Markowi jego uwagi o kominkach. Nic mnie nie obchodziło, czym będzie ogrzewał dom. Sam Marek był mi całkowicie obojętny, jego słowa jednak uświadomiły mi brak własnego kawałka świata, który mogłabym zagospodarować zgodnie ze swoim marzeniami. Adam co prawda obiecał mi remont, ale nie zanosilo się na szybką realizację tych planów. Tata w ogóle się nie wtrącał, jemu było dobrze tak, jak jest i żadnych zmian nie przewidywał. Rozżalona, zniechęcona, porzucona, wyładowywałam się na biednym, Bogu ducha winnym Marku i knułam za jego plecami. Sama do siebie czułam odrazę! Zachowywałam się jak stara panna, która nie potrafi racjonalnie ocenić przyczyn swojej samotności.

- Mogę spokojnie pracować na „czarno”. Pan Piotr wszystko płaci, a to co zarobię u Zawilaka, mam dla siebie, bez podatku. Zawsze to parę groszy zostaje w kieszeni... - tłumaczyła mi Aniela.
- Zaraz... Zaraz... To ojciec ci opłaca...? Ze swojej emerytury? Stać go na to? - dziwiłam się.
- Cholera! Chyba nie powinnam pani tego mówić - wystraszyła się Aniela. - Pan Piotr nie będzie zadowolony... Ja to mam język... Zawsze muszę coś chlapnąć...
- Daj spokój! Nic mi do tego. To wasze sprawy. Dziwię się tylko, skąd on bierze pieniądze na to wszystko? - zastanawiałam się.
- Nie wiem! Nic nie wiem! - asekurowała się Aniela. - Nic nie widziałam! Nic nie słyszałam!
- Mniejsza o to... Co on ma w tym pokoju? Dlaczego nikomu, oprócz ciebie, nie pozwala tam wchodzić? Co robi w nim całymi dniami? - pytałam, teraz naprawdę ciekawa.

- O, nie, nie... Pani Ewo, to jest dobra praca, a pan Piotr mnie szanuje, pomaga mi. Bez niego wszystko wyglądałoby inaczej. On uratował Misia! Nigdy nie powiem! Nawet na torturach! Bardzo proszę, niech mnie pani nie dręczy... - mrużyła zalotnie wymalowanymi rzęsami. - Lubię panią bardzo, ale co to, to nie! Po prostu nie mogę... Obiecałam i słowa dotrzymam!

- Dotrzymuj sobie, ja i tak się dowiem - próbowałam ją złamać.

- Na pewno, kiedyś... Ale się pani zdziwi... - roześmiała się.

Wynikało z tego niezbitie, że tylko ja jestem skazaną na samozagładę ruiną człowieka. Wrak ludzkiej istoty, wyglądającej przez kuchenne okno, za którym nic nie widać, poza rozwalającym się płotem.

Mój ojciec potrafił sobie zorganizować czas, wypełnić go czymś interesującym, co nawet młodej dziewczynie wydawało się atrakcyjne. To już chyba nie depresja, ale coś bardziej poważnego.

Najwyższy pora zastanowić się nad sobą, podjąć jakieś konkretne kroki w kwestii swojego życia.

Przelatuje mi ono koło nosa, a ja nie mam na tyle siły, aby je zatrzymać i zrobić z niego użytek. Jedyne oznaki aktywności ujawniam w pracy. W domu nic nie muszę robić, jest przecież Aniela. Jak się okazuje, nie można jej zwolnić, bo pozbawiłabym ją w ten sposób środków do życia. Owszem, miałam kiedyś różne zainteresowania, ale teraz wszystko straciło swój sens, a oddalenie od miasta sprawiło, że nie mam ochoty na kontynuowanie dawnych pasji. Zresztą wszystkie wiązały się z osobą Pana S., a o nim chciałam zapomnieć. Siedząc jednak beczynn timer, skazana jestem na rozpamiętywanie przeszłości, rozdrapywanie ran i wieczne użalanie się nad własną głupotą.

- Co ty robisz w wolnym czasie? - zapytałam pełna nadziei, że może ona podda mi jakiś sensowny pomysł na wyjście z marazmu.

- Nie mam wolnego czasu. Doby mi brakuje, żeby zdążyć wyrobić się z pracą, a jeszcze z Misiem przecież muszę się pobawić. Dawniej to owszem! Chodziłam na dyskoteki. Czasem coś ciekawego działo się w domu kultury. Lubiłam buszować w sieci... No i chodziłam na randki. To zajmuje bardzo dużo czasu. Trzeba się naszykować, wymalować, wybrać odpowiednie ubranie, a potem, to już pani wie... To też trochę trwało i zanim się człowiek obejrzał, już była północ! Teraz jestem bardzo zmęczona. Kładąc się do łóżka, dziękuję Bogu, że dzień już minął i mogę chwilkę odpocząć.
- Powiedz mi, jak ludzie tacy jak ja... W moim wieku, spędzają tu czas? - nie dawałam za wygraną.
- Normalnie! Oglądają telewizję - odpowiedziała bez za-jąknienia.
- A jak w telewizji nie ma nic ciekawego? - dopytywałam się.
- W niej nigdy nic nie ma - mówiła Aniela. - Ale to nie jest ważne. Trzeba siedzieć, patrzeć i słuchać. Latem to prawie wszyscy wychodzą na dwór. Każdy coś tam ma, jakiś ogródek, działeczkę, podwórko. Wieczorem spacerek po ryneczku i znów telewizja. Chyba że w domu są małe dzieci, to jeszcze przy nich trzeba coś zrobić. Nikt tu się nie śpieszy, bo też nie ma do czego. Spokojnie czas płynie i tyle... Dlatego chcę stąd uciec najdalej jak tylko można. Pani ma tylko dwa wyjścia. Zakochać się albo zwiewać! - radziła mi z młodzieńczym zapałem.
- Można również umrzeć - powiedziałam cicho.
- E, na pani miejscu jeszcze bym trochę poczekała. Na to zawsze jest czas. Chyba że z miłości! O, to wtedy tak! No, ale wyszło na moje! Musiałaby się pani zakochać - śmiała się.
- A w kim tu się zakochać? Sama powiedz! Chyba że w Zenku Michalczyku, tym ginekologu - zauważyłam.

- W nim nie radzę - Aniela spoważniała. - Ma żonę i straszny z niego dziwkarz! Jemu to wszystko jedno z kim, byleby zaliczyć kolejną zdobycz. Pół miasta ma już na swoim koncie. Oblesny typek.
- Rzeczywiście, okropny - przytaknęłam.
- Ja wiem, z kim można panią wyswatać - Aniela mówiła niepewnie, przyglądając mi się uważnie.
- Już ty się lepiej w swatkę nie baw. Jak będzie okazja, to sobie sama poradzę - gasiłam jej zapał.
- Okazja to jest... - mówiła tajemniczo. - W pani wieku, przystojny, zaradny, z kasą i z domem. Trzeba się tylko koło siebie lepiej rozejrzeć...
- Jeśli masz na myśli pana Zawilaka, to nie ma o czym mówić - protestowałam na wszelki wypadek. - Nie jest w moim typie.
- Pani ma do niego jakiś żal. A szkoda... On jest bardzo miły i pani mu się podoba. Ja tam bym go poderwała - zachęcała mnie.
- Wiesz co? Poderwij go! To dobry pomysł. Co prawda przestanie ci płacić za sprzątanie, ale będziesz miała za to piękny duży dom i bogatego tatusia dla Misia - ironizowałam.
- Ja nie mogę - broniła się Aniela.
- A to niby dlaczego? - pytałam sprytnie.
- Ja kocham Marcina. Nie mogłabym tak z innym... Rozumie pani?
- No właśnie! Sama widzisz! Nie chodzi o to, co facet ma ani jak wygląda. Ważne jest tylko, czy go kochamy. A ja niestety nie kocham pana Marka. Mam żal do niego, to prawda. Może nie powinnam, ale mam - tłumaczyłam się, nie wiem dlaczego.
- Pan Marek liczył na pani pomoc przy remoncie domu. Chciał, żeby mu ktoś doradził, jak powinien zmienić wystrój i w ogóle. Nie ma żadnej koncepcji. Podobno to kobiety two-

rzą nastrój i tylko my potrafimy ożywić nawet najbrzydsze pomieszczenie. Ja bym tam dała wszystko nowe i w zachodnim stylu. On jednak twierdzi, że chce mieć dużo ciepła, cokolwiek to znaczy - relacjonowała.

- Proponowałam już mu kominek. I na tym zakończyła się moja pomoc - drwiłam. - Dom jest ładny. Nie wie, jak go urządzić? Niech zatrudni fachowców. W gazetach znajdzie ogłoszenia dekoratorów wnętrz. Jedno, co bym tam zrobiła, to łazienka. Pomieszczenie jest naprawdę piękne, w wystroju retro wyglądałoby wspaniale. Staroświecka wanna na środku, pod oknem leżanka, kinkiety na ścianach. Żadnych kafelków, tylko biała porcelana i ciemne drewno. Super!

- I kominek... - szepnęła rozmarzona swoją wizją Aniela.

- Kominek w salonie. Prosty, broń Boże wyłożony marmurem. Ceglany... Coś wspaniałego. Przed nim bujany fotel...

- W łazience też może być kominek! - upierała się Aniela. -Kąpiemy się, a tu ciepło jak w saunie - podpowiadała.

- Masz rację! Rzeczywiście, świetny pomysł! - zgodziłam się. - Tak! To by mi się podobało! Do tego przyciemnione światło i dyskretna muzyczka...

- Relaksacyjna? - dopytywała się zachwycona Aniela.

Rozdział 26

Nie wysiadałam z samochodu. Ciągle jeszcze rozważałam, czy powinnam to zrobić. Miałam dobre intencje, ale czy to mnie usprawiedliwiało? Interesowanie się czyimś prywatnym życiem uważałam za wstrętne i niemoralne. W końcu siostra Joanna sama może mi opowiedzieć o swoich kłopotach. Żał mi jej było, ale czy mam się w to mieszać? Nie! Stanowczo nie! Jeżeli ona nie ma do mnie zaufania, nie będę się narzucać. Wypiję u Zbyszka kawę i nie wspomnę o niej ani słowem.

Zbyszek obserwował mnie zza okna i na migi zapraszał do środka.

- Coś się tak długo zastanawiała? - przywitał mnie w drzwiach. - Zbrzydło ci już moje towarzystwo?

- Nie zbrzydło - ucałowałam go w policzek. - Jestem trochę zmęczona. Potrzebowałam chwili, aby odetchnąć. Stawiasz dziś kawę?

- Oczywiście! Chodź na zaplecze. Pracujesz z Aśką? - spytał.

- Tak - odparłam krótko, nie chcąc poruszać tego tematu.

- Biedna dziewczyna. Ten jej Krzysiek to niezłe ziółko. Znów coś zmajstrował. Szuja z niego nie byle jaka. Z najgorszymi mętami się włóczy, niejedno ma na sumieniu, ale w więzieniu jednak nie siedział. Biję Aśkę, aż wióry lecą, zmiłowania nad nią nie ma. Syn też nie lepszy. W tatusia ślady poszedł. Z dziesięć lat ma, a już dwie sprawy były. Kradnie.

Matka do psychologa z nim chodzi, ale nic nie pomaga. Naturka taka. Wczoraj była u nich policja - opowiadał, a ja słuchałam z niesmakiem.

- Zbyszek, daj spokój. To plotki. Nie chcę tego słuchać - upominałam go łagodnym tonem.

- Mówię ci to, bo mi jej szkoda. Wiem, że czasem jej nerwy puszczaają. Znam ją od dziecka. Mieszkała przy mojej ulicy. Nie ma łatwego życia. Pracujecie razem, więc powinnaś wiedzieć - tłumaczył się.

- Zorientowałam się, że coś nie gra, ale to nie moja sprawa. Prywatne kłopoty trzeba zostawiać w domu. Praca to praca. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego - upierałam się.

- W każdym razie, staraj się być dla niej wyrozumiała. Dodatkowe stresy nie są jej potrzebne -

Zbyszek zakończył ten przykry temat. - A jak tam sprawuje się nasz doktor Michalczyk? Podbił już twoje serce?

- Na jego temat mogę plotkować do woli - śmiałam się. - Wyobraź sobie, że odwiedza mnie kilka razy dziennie. Jest bezczelny do tego stopnia, że nawet nie szuka pretekstu, tylko wchodzi dumny jak paw i krzyczy od progu, że przyszedł nas sprawdzić, czy dobrze pracujemy. Im bardziej jestem dla niego nieprzyjemna, tym częściej gości w moim gabinecie. Nie przeszkadzają mu pacjenci, rozsiada się za biurkiem i opowiada stare, sprośne dowcipy. Jest na niego jakiś sposób? - pytałam pełna nadziei.

- Tak! - śmiał się Zbyszek. - Jeden! Musisz mu ulec! Jak to zrobisz, momentalnie straci zainteresowanie twoją osobą. To już chyba chorobliwe. Straszny z niego typek, ale podobno dobry lekarz.

- Podobno! Na brak pacjentów nie narzeka. Ma żonę?

- Bardzo ładną, miłą kobietę. Pracowałam z nią w szkole. Uczy fizyki.

- I co ona na to? - spytałam.

- Na co? Że ma męża lowelasa wie od dawna. Mogłaby go zostawić, ale widocznie żal jej życia w luksusie. Właściwie to prawie się nie widują, więc jej to nie przeszkadza. Taki wolny związek. Ona też kiedyś kogoś miała na boku, ale chyba nie było to nic poważnego, bo nie zdecydowała się na rozwód. Dzieci nie mają, bo lowelas jest bezpłodny, dlatego może używać, gdzie chce i nie ponosić żadnych konsekwencji. Stanowisz dla niego smaczny kąsek. Uważaj na siebie i nie ulegaj jego czarowi - ostrzegął mnie.

- Czarowi? - zachnęłam się. - Nie jestem zbyt biegła w sprawach dobrego wychowania, ale bezczelność, z jaką się odnosi do ludzi i brak taktu z jego strony, przerażają mnie. Pewnie wyobraża sobie, że jest taki luzacki, dowcipny i błyskotliwy, a tymczasem to cham i prostak. Nie potrafię się przed nim bronić - żaliłam się.

- Sama widzisz! Każdy ma swoje problemy - podsumował Zbyszek.

Ta oczywista prawda stała się przyczynkiem do kolejnej lustracji mojego przypadku. Poznając losy kobiet mieszkających w miasteczku, zaczęłam uważać się za prawdziwą szczęściarę. Miałam swoje wzloty i upadki, ale bilans wychodził mi na plus. Najtragiczniejszym wydarzeniem, które do dziś tkwiło we mnie głęboko, była choroba i śmierć mamy. Patrząc na jej cierpienie, czując swoją bezradność, bezsilność, zagubienie, postanowiłam uczyć się pilnie i zostać lekarzem. O dziwo, cel nie był trudny do osiągnięcia. Przy mojej inteligencji wystarczyło pracować systematycznie. Większym problemem było załatwienie pracy w klinice, zdobycie doktoratu, z czym również sobie poradziłam. Kto wie, może zostałabym nawet profesorem, ale unosząc się fałszywym honorem, na własną prośbę zrezygnowałam z intratnej posady. Praca w przychodni też może dać satysfak-

cję. Dobry lekarz przyda się wszędzie. Krzywo tu na mnie już patrzą, bo pacjenci chętnie mnie odwiedzają. Zdaje mi się, że niedługo nie będę mogła pomarzyć o spokojnym popołudniu. Moje życie zawodowe jest naprawdę udane. Gorzej z osobistym. Robiąc porównanie z kłopotami Anieli, Joanny i żony Zenka Michalczyka (znałam ją tylko z plotek, ale mogłam wyobrazić sobie co przeżywa), znowu wypadałam całkiem przyzwoicie. Dziesięć lat spędzonych z Panem S., śmiało mogę zaliczyć do szczęśliwych. W związku opartym na wzajemnym poszanowaniu, partnerstwie i miłości (tak mi się przynajmniej wtedy wydawało), brakowało mi tylko jednego: papierka, świstka stwierdzającego naszą do siebie przynależność. Mój partner nie bił mnie, nie pił, nie robił awantur, nie podrywał wszystkich napotkanych kobiet. Mogłam też na nim zawsze polegać, liczyć na jego wsparcie i pomoc. Istna sielanka! Nic ująć, nic dodać. Zawiódł mnie jeden, jedyny raz. Jak się okazało, o ten jeden raz za dużo... Zostawał jeszcze ostatni aspekt moich rozważań. Tu stałam na straconej pozycji. Nie odniosłam żadnych sukcesów. Całe doświadczenie w tej dziedzinie ograniczało się do poronienia, które miało miejsce jeszcze w czasie studiów. Nie wiedziałam nawet, że jestem w ciąży. Głowę miałam zaprzątniętą ważniejszymi sprawami. Było to podczas ostatniej sesji egzaminacyjnej. Spotykałam się wtedy z Radkiem i, jakby powiedziała Aniela, zajmowało mi to sporo czasu. Brak miesiączki tłumaczyłam wyczerpaniem nerwowym, nieprzespanymi nocami, słabym odżywianiem. Krwotoku dostałam na egzaminie. Momentalnie wylądowałam na ginekologii. Nie zdawałam sobie sprawy, że właśnie straciłam jedyną i niepowtarzalną szansę w życiu. Dalsze moje kontakty z mężczyznami cechowała czujność i zapobiegliwość. Pragnęłam mieć z Panem S. dziecko, ale nie chciałam, żeby nas poróżniło. On był ojcem i uważał się za spełnionego. Nie chciał dalszych komplikacji, zupełnie tak, jak

by jednak liczył się z powrotem do żony. Poddając się jego woli, zostałam kobietą bezdzietną i biorąc pod uwagę mój wiek, nic się chyba już nie zmieni. Z tą porażką nie mogę się pogodzić, nadal zazdroszczę macierzyństwa wszystkim matkom. Na tym polu poniosłam sromotną klęskę.

Rozdział 27

Pod koniec sierpnia rozpadało się na dobre. Każdy kolejny dzień wstawał chłodny, mglisty i pochmurny. Wiatr z dużą siłą uderzał w okna, stukając starymi okiennicami, przywołując wspomnienia z dzieciństwa kojarzące się nieodparcie z obrazkiem ukrytym gdzieś w podświadomości. Przymykając oczy, prawie realnie widziałam siedzącą na bujanym fotelu mamę cichutko czytającą nam książkę. Nie byłam całkowicie pewna, czy takie wydarzenie rzeczywiście miało miejsce, czy też wymyśliłam sobie tę scenkę na podstawie jakiejś ilustracji, w którą wkomponowałam mamę. Tak czy inaczej w chłodne, letnie wieczory często wracałam myślami do tej nastrojowej wizji.

Ojciec właśnie zszedł z góry, z wesołym uśmiechem rozglądał się po kuchni.

- Naprawdę chcesz tu przesiedzieć resztę życia? Ile razy wejdziesz, siedzisz przy oknie i nieprzytomnymi oczami wpatrujesz się w płot. Ewo, ocknij się? Myślisz, że tylko ten jeden facet jest na świecie?

Popadniesz w końcu w chorobę psychiczną i dopiero będę miał z tobą kłopot - zrzędził.

- Tato, każdy siedzi, gdzie chce! Czyja zaglądam do pokoju mamy i czepiam się twoich zainteresowań? - broniłam się, jak potrafiłam.

- Przynajmniej nie siedzę beczynnym... - drwił ze mnie ojciec.

- Co ty powiesz? - udawałam przesadnie zdziwioną, czując, że nadarza się okazja poznania części jego tajemnicy.

- Takie siedzenie w domu szkodzi ci nie tylko na cerę, ale też na umysł - ojciec okazał się znów przebieglejszy nie dając się nabrać na moje chwytły. - Zrób coś pożytecznego.

- Dobry pomysł! - przyznałam z wściekłością. - Jak tylko przestanie padać, pójde i rozwalę ten cholerny płot!

- Zniszczenie symbolu nie pomoże w naprawieniu twojego życia - szydził ojciec. - chyba że płot jest jedyną przeszkodą dzielącą cię od Marka Zawilaka, w takim razie możesz ją zniszczyć jednym kopnięciem.

Miałam ochotę rozplakać się jak dziecko. Wobec taty czułam się bezradna. Wiedziałam, że ma rację. Sposób w jaki uświadamiał mi mój upadek, sprawiał mi więcej bólu niż osamotnienie, które ostatnio stało się moim jedynym, wiernym towarzyszem.

- Nie cierpię Marka, wiesz o tym dobrze. Niech on w końcu wyremontuje ten dom i przeniesie się na swoje śmieci, a wtedy rozbiorę płot i mur postawię! Wysoki, na dwa metry! - odgrażałam się.

Ojciec plecami oparł się o stary kredens. Skrzyżował ręce na piersiach i przyglądał mi się uważnie.

- Nie jego... Ty nie cierpisz wszystkich mężczyzn. Winisz pół świata za to, że jeden samiec okazał się szują. A mówiłem. Prosiłem... Przestrzegałem... Jak ćma do światła... Jak mucha do gnoju... Leciałaś na ośle! Ciesz się, że chociaż nie skończyłaś tak, jak ta biedna żona Michalczyka! Ta ma dopiero za swoje... Jeszcze i ją posadzą! Jak widzisz, łajdaków na świecie nie brakuje, co nie znaczy, że każdy, który mija cię na ulicy, to potencjalny gwałciciel - pocieszał mnie tata.

- Bardzo ci dziękuję! Podniosłeś mnie na duchu - syczałam przez zaciśnięte zęby.

Od dwóch dni w miasteczku huczało jak w ulu. Taka sensacja stanowiła wspaniałą pożywkę dla tutejszej społeczności. Na jej gruncie, jak grzyby po deszczu, wyrastały kolejne wersje zdarzeń, coraz bardziej niedorzeczne i irracjonalne. Doktora Zenona aresztowano w przychodni, na korytarzu pełnym pacjentów. Może, gdyby pozwolono zrobić to miejscowej policji, cała akcja odbyłaby się spokojniej, w kameralnych warunkach. Sprawa jednak była pokazowa, więc i uwięzienia Michalczyka musiało mieć widowiskowy charakter. Właściwie nie wiedziałam, o co został oskarżony. Jedna z plotkarskich wersji mówiła o gwałcie dokonany na pacjentce. Nie znałam go dobrze, ale jakoś trudno było mi w to uwierzyć. Siostra Joanna upierała się, że ktoś chce go zrobić, bo to przecież kryształowy człowiek. Jego niestosowne zachowanie nazywała „niewinnymi żarcikami”. O niewinne żarciki chyba jednak nie chodziło. W środowisku lekarskim mówiło się raczej o „błędzie w sztuce”, co wydawało mi się bardziej prawdopodobne. Prokuratura zabezpieczyła kartoteki wszystkich pacjentek doktora i zaplombowała jego gabinet. Kierownik przychodni przekazał pocztą pantoflową tajną wiadomość, żeby lekarze byli gotowi do zeznań, udzielając policji zgodnych z prawdą wyjaśnień. Ja mogłam jedynie zaświadczyć, że Michalczyk jest mężczyzną nietaktownym, upierdliwym i nachalnym. Takie wyznania zapewne mu nie pomogą, ale też nie zaszkodzą.

- Dziś, ni stąd, ni zowąd, zjawiała się u mnie doktor Marwicka. Wyprosiła Aśkę z gabinetu i bez żenady wypytywała mnie o kontakty z Michalczykiem - opowiadałam ojcu.

- To i stara pani doktor bawi się w detektywa? - kpił tata. -Widzisz, ludzie potrafią znaleźć sobie jakieś zainteresowania.

- To nie było zabawne. Chciałam ją wyprosić, ale jakoś nie mogłam zdobyć się na odwagę, żeby powiedzieć jej „won!”. To było dziwne i niesmaczne. Zapytała mnie wprost, czy jestem jego kochanką... Wyobrażasz sobie?

Ojciec usiadł na krześle przy stole i przysłuchiwał się moim zwierzeniom. Twarz jego nabrała poważnego, prawie zboląłego wyglądu. Przeszło mi przez myśl, że jednak wolę go z tym kpiącym, ironicznym uśmiechem, który nadaje mu uroku i stwarza wrażenie, że jest dużo młodszy niż w rzeczywistości.

- Marwicką znam od lat. Miałem ją za porządną kobietę. Nawet mi się podobała - wtrącił. - Oj, głupiej ludzie na stare lata, głupiej... Stają się wścibscy żądni krwi... A jej co do tego, z kim ty śpisz?
- Nie wiem. Powiedziałam, że doktor nie jest w moim guście i wypraszam sobie takie sugestie! Nawet mnie nie przeprosiła. Dopytywała się też, czy znam kogoś w klinice, z ginekologii. Uznałam to za szczyt bezczelności...
- Rzeczywiście, taktowne to nie było - ojciec mówił całkiem spokojnie. - Możliwe, że szuka kontaktu, chce komuś pomóc. Widzisz, są ludzie i ludziska! Ona raczej należy do ludzi. Prawdopodobnie nawet nie wiedziała, że sprawiła ci przykrość. Jak jesteśmy okaleczeni, boli nas każde dotknięcie rany, nawet to, które przyspieszy jej gojenie. Źle interpretujesz jej zamiary.
- Nie rób z niej świętej. Patrząc mi w oczy, wypytywała, czy dałam się uwieść! Zamiar mógł być tylko jeden - denerwowałam się. - A co z jego żoną? - przypomniałam sobie.
- Podobno dostała napadu szału. Chcieli ją zawieźć do szpitala psychiatrycznego, ale skończyło się na kilku zastrzykach. Dziwne z nich małżeństwo. Wydawało się, że są sobie całkowicie obojętni, a tu taka reakcja... Z zewnątrz wszystko wygląda inaczej... Nikt się tego nie spodziewał...
- Tak, kobieta z klasą... Zbyszek twierdził, że powinniśmy się poznać i zaprzyjaźnić.
- A wiesz, coś w tym chyba jest... Rzeczywiście jesteście do siebie podobne. Teraz jednak nie radzę ci zawierać takich

znajomości. Nie wiadomo, co jej mążnek ma na sumieniu -ostrzegł mnie.

- Sam przed chwilą mówiłeś, że załamała się całkowicie. Przyjazna dusza jej byłaby w jej sytuacji jak znalazł. Podziwiam twój altruizm - teraz ja drwiłam. - Pierwsza zasada: „Nie podawaj ręki potrzebującemu pomocy!”.

- Koniecznie chcesz się wpakować w kłopoty? Nie zbliżaj się do nich! Poczekaj chociaż na konkretne zarzuty, żebyśmy wiedzieli przed czym się bronić. Druga zasada jest taka: „Chcesz stracić przyjaciela, pomóż mu wyjść z biedy!”. Broń Boże, nie licz na ludzką wdzięczność. Nie ma takiej! Uwierz mi. Wiem, co mówię.

- W takim razie musisz przygotować się na wielkie rozczarowanie. Mareczek na pewno nie odwdzięczy ci się dobrym słowem. W hotelu musiałyby zapłacić, tu wikt i opierunek ma za darmo. Wspomnisz moje słowa, to się źle dla nas skończy -prorokowałam.

- Masz mnie za durnia? - zachnął się tata. - To transakcja wiązana. Taka pierwotna wymiana dóbr i usług. Zresztą, nic ci do tego - mówił z tajemniczym, chytrym uśmiechem na twarzy. - To męskie sprawy!

-- Zaraz... Zaraz... Coś mi się tu nie podoba... Mam nadzieję, że nie wymieniałeś mnie za krowę czy konia? - wystraszyłam się nie na żarty.

- No co ty? Skąd by Zawilak wziął konia? Ale wiesz, może to dobry pomysł... Właściwie dobrze byłoby cię przehandlować. Rozważę tę możliwość.

- Zanim do tego dojdzie, chcemy zacząć remont. Adam obiecał mi, że zajmie się wszystkim. Proszę cię, powstrzymaj się od awantur. Chciałam wymienić okna w całym domu, ale na razie mnie na to nie stać. Będę robiła to stopniowo - starałam się mówić łagodnie, żeby od razu nie wywołać kłótni.

Ojciec lubił mnie zaskakiwać. Właściwie to nigdy nie mogłam przewidzieć jego reakcji. Był nieobliczalny! Z błałego powodu potrafił wpaść we wściekłość, miotać wyzwiskami. Ludzką twarz pokazywał w najmniej spodziewanych momentach. Pod maską egoizmu i cynizmu kryła się jego prawdziwa, dobra dusza.

- Róbcie, co chcecie. Mówiłem już, że nic mi do tego. Poszukiwacze skarbów od siedmiu boleści - śmiał się.

Poczułam ciarki na plecach. On wie! Bawi się z nami jak kot z myszką. Dam ja Adamowi za te jego strychowe wyprawy! Odnalezione papiery nadal leżą w mojej szafie.

Rozdział 28

Marwicka czekała na mnie przed gabinetem. Bez zbędnych wstępów, nie pytając mnie o zadanie, umówiła się ze mną po pracy. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak się do mnie przyczepiła. Staralam się dyskretnie wypytać siostrę Asię, ale ona przewracała oczami, robiąc tajemnicze miny, udzielała wymijających odpowiedzi. Najwyraźniej wiedziała albo domyślała się o co chodzi. Czułam, że wokół mnie zaciska się niewidzialna pętla. Przypominało to uknuty spisek. Spojrzenia, niedomówienia, tajemnicze uśmiechy. Zaczynałam obawiać się o własne bezpieczeństwo. Ostrzeżenia ojca potraktowałam poważnie, a biorąc pod uwagę ciężką atmosferę w pracy, moje przypuszczenia nie były bezpodstawne. Wszyscy bali się wszystkich. Psychoza strachu zadziałała. Milczące oczekiwanie na grom z jasnego nieba sprawiło, że personel przychodni zachowywał się jak osaczona wataha wilków. Szczyrzyliśmy zęby, niby w uśmiechu, a w rzeczywistości po to, żeby zademonstrować swoją siłę i gotowość do walki. Plotki ucichły i to dopiero działało deprymująco. Każdy z nas robił rachunek sumienia, kontrolując zawczasu historie chorób swoich pacjentów, zacierając ślady ewentualnych pomyłek i zaniedbań. Kontakty ograniczyliśmy do zdawkowych pozdrowień, służbowych rozmów. Wycieczka, którą zaproponowała mi doktor Marwicka, z całą pewnością będzie miała dla mnie nieprzyjemne konsekwencje. Nie mogłam jednak okazać

się tchórzem. Zastanawiając się nad obecną sytuacją, czekałam w swoim aucie na parkingu przed przychodnią. Deszcz przestał padać, a w prześwicie chmur pokazało się słońce.

Promyk nadziei - pomyślałam naiwnie.

Doktor zjawiała się prawie punktualnie. Wsiadła do samochodu i od razu postanowiła się ze mną zaprzyjaźnić.

- Przejdźmy na „ty” - zaproponowała. - Proszę mówić do mnie po imieniu, łatwiej będzie nam dojść do porozumienia. - mówiła, zapinając pasy bezpieczeństwa. - Przejedziemy się kawałek. Na pewno jesteś głodna. Pokażę ci piękne miejsce. Często tam bywam. Lubię jeść posiłki na świeżym powietrzu. W dzieciństwie wakacje spędzałam na wsi. W pogodne dni babcia wystawiała na dwór okrągły stół i jedliśmy obiad pod rozłożystym modrzewiem. Czyż to nie jest dziwne, że po tylu latach wspominamy takie chwile z rozczeniem?

- Nie wiem. Ja akurat niechętnie wracam do tego okresu. Pewnie pani nie pamięta... - musiałam przełamać wewnętrzny opór, żeby rozmawiać z nią swobodnie. - Ale leczyłaś moją mamę...

- Oczywiście, że pamiętam. Skreć w lewo - odparła lakonicznie.

Najwyraźniej zagajenie rozmowy nie wyszło jej najlepiej. Milczałyśmy. Od czasu do czasu wskazywała, w którą stronę mam jechać. Nie dopytywałam się o cel naszej podróży. Postanowiłam cierpliwie czekać, aż moja nowa koleżanka zdradzi swoje plany. Knuła z całą pewnością. Nie wiedziałam po czyjej jest stronie i co chce przez to uzyskać. Jechałyśmy główną drogą. Ruch był duży i skupiałam się na prowadzeniu auta.

- Jeszcze parę kilometrów i będziemy na miejscu - powiedziała.

Kątem oka zauważyłam, że wyjęła z torebki szminkę i nie spoglądając w lusterko, pomalowała usta. Zaimponowała mi.

Nie potrafiłabym tego zrobić. Kiedy skończyła poprawiać makijaż, zwróciła się do mnie;

- Zjedź na ten parking.

Zatrzymałam samochód, wysiadłam i rozglądałam się ciekawie. Stara, niezbyt estetyczna budka, przy niej kilka stolików z parasolkami. Na środku dużej połaci asfaltu wysepka z kilkoma drzewami, pod którymi również rozstawione były stoliki. Nic nadzwyczajnego!

- To dla tiorowców - stwierdziła Krystyna i przyjacielsko objęła mnie ramieniem. - Chodźmy.

Gdy obeszlśmy wysepkę, oazę na asfaltowym morzu, moim oczom ukazał się parterowy, pomalowany na miodowo budynek, przypominający hacjendę z brazylijskiej telenoweli.

- Nazywam to miejsce „Malutkim Rajem” - śmiała się Krystyna. - Przekraczając drzwi, zostawiam za sobą szarość codzienności, wchodzę jakby w inną rzeczywistość.

- Każdy ze swoimi stresami radzi sobie, jak może - ironizowałam. - Ja nie staram się uciekać od problemów, po prostu je rozwiązuję.

Przepuściłam ją przodem, niech już znajdzie się w tym swoim wyimaginowanym edenie. Weszliśmy do środka. Rzeczywiście, lokal urządony był z wielkim smakiem. Wnętrze podzielono na dwie sale. Pierwsza, mniejsza, w której stały tylko cztery dwuosobowe stoliki, była wprost wymarzonym miejscem dla zakochanych par. Miłosne wyznania, odbywające się w emanującej romantyzmem scenerii, musiały tu być pełne uroku i niewątpliwie głęboko zapadały w pamięć oczarowanych sobą kochanków. W drugiej stoliki ustawione wzdłuż ścian i wielkich okien otaczały parkiet, w rogu umieszczono podwyższenie dla orkiestry.

- Sprytnie pomyślane - pochwaliłam zamysł właścicieli. - Tam oświadczyń, tu wesele!

- To jeszcze nie koniec niespodzianek. Wyjdźmy na zewnątrz, dziś taki ładny dzień, że szkoda siedzieć w budynku - Krystyna ponownie objęła moje ramię.

Zawróciłyśmy i przechodząc przez salę zakochanych, balkonowymi drzwiami wyszłyśmy na ogromny taras. Widok, jaki zobaczyłam, rzeczywiście mnie oczarował. Słaby, zachodni wiatr dawno rozwiał chmury, ukazując błękitne niebo. W promieniach słońca otoczenie wyglądało wręcz jak bajkowa kraina. Z tej strony do niskiego budynku restauracji niemal przylegał uroczy staw, w którego przejrzystej wodzie pływały olbrzymie, kolorowe ryby, a brzegi porastały sporych rozmiarów lilie wodne o wielobarwnych kwiatach. Na tafli wody znajdowały się budki łęgowe przeznaczone dla kaczek i łabędzi, przypominające pływające domki krasnoludków. Panującą ciszę mąciły tylko śpiewy ptaków. Miałam wrażenie, że znajdujemy się na leśnej, odciętej od świata polance. Po lewej stronie taras zamykał wielki głąz, z którego wpływała stróżka wody i rzeźbiąc ścieżkę w żwirowym podłożu, znikła w stawie. Przy tym małym, szemrzącym wodospadzie pnące rośliny utworzyły naturalną altankę, w cieniu której ustawiono drewniany stół, ławki do siedzenia i naturalną piaskownicę z zabawkami dla dzieci. Stoliczki rozstawione na tarasie i pomoście wchodzącym daleko w wodę od promieni słońca osłaniały wielkie parasole.

Krystyna obserwowała moją twarz, chcąc zobaczyć, jaki efekt wywołała na mnie ta sceneria.

- Faktycznie, bajka - potwierdziłam. - Pięknie tu i nastrojowo.

- Z drogi tego nie widać i mało kto wie, że jest tutaj tak ślicznie. Właściciele nie narzekają, bo kto raz tu był, wraca. Usiądziemy pod parasolką? - zaproponowała.

Młoda, uśmiechnięta kelnerka zjawiała się błyskawicznie. Podała nam kartę dań, dyskretnie wycofując się. Miałam wrażenie, że rozplynęła się jak rusałka. Przyjemnie było siedzieć,

obserwując wielkie ryby, kaczki i łabędzie. Wiedziałam, że odkrycie tego cudownego miejsca będę musiała czymś opłacić. Krystyna, przeglądając menu, nie kwapiła się, aby mi wyjaśnić, czego ode mnie oczekuje.

- Świetnie tu gotują, sama zobaczysz. Ja dziś spróbuję sztukę mięsa w sosie chrzanowym. Już mi leci ślinka. Szkoda, że nie możesz napić się wina - stwierdziła Krystyna. - Chętnie sobie zamówię lampkę, jeśli pozwolisz?

- Oczywiście - zgodziłam się.

Liczyłam, że po złożeniu zamówienia moja nowa przyjaciółka przystąpi do rzeczy. Tymczasem ona zapaliła papierosa, z rozkoszą zaciągając się dymem.

- Po co mnie tu ściągnęłaś? Wątpię, żebyś zrobiła to bezinteresownie. Dostyc podchodów! Wyłóż karty na stół! - sama nie wiem dlaczego, ale byłam zdenerwowana.

Krystyna przyglądała mi się z miną babci, która pragnie uciszyć płacz wnuka. Uśmiechała się łagodnie. Z jej zachowania wywnioskowałam, że szykuje mnie na silne przeżycia. Przewornie przygotowałam się na najgorsze.

- Poniekąd masz rację - zaczęła. - Nie chciałam cię w to wciągać, ale sprawa jest bardzo poważna i potrzebujemy twojej pomocy. Nie znamy się i nie wiem, czy mogę na tobie polegać, okoliczności jednak zmuszają nas do wykorzystania każdej, nawet nikłej szansy.

- Nas? To znaczy kogo? - dopytywałam się.

- Od lat przyjaźnię się Jolą, żoną Michalczyka - zamilkła, czekając na moją reakcję.

Rozczarowałam ją. Było mi całkowicie obojętne, z kim się przyjaźni, a sprawy pani Michalczyk obchodziły mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Próbowałam pokryć zażenowanie niewinnym uśmiechem, który w tej sytuacji wydawał mi się czymś naturalnym.

- No właśnie - kontynuowała Krystyna. - W miasteczku różnie o nich mówią. Zenek jest trochę... Sama wiesz... Lubi kobiety. Myślę, że jego zachowanie ma głębsze podłoże psychologiczne, ale nie nam się nad tym zastanawiać. Teraz jest czas działania. Musimy mu pomóc. Ktoś za wszelką cenę stara się go zrobić. Udowodnimy, że biedny Zenon to uczciwy i porządny lekarz...

- Róbcie, co chcecie - weszłam jej w słowo. - Mnie ta sprawa nie dotyczy i nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Nie dlatego, że się boję lub cieszy mnie aresztowanie doktora Zenka. Pracuję tu krótko, nie znam ludzi i układów. Nie mogę stanąć po żadnej stronie, nie wiedząc nawet, jakie zarzuty są mu stawiane. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, ale nie znajdziesz we mnie sojusznika. Po prostu, za mało wiem i to wszystko. W tej sytuacji zaangażowanie się w sprawę prowadzoną przez prokuraturę, byłoby istnym szaleństwem - wyłożyłam swoje racje.

Teraz ruch należał do Krystyny. Dobrze wiedziała, że przekonanie mnie nie będzie łatwe. Nie zastanawiała się długo, od razu przystąpiła do kontrataku.

- Ależ Ewo! Nikt nie żąda od ciebie poświęceń. Wiemy, że masz znajomych w klinice. Chodzi nam tylko o dojscie. Potrzebujemy ekspertyz. Rzeczowych, konkretnych, wystawionych przez odpowiednich specjalistów.

Podziwiałam jej spryt. Krążyła, kluczyła i udało się jej ominąć drażliwe słowo - ginekologia. Przy okazji zdekonspirowała się. Wyszło szydło z worka. Wiedziała. Musiała wiedzieć, inaczej nie próbowałaby tej sztuczki. Jak można, dla własnych korzyści, narażać mnie na taki afront? Nigdy, za żadne skarby nie będę o nic prosiła Pana S.! Mam zadzwonić? Napisać list? Umówić się na spotkanie? Co ona sobie wyobraża?

- W tym plotkarskim grajdołku nic się nie ukryje... - mówiłam, uśmiechając się zjadliwie. - Wypraszam sobie nawet

powoływanie się na naszą znajomość! Wiesz dobrze, dlaczego zrezygnowałam z dobrej, dającej mi satysfakcję pracy. Osoba, o której mówisz, oczywiście starając się ominąć jej nazwisko, jest ostatnim człowiekiem na świecie, którego poprosiłabym o szklankę wody dla umierającego ojca!

Rzeczywiście, mógłby wam pomóc! Ale bez mnie... Beze mnie! Jeżeli się dowiem, że moje nazwisko zostało użyte, w obojętnie jakim kontekście, wystąpię przeciwko wam na drogę sądową. Chyba wyraziłam się jasno?

O dziwo, nie czułam się podle, wręcz przeciwnie, byłam bardzo dumna. Dzięki Krystynie nareszcie mogłam głośno wykrzyczeć swoją frustrację. Moje nazwisko nie będzie łączone z nazwiskiem tego chwiejnego, nieuczciwego, skończonego w moich oczach człowieka.

- Tak? Trudno... I tak uważam, że warto było spróbować. Tonący brzytwy się chwyta. Przepraszam. Uwierz, nie chciałam cię dotknąć, ani sprawić ci przykrości. Kiedy przyjaciele są w niebezpieczeństwie, czasem trzeba przekroczyć granice dobrego smaku. Ta sprawa nie powinna popsuć stosunków między nami. Zostaniemy nadal przyjaciółkami? - próbowała złagodzić moje wzburzenie.

- Koleżankami, jesteśmy koleżankami z pracy - przypomniałam jej. - Przyjaźń, to bardzo zażyłe uczucie, prawie jak miłość...

Dalszy ciąg wyprawy za miasto miał już wyłącznie koleżeński charakter.

Rozdział 29

- Sprawa jest czysta - tłumaczył mi Zbyszek. - Oskarżenie lekarza o błąd w sztuce można porównać do odebrania dziecku cukierka. Proste i bez konsekwencji. Nie bądź naiwna! Wina jest nieważna. Liczy się obsmarowanie, napiętnowanie, plotki! To już wystarczy. W takim mieście, jak nasze, ludzie będą pamiętać i po latach gotowi są tę wiedzę wykorzystać. Powiedz sama, czy poszłabyś do ginekologa patałacha? Każda pojedzie sto kilometrów, ale do jego gabinetu nie zajrzy! Taka mentalność! Jest skończony! Winy, niewinny, cóż to za różnica?

- Liczy się tylko pomówienie? Spreparowanie dowodów? Nie mogę w to uwierzyć... - przyznałam z niesmakiem.

- Jeżeli jest się w stanie wykombinować wiarygodną wersję i zainteresować nią prokuraturę, owszem. Gazety o tym piszą i to nie tylko lokalne, z tego każdy mieszkaniec może spokojnie wysnuć wniosek, że sprawa jest nad wyraz poważna. Kto się tam zna na medycznej nomenklaturze? Zrobił coś źle i tyle! Tego się nie da odkręcić! Sąd może go uniewinnić dziesięć razy, ale ludzie mu nie przebaczą. Oni wiedzą lepiej. Na wszystkim się znają - Zbyszek aż poczerwieniał ze złości.

- Czyli jest skończony? - spytałam, a właściwie podsumowałam jego wywody.

- Tutaj tak - stwierdził. - Ma szansę, ale już gdzie indziej.
- A jakby gazety odszczekały? Gdyby autorytety wypowiedziały się w tej sprawie? - nie mogłam pogodzić się z faktem zniszczenia człowieka bez prawa do obrony.
- W takim wypadku można mówić o częściowym ocaleniu. Trudno mi jednak sobie to wyobrazić. Kto zdobędzie się na narażanie własnej pozycji dla podrzędnego lekarza z rejonowej przychodni? Oj, Ewo, Ewo... Jesteś marzycielką i idealistką. Jak ty się uchowałam na tym paskudnym świecie? Do tej pory nie zetknęłam się z podłością ludzką, z walką o stołki?
- Zbyszeku, świat jest wstrętny, ale nie sam w sobie - moja naiwność naprawdę mnie przerażała, dlatego szybko dodałam. - Widziałam już różne intrygi, twierdzą jednak, że w takich sytuacjach nie powinniśmy być obojętni. Milczenie to ciche przyzwolenie. Stojąc na uboczu, stajemy się współwinni. Zenek wykorzystał wszelkie możliwości i postępował zgodnie z ustalonymi procedurami. Nie jesteśmy cudotwórcami! Nie zawsze możemy pomóc...
- Koniecznie chcesz się pozbyć pracy? - dziwił się, widząc mój młodzieńczy bunt. - Tu już nie chodzi o zasady moralne, tu chodzi o życie. Lepiej zmieńmy temat. Włosy ci urosły. Chętnie się nimi zajmę. Kiedy się umówimy? Może jutro?
- Wolałabym dzisiaj. Jutro wybieram się do miasta. Cholera jasna, jednak to zrobię, chociaż obiecywałam sobie, że nigdy w życiu się nie ugnę... Nie mam wyjścia! Trudno! Diabli nadali Michalczyka! - pomstowałam.
- Coś ty wymyśliła? Uważaj, bo biedy sobie napytasz. Dobrze rozważ za i przeciw. Lubię cię bardzo i nie chcę, żebyś miała kłopoty. Najpierw pomyśl, potem rób - ostrzegał mnie Zbyszek. Za późno... Podjęłam decyzję. Sama na siebie byłam zła, ale nie mogłam postąpić inaczej. Wmieszam się w tę sprawę,

nieważne, co może być dalej... Nie mogłam tego odwlekać. Postanowiłam zadzwonić. Wyjęłam komórkę. Niech się dzieje co chce... Musi pomóc Zenkowi... Zrobi to za moje „wyplakane oczy”. Nabrałam powietrza w płuca, wypuściłam i starałam się uspokoić oddech. Odebrał połączenie.

- Ewo, to ty? - spytał cicho.

Wiedziałam, że mnie nie widzi, mimo to zrobiłam groźną minę.

- Witaj! Tak, to ja - chciałam nadać swojemu głosowi służbowy ton.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę... Nie miałem odwagi...

- Dzwonię, bo mam do ciebie ważną sprawę. Chcę się z tobą spotkać, najszybciej jak tylko można - przerwałam mu oschle.

- Oczywiście. Kiedy i gdzie sobie życzysz. Mój rozmówca najwyraźniej posmutniał.

- Wpadłabym do ciebie jutro. Chodzi mi o ekspertyzę. Nie dysponuję historią choroby, ale myślę, że będziemy mogli do niej dotrzeć. Mój znajomy ma poważne kłopoty - cedziłam każde słowo, jakbym bała się powiedzieć za dużo lub zdradzić swoje uczucia.

- Ktoś dla ciebie ważny? - spytał.

To pytanie rozzłościło mnie. A co to ma do rzeczy?

- Słuchaj, jesteś gotowy mi pomóc czy szkoda mojego czasu? - warknęłam rozjuszona.

Za kogo on mnie uważa? Myśli, że znalazłam pocieszenie w ramionach przestępcy? I pomyśleć dla kogo się tak upokarzam! Dla Zenona! Chyba jednak postradałam rozum!

- Dobrze, czekam na ciebie. Będę na dyżurze, znajdziesz mnie - wyraźnie dążył do zakończenia rozmowy.

- Do zobaczenia - pożegnałam go krótko i bardzo oschle. Zbyszek przyglądał mi się uważnie. Nie pytał już o nic. Skomentował całe wydarzenie z przebiegłym uśmiechem:

- W takim razie dziś strzyżenie i malowanie włosów. Zrobię cię na bóstwo! Twój były pożałuje. Takiej kobiety jak ty się nie porzuca!
- Niestety, porzuca! Mam tylko nadzieję, że mój trud się opłaci - powiedziałam, kręcąc z powątpiewaniem głową.
- Kto wie, może zostanie doceniony... - pocieszał mnie Zbyszek.
- Słuchaj, nikt się nie może o tym dowiedzieć, rozumiesz? Ani mru-mru - prosiłam.
- Masz to jak w banku - zapewnił mnie, kładąc prawą rękę na sercu. - Przysięgam milczeć jak grób.

Rozdział 30

Marek Zawilak siedział przy stole w naszej kuchni. Jego obecność coraz bardziej mi przeszkadzała. Zła byłam z powodu Anieli, która teraz pracowała również u niego i dlatego nie miała czasu na długie pogawędki ze mną. Brakowało mi jej optymizmu oraz słodkiego szczebiotania.

- Wyglądasz prześlicznie - komplementował mnie znad talerza zupy.

Pominałam milczeniem uwagi dotyczące mojego wyglądu. Byłam głodna jak wilk. Umyłam ręce nad zlewem i bez słowa nalałam sobie ciepłej jeszcze zupy. Nie zastanawiałam się, kto w tym domu gotuje. Po prostu jadłam, co znalazłam w lodówce bądź w garnkach stojących na kuchence. Z pełnym talerzem usiadłam obok Marka.

- Byłaś u fryzjera? - dopytywał się, nie zważając na moje ostentacyjne milczenie.

- Byłam u przyjaciela - powiedziałam zgodnie z prawdą. Po takim wyznaniu Marek prawie udławił się łyżką zupy. Po chwili stwierdził lakonicznie:

- No CÓŻ...

Najwyraźniej rozmowa się nam nie kleiła. Skupiliśmy się na jedzeniu obiadu, prześcigając się w dobrych manierach. Jedliśmy prawie bezgłośnie. Delikatnie nabieraliśmy zupę, uważając, żeby nie otrzeć łyżki o dno talerza. Przełykaliśmy

małe ilości płynu, unikając nieprzyjemnych chlipnięć. Jak na królewskim dworze... Dystygowanie spożywalimy posiłek, nie rozmawiając w trakcie konsumpcji. Marek zjadł pierwszy. Czekając, aż ja skończę, bawił się łyżką, leciutko pukając nią o stół. Czułam, jak emocje we mnie wzbierają.

Przypominałam sobie każde słowo z przeprowadzonej dziś telefonicznej rozmowy, analizowałam ton jego głosu. Myśl o jutrzejszym spotkaniu paraliżowała mnie, ale również napełniała ciekawością.

Taka mieszanka uczuć musiała być wybuchowa. Marek, nieświadomy mojego wewnętrznego rozdarcia, najwyraźniej miał ochotę na przyjacielską pogawędkę. Nie skończyłam jeść zupy, apetyt opuścił mnie w jednej chwili. Raptownie odsunęłam talerz.

- Musisz tak stukać? - zapytałam zgryźliwie. - W zupełności wystarczą mi odgłosy zza okna. Kiedy to się skończy? Remont twojego domu trwa już dwa miesiące. Co ty tam robisz? Pałac?

- Zmieniam wszystko - odparł, ignorując moje złośliwości.

- Najwyższy czas przenieść się na swoje śmieci - docinałam mu, dobrze zdając sobie sprawę, że jestem niegościnna.

Marek uśmiechnął się kpiąco. Wiedział, że nie mam prawa wyrzucić go z naszego domu.

- Gość i ryba po trzech dniach śmierdzą? - zapytał.

-- Nie bierz tego do siebie... Przepraszam, brzydko się zachowałam. Dziękuję za towarzystwo - mówiłam, wstając i zbierając talerze.

Nieoczekiwanie złapał mnie za przegub prawej ręki. Spojrzał mi w oczy i cichym głosem prosił.

- Poczekaj! Zostaw to, ja zaraz posprzątam. Usiądź jeszcze na chwilę. Proszę...

- No nie! - zachnęłam się. - Bez takich chwytów proszę. Nie jestem nastolatką. Mnie takie numery nie biorą. Poza tym, jestem zmęczona, mam swoje sprawy. Wybacz, ale nie nadaję

się na powierniczkę. Może innym razem, dziś stanowczo nie jestem w nastroju.

Puścił mnie, a ja, nie wiedzieć czemu, wbrew własnym słowom, usiadłam na krześle i cierpliwie czekałam na jego wynurzenia. Wydał mi się zagubiony do tego stopnia, że nie potrafiłam zostawić go samego. Wyjął paczkę papierosów, zapalił, jednocześnie rozglądając się za popielniczką. Podałam mu ją usłużnie. Dziwna rzecz, zdecydowana większość kobiet ma wrodzoną skłonność do usługiwania. Próbowалам nieraz zwalczyć w sobie ten nieprzyjemny odruch, ale ilekroć jakiś mężczyzna rozgląda się za potrzebną mu rzeczą, zawsze jestem gotowa podać mu upragniony przedmiot. Panowie niechętnie podnoszą się z wygodnych siedzeń. Dobrze wiedzą, że głupiutkie kobiety w mig odgadną ich potrzeby i staną na wysokości zadania, zapewniając im pełen komfort. Marek jakby czytał w moich myślach.

- Bardzo ci dziękuję. Nie musisz jednak być dla mnie taka miła - powiedział.

- Nie przejmuj się, to tylko nawyk, przyzwyczajenie. Kobiety mają to we krwi - posłałam mu uśmiech słodkiej idiotki.

- Dlaczego mnie nie lubisz? - zapytał, patrząc wyzywająco w moje oczy.

- Nie mam ochoty na spowiedź, obojętnie w jakiej sprawie. To prawda, nie darzę cię sympatią i niech ci to wystarczy - znów byłam zła sama na siebie.

Po co u licha wdaję się w takie rozmowy? Ten zdesperowany amant gotowy jest poprosić mnie o rękę... Właśnie tego brakowało mi do szczęścia. Sama pcham się w kłopoty. Marek przewracał słodkimi oczkami i najwyraźniej zbierał się do zadania mi ostatecznego uderzenia. W napięciu obserwowałam jego zachowanie i starałam się przygotować odpowiednią ripostę. Skończył palić, starannie zgasił niedopałek w przynie-

sionej przeze mnie popielniczce. Położył rękę na mojej ręce i zapytał:

- Usuwałaś już kiedyś kleszcza?

- Słucham? - zapytałam pewna, że źle zrozumiałam jego ostatnią wypowiedź.

- Mam pewien kłopot... - przyznał się z zażenowaniem.

- Idź na pogotowie - poradziłam mu rzeczowo. Poczułam się bardzo dotknięta, chociaż Marek przecież nie

mógł wiedzieć, jak staram się walczyć o prawdę, nadstawiam własną głowę i udaję się w tajnej misji do zniechęconego, byłego kochanka. W takiej chwili wyskakuje z kleszczem?

- Nie mam ubezpieczenia. Jestem obywatelem obcego państwa. Ty jesteś lekarzem, więc pomyślałem, że załatwisz to raz, dwa - tłumaczył się. - Sam bym go wyjął, ale jest w takim miejscu...

Zaintrygował mnie. Ciekawe, gdzie też się wpił taki mały, niewinny kleszczyk? Jakie to miejsce sobie upodobał?

- Jeżeli nie masz ubezpieczenia, zapłacisz za usługę - informowałam go. - Pieniądze chyba masz?

- Tak, ale to taka błaha sprawa...

- Nie taka błaha. Kleszcze przenoszą groźne choroby, na przykład boreliozę... - zaczęłam, ale szybko zorientowałam się, że wykład jest tu niepotrzebny. - Gdzież ten pasożycik sobie siedzi?

- No, jakby to powiedzieć... Miejsce jest drażliwe... - jękał się Mareczek. - Chciałem poprosić o pomoc Adama, no ale w końcu to ty jesteś lekarzem i od razu zobaczysz, czy nic złego się nie dzieje.

- A jaką część twojego ciała będę musiała obejrzeć? - dopytywałam się.

Skrepowanie Marka oraz fakt, że mam nad nim przewagę, sprawiło mnie w doskonały humor.

- Ewo, to takie irytujące, że nie mogę sam sobie z tym poradzić. Nie śmieję się ze mnie, bardzo proszę...
- Dobrze, już dobrze... Pokaż złoczyńcę, zobaczę, co się da zrobić. Masz jakiś alkohol? - poważnie przystąpiłam do działania.
- Mam. To może przejdziemy do mojego pokoju - zaproponował.
- Wszystko jedno. Kleszcza mogę usunąć i na podwórku! Będziesz pił? - zapytałam.
- To aż tak boli? - zdziwił się.
- Nie. Mam ochotę się napić - stwierdziłam. - Wziąć też dla ciebie kieliszek?
- Weź - przytaknął.

Operacja była prosta. Pacjent zachowywał się spokojnie, a zaaplikowane mu znieczulenie w postaci kieliszka wódki, okazało się wyłącznie miłym dodatkiem do nieprzyjemnego zabiegu. Przy okazji dokładnie obejrzałam pupę naszego sąsiada. Rzeczywiście, miejsce wpicia się kleszcza było ciekawe. Siedział sobie spokojnie, w zacisznym przedziałku między dwoma, całkiem jeszcze jędrnymi półdupkami. Miałam wielką ochotę przyłożyć mu klapsa, powstrzymałam się jednak.

- Niestety, na tym nie koniec. Musimy obserwować, czy nie wystąpi zaczerwienienie. Przez dwa tygodnie będziesz mi pokazywał tyłek - dworowałam z niego.
- Chyba żartujesz? - przestraszył się.
- Jeżeli w grę wchodzi zdrowie i życie moich pacjentów, nigdy nie żartuję - mówiłam ze śmiertelną powagą.

Marek zbladł, a ja bawiłam się znakomicie, widząc, jak próbuje wykręcić się z tych oględzin.

- To nie jest konieczne, sam będę sprawdzał - upierał się. Wyobraziłam sobie Marka, stojącego ze spuszczoneymi spodniami i oglądającego własną pupę w małym lusterku.

- No, dobrze - zgodziłam się łaskawie. - Pamiętaj jednak, że każdą zmianę musisz mi natychmiast zameldować. To nie przelewki. Obiecujesz?

Zawarliśmy pakt, przyjacielską umowę, której ważność przypieczętowaliśmy kolejnym kieliszkiem wypitej wódki.

Na kolację zesłam w znakomitym humorze. Ojciec przyglądał mi się uważnie. Rozmawialiśmy o konieczności zamiany mojego dawnego pokoju na łazienkę. Sprawy się komplikowały.

Doprowadzenie wody na pierwsze piętro łączyło się z dewastacją połowy parteru. Tata jednak nie zrzędził, nie protestował. W pewnej chwili zapytał:

- Masz jakieś kłopoty?

- Daj spokój! Jakże ja mogę mieć kłopoty? Dzieci nie mam, więc nie płaczą, nie chorują, nie wyciągają ode mnie pieniędzy. Męża nie mam, więc nie pije, nie bije, nie zdradza. Mam dach nad głową, pracę. Niczego mi nie brakuje. Pełnia szczęścia! - starałam się udowodnić, że moje życie jest uporządkowane, a ja sprawuję nad nim kontrolę.

- Wszyscy miewamy lepsze i gorsze chwile - powiedział ojciec, który chyba nie dał się tak łatwo wyprowadzić w pole. - Nie chcesz mówić, to nie. Jesteś dorosła i wiesz, co robisz...

Po tych słowach, bałam się nawet pomyśleć, o co podejrzewa mnie mój własny ojciec.

Rozdział 31

Nie lubię się malować, ale okazja była wyjątkowa. Robiąc makijaż w toalecie dla personelu przychodni, rozmyślałam, jak potoczy się nasza rozmowa i czy wyegzekwuję od niego jakąkolwiek pomoc w sprawie Zenka. Spotkanie z Panem S. nadal miało dla mnie ogromne znaczenie. W naszym życiu zaszły wielkie zmiany. Chciałam pokazać, jak bardzo były one dla mnie korzystne, może uda mi się wyrzucić na nim dobre wrażenie. Żona potrafiła ponownie go zauroczyć, zaimponować mu siłą charakteru i samodzielnością. Widocznie cenił w porzuconych przez siebie kobietach umiejętność radzenia sobie bez jego pomocy.

Krystyna podrzuciła mi kserokopię tej nieszczęsnej historii choroby, która była przyczyną oskarżenia o błąd w diagnozie. Wręczając mi teczkę z dokumentami, przyglądała mi się badawczo.

- Jesteś pewna, że dobrze robisz? Przemyślałaś to? - spytała.

- To znakomity pretekst, aby odwiedzić byłego kochanka -mówiłam zjadliwie, ale niestety zgodnie z prawdą.

- Jeżeli spotkanie przebiegnie po twojej myśli, zgodnie z twoimi zamiarami, będziemy mogły przynajmniej powiedzieć, że Zenek nie siedział w areszcie na darmo - uśmiechała się przyjaźnie. - Nic nie dzieje się bez przyczyny. Kto wie, może

cała ta historia ma pogodzić nie tylko Michalczyków? - puściła do mnie zalotnie oczko.

- Nie mam potrzeby z nikim się godzić - zaprotestowałam. - Robię to dla spokoju własnego sumienia.

Nie znoszę naciąganych oskarżeń. Powiedzmy, że to taka zawodowa solidarność, nic poza tym.

- Prawdę mówiąc, twoje intencje są mi całkowicie obojętne - przyznała. - Chcę pomóc przyjaciółce.

Nie dorabiam do tego żadnej ideologii, a już na pewno nie walczę z ustrojem i całym światem. Załatw,

co możesz koleżanko i baw się przy tym dobrze. Reszta to już twoja prywatna sprawa - skwitowała.

Nie wstępowałam do domu, wyruszyłam w drogę prosto z pracy. Natrętne myśli kłębiły się w głowie

i z całą pewnością nie dotyczyły one sprawy Zenona. Im dłużej jechałam, tym bardziej byłam

zducerwowana. Próbowałam rozładować nagromadzone emocje, głośno wypominając Panu S.

wszystkie jego winy i moje krzywdy.

- Potraktowałeś mnie jak starą ścierkę! Wyrzuciłeś jak zniszczone kapcie! Dziesięć lat obsługiwania,

prania brudnych skarpetek! To nieludzkie, żeby tak kogoś zostawiać! Psu byś tego nie zrobił! A tak cię

kochałam... Byłam oddana ci sercem i ciałem... Bydlak z ciebie! Zwyczajna świnią! - wrzeszczałam w

pędzącym samochodzie. - Oby cię pokręciło! Obyś spokoju nie zaznał! Żeby cię ta twoja żonka

urządziła w ten sam sposób! Wyssała z ciebie wszystkie soki, wycisnęła jak cytrynę i wyrzucała z

domu na zbity pysk! Obyś się włóczył jak bezpański pies i skomlał o odrobinę miłości! Zabrałeś

najlepsze lata mojego życia! Pokazałeś, co to jest szczęście, a potem pozbawiłeś mnie wszelkich

złudzeń. Zabiłeś mnie, draniu! Zabiłeś... Takich jak ty powinni wsadzać do więzienia. To ty

powinieneś siedzieć, nie biedny Zenon, ofiara knowań. Już ja się na tobie zemszczę. Pamiętaj, nie

znasz dnia, ni godziny, kiedy dopadnie cię kara

boska! Nie igra się z kochającą kobietą! Te skrzywdzone są nieobliczalne! Znajdę na ciebie sposób, łajdaku! - pomstowałam.

Dzięki temu swoistemu rachunkowi sumienia, rozliczaniu się z przeszłością i własnymi uczuciami, nawet nie zauważyłam, kiedy dojechałam do celu. Zatrzymując się na parkingu przed kliniką, oprzytomniałam na tyle, że zaczęłam poważnie zastanawiać się, czy aby nie spowodowałam jakiegoś wypadku. Z bijącym sercem obeszłam auto, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Uspokojona, zerknęłam w boczne lusterko stojącego obok audi. Poprawiłam fryzurę, pomalowałam usta i pewnym krokiem ruszyłam na umówione spotkanie.

Portier przywitał mnie z uśmiechem. Wystawił głowę przez nieduże okienko dyżurki i z radością krzyczał na cały hall:

- Pani doktor! Jak miło, że nas pani odwiedziła! Pięknie pani wygląda. Widać wakacje dobrze pani zrobiły. A mój wnuczek już lepiej. Już rwie się do piłki. Córka nie może go w domu utrzymać. To dzięki pani! Tacy jesteśmy szczęśliwi!

- Ja też się cieszę, panie Szymonie. Proszę pozdrowić ode mnie córkę i wnuka. Miło usłyszeć, że wraca do zdrowia. To bardzo silny chłopak, da sobie radę - pocieszałam go, chociaż nie było takiej potrzeby. - Wejdę na chwileczkę na ginekologię - powiedziałam i nie czekając na jego zgodę, ruszyłam dobrze znanymi mi korytarzami.

- Proszę, proszę... - wołał za mną, jakby zachęcając mnie do tych odwiedzin.

Przez szybę w zamkniętych drzwiach widziałam korytarz oddziału ginekologicznego. Spacerujące po nim pacjentki poruszały się jak na zwolnionym filmie. Chwilę obserwowałam zgiętą w pół, opierającą się na przybitej do ściany drewnianej listwie kobietę w średnim wieku. Krok za krokiem zbliżała się do dyżurki pielęgniarek. Nie odrywała stóp od podłogi, przesuwał je niezgrabnie, a na wychudzonej, bladej twarzy odbijał

się ogromny wysiłek. Z dyżurki wyszła siostra Alicja, a zaraz po niej Pan S.. Nie zauważył mnie. Zatrzymał się przy pacjentce, nachylił się nad nią, spoglądając w jej pełne cierpienia i strachu oczy. Rozmawiali. Nie słyszałam słów, byłam jednak pewna, że podziwia jej upór, chęć życia i postępy w rehabilitacji. Objął ją ramieniem i lekko przytulił się do wypłowiałego szlafroka okrywającego szczupłe ciało kobiety. Musiała poczuć zapach jego kolońskiej wody, a dotyk delikatnych, zadbanych rąk sprawił jej przyjemność, tak jak mi sprawiał przez tyle lat. Szpakowata czupryna nadawała mu dostojeństwa, a leciutki uśmiech podkreślał śródziemnomorską urodę. Dzięki śniadej cerze wyglądał jakby dopiero co wrócił ze słonecznych wakacji.

Boże, jaki on jest przystojny! - pomyślałam. Wyprostował się i sprężystym krokiem ruszył w stronę swojego gabinetu. Schylona pacjentka oglądała się za nim, odprowadzając go wzrokiem do samych drzwi. Krótka rozmowa i spojrzenie w wesołe oczy lekarza musiały przynieść chwilową ulgę. Jego czar działał na kobiety! Zaraz będę miała okazję przekonać się, czy na mnie też jeszcze podziała. Zdecydowanie weszłam na oddział. Przechodząc, odruchowo zajrzałam w otwarte drzwi dyżurki i przywitałam się z pielęgniarkami.

- Doktor poszedł do siebie - poinformowała mnie siostra Bożenka.

- Widziałam. Dziękuję - odparłam z uśmiechem.

Będą miały nad czym się zastanawiać. Moje pojawienie się w klinice wywołała nową falę plotek i domysłów. Nie obchodziło mnie to.

Rozdział 32

Zapukałam i nie czekając na zaproszenie, weszłam. Siedział w fotelu i przeglądał gazetę. Natychmiast podniósł się i zanim zdążyłam mrugnąć oczami, już był przy mnie. Stałam bez ruchu. Nie wyciągnęłam ręki na powitanie.

- Tak się cieszę, że cię widzę - mówił ściszym głosem. Nie odpowiedziałam. Przytulił mnie do swojego białego fartucha. O dziwo, nie poczułam kolońskiej wody, tylko niemiły zapach taniego proszku. Nie odwzajemniłam uścisku. Byłam odrętwiała. Najchętniej obrzuciłabym go stkiem wyzwisk! Niestety, wszystkie pasujące do okoliczności przekleństwa wykrzyczałam w czasie jazdy samochodem. Nie miałam ochoty ich powtarzać i jeszcze raz przeżywać związane z tym upokorzenia. Uświadomiłam sobie, że właściwie nie mam mu już niczego do powiedzenia. Dostojnie usiadłam na wskazanym miejscu, dbając, zgodnie z najnowszą modą o prawidłowe ułożenie nóg. W takiej pozycji było mi niewygodnie, ale postanowiłam wytrwać do końca naszej rozmowy. Przyjrzałam się z bliska jego twarzy. Śródziemnomorska uroda okazała się tylko złudzeniem. Cera nie była śniada, lecz sina. Pomyślałam, że znów wrócił do palenia papierosów. Zauważyłam przypominające głębokie bruzdy zmarszczki, właściwe ludziom po silnych przeżyciach. Proces starzenia najwyraźniej przebiegał u niego w przyspieszonym tempie. Szpako-

wate, krótko obcięte włosy przerzedziły się, a w prześwitach między nimi widać było jaśniejszą skórę głowy. Nawet oczy, dawniej radosne i świejące, wydawały się matowe i smutne. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że zmiana partnerki niekorzystnie wpłynęła na jego wygląd.

- Dobrze ci tak! - wyszeptałam.

- Słucham? - zdziwił się.

- Mówię, że ładnie wyglądasz - kpiłam, nie kryjąc swojego zadowolenia.

- Ty również - odpowiedział zażenowany.

Uznałam, że wstępne grzeczności mamy już za sobą i nie chcąc przedłużać krępującej wizyty, przystąpiłam do fachowego referowania sprawy Zenona.

- Czy to twój... mężczyzna? - upewniał się.

- Nie. To facet w twoim typie. Nienawidzę takich, ale cała sprawa mocno śmierdzi. Dlatego tu jestem - mówiłam spokojnie.

- Szukasz prawdy... - stwierdził, posępnie zabierając się do studiowania przywiezionych przeze mnie papierów.

Miałam już dosyć niewygodnej pozycji, w jakiej musiałam siedzieć, żeby zachować fason. Z jego mimiki odczytałam zainteresowanie sprawą Zenona. Moja misja dobiegła końca. Podniosłam się z fotela i zbliżyłam do drzwi. Odłożył papiery, podszedł do mnie i czekał.

O nie, nie...! Ręki to ja ci nie podam! Nawet o tym nie marz! - myślałam, dumna ze swojej postawy.

- Zorientuję się, jak to wygląda i napiszę do ciebie maila - mówił.

- Nie mam dostępu do sieci - uśmiechałam się jak idiotka. - Jeśli możesz, wyślij pocztą. Samą ekspertyzę! - powiedziałam z naciskiem. - Może trzeba będzie dołączyć ją do akt. Adres znasz! - i wyszłam z gabinetu.

Przystanęłam na korytarzu, odwróciłam się i przyglądałam stojącemu w otwartych drzwiach mojemu byłemu mężczyźnie. Nie mogłam pozbawić się tej przyjemności...

- Nie mówię „do widzenia”, bo mam nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę!

Obcasy moich butów miarowo stukały w opustoszałym korytarzu. Szłam wyprostowana, odprężona, odrodzona. Moje życie należało do mnie i dopiero teraz mogłam korzystać z całkowitej swobody
Byłam wolna!

Rozdział 33

- No i przez te dredy chyba do ślubu nie dojdzie - martwiła się Aniela.
- Spokojnie - uspokajałam. - Musi być jakieś wyjście. Tacy pobożni mówisz? Synowa z dreadami przed ołtarzem nie mieści się w ich głowach? Jak Marcin cię z brzuchem zostawił, to było dobrze? Wtedy kary boskiej się nie bali?
- Wie pani, jest mi już wszystko jedno. Szkoda mi tylko Marcina, on na tym cierpi. Miota się między nami i sam nie wie, kto jest mu bliższy - mówiła.
- Dobra z ciebie dziewczyna - chwaliłam ją. - Nie trzymasz w sercu urazy.
- A co to da? W końcu, czy tego chcę, czy nie, to są dziadkowie mojego synka. Nawet gdybym je teraz obcięła... Musiałabym chyba się ogolić, a wtedy byłaby ze mnie panna młoda o wyglądzie kryminalistki - śmiała się. - Człowiek jest naprawdę głupi. Po co mi były te dredy? - pomstowała.
- Jesteś jeszcze młodziutka i masz prawo do ekstrawagancji i eksperymentów. Dopiero uczysz się życia. Szukasz swojej drogi - tłumaczyłam.
- Głupia jestem i tyle! A kurs życia mam przyśpieszony. Mówię pani, nigdy już nic takiego nie zrobię!
- obiecywała.
- Zetnij i nałóż perukę. Tylko musisz uważać, żeby w czasie oczepin nie zdjęli ci włosów z welonem!

Cieszyłam się, że Aniela właśnie do mnie zwróciła się ze swoim problemem. Podziwiałam jej podejście do życia. Ja prawdopodobnie załamałabym się całkowicie i nie potrafiłabym spokojnie znaleźć wyjścia z trudnej sytuacji. Ona dążyła do wyznaczonego celu i wcale nie przejmowała się coraz to nowymi przeszkodami. Zrezygnowała ze studiów stacjonarnych i postanowiła jeszcze raz spróbować szczęścia u boku Marcina.

- Mam do pani wielką prośbę. Nie wiem, czy się pani zgodzi, ale bardzo mi na tym zależy. Pan Marek obiecał, że zawiezie nas do ślubu swoim samochodem. To takie eleganckie auto. Marcin też jest zadowolony i powiedział, że za tę przysługę, to poprosimy go na świadka, znaczy, pana Marka. Pomyślałam, ale niech się pani nie śmieje, że byłoby pięknie, gdyby pani też była naszym świadkiem. Mielibyśmy wtedy takich dostojnych ludzi obok siebie. A wie pani, jak mówią? Świadek i świadkowa to para gotowa! Kto wie, co z tego będzie? Pan Marek by się ucieszył. Przecież on jest taki sympatyczny a ten jego dom... Cacko! Mówię pani, tam zamieszkać...

- Ty mnie lepiej nie swataj! - śmiałam się. - Od pewnego czasu patrzę na Marka łaskawszym wzrokiem, ale to jeszcze nie powód, żebym za niego za mąż wychodziła.

- Pan Piotr to by się dopiero zdziwił. Pewnie wyprawiłby pani wspaniałe wesele. Q pani byłaby śliczną panną młodą -promieniała Aniela.

- Chyba trochę podstarzałą panną - przywoływałam ją do rzeczywistości. - Młoda już dawno nie jestem. Poza tym, o ile ja wiem, to Marek jest albo był żonaty.

- Bo to nie była taka prawdziwa żona - tłumaczyła Aniela. - Ożenił się, żeby uzyskać obywatelstwo. Kilka lat mieszkali razem, ale nic z tego nie wyszło. Zawsze się w pani kochał i czekał, kiedy przyjdzie odpowiedni moment. Podobno to taka

rodzinna tradycja. A wie pani, że znalazł miłosne listy swojego ojca? Słowo! Na strychu były schowane, gdzieś pod dachówkami - opowiadała z wypiekami na twarzy. - Ja zawsze uważałam, że Pan Staszek i pani Janeczka to taka romantyczna para. Oni do siebie pasowali. I pomyśleć, jedno bez drugiego żyć nie mogło! Czy to nie jest piękne?

- Tak - przyznałam. - Znalazł listy? Kto mu pozwolił buszować po strychu? To już szczyt bezczelności! - złościłam się.

- Nie, sam nie znalazł. To robotnicy! Ściągali dach i zauważyli, że coś jest schowane pod dachówkami. Pan Marek chyba nawet o tym nie wiedział. Zdziwił się bardzo, kiedy przynieśli mu starą, mocno sfatygowaną skrzyneczkę. Okazało się, że to listy od pani Janki. Sporo ich było, pisane przez kilka lat. Adresowane na poste restante. Swoją drogą, dziwię się, dlaczego nie mogli po prostu się spotkać i porozmawiać? No, niech pani sama powie. Mieszkali blisko, a kontaktowali się listownie. Poczta musiała dobrze na nich zarabiać - śmiała się.

- Prawda, zarobiła! Na kanwie tej miłosnej historii można byłoby nakręcić wspaniały serial. Podobno na ich drodze do ołtarza stało jakieś głupstwo. Może rodzinie Zawilaków nie podobały się loki cioci Janki? Pewnie miała dredy! - żartowałam.

Aniela zastanowiła się. Wpatrzona w widok za kuchennym oknem, odruchowo głąskała swoje skołtunione włosy.

- Nie dam się! Właśnie, że ich nie obetnę! Przecież to nie o włosy chodzi, tylko o naszą przyszłość... Mamy dziecko i powinniśmy stworzyć mu prawdziwą rodzinę. Marcin jest dobrym ojcem, kocha nasze Maleństwo! A księżniczki dla niego nie znajdują! Ten gatunek dawno wymarł. Nie jestem gorsza od innych... Nie chcę, żeby mój synek znalazł kiedyś na strychu dowody naszej głupoty! Dobrze mówię? Jak się jego rodzicom nie podobam, to trudno. Marcin mnie kocha, a to jest najważniejsze - myślała głośno.

- Ważne jest, czy kochacie siebie nawzajem, tylko to się liczy. Włosy nie mają tu nic do rzeczy. Uwierz mi, na tej pięknej główce będziesz miała jeszcze setki fryzur. Krótkich, długich prostych, falowanych. Ważne, co będzie pod nimi. Przyszło mi' teraz na myśl, że nasze fryzury to swoisty kamuflaż. Celowo chcemy zmienić swój wygląd, żeby zainteresować, zaniepokoić, ukryć własne oblicze. Każda zmiana wywołuje w nas wrażenie wewnętrznej przemiany, uporządkowania własnego życia i prowokuje do oczekiwania zmian na lepsze. Takie swoiste oszustwo wobec samej siebie. Przyznaj się, moja droga Aniel-ciu, z dreadami też tak było? - zapytałam.

- Dredy to ucieczka. Bunt wobec mojej samotności. Nie uważam, że spotkało mnie nieszczęście, ale w takim miasteczku, siłą rzeczy, czuję się napiętnowana. Brak obrączki na palcu i duży brzuch nie mogą ujść uwadze tutejszych plotkarek, ja się tam nie przejmuję, żal mi tylko rodziców. Oni bardzo to przeżywali. Nie opuścili mnie jednak, wspierali jak tylko potrafili. Mimo to, czułam się samotna - cicho przyznała.

- Walcz o swojego Marcinka. Nie wypuść go z rąk. Ucz się na cudzych błędach. Nie pisz listów, rozmawiaj - radziłam.

Gdybym mogła znów mieć dwadzieścia lat! Wiedziałabym, jak należy układać swoje życie. Paradoksalnie nie miałam nawet dzieci. Cały drzemiący we mnie pedagogiczny potencjał skierowałam na Anielę, która nawet nie przewidywała, że stanowi dla mnie namiastkę niespełnionych, macierzyńskich wyzwań.

- Jeszcze raz... - zaproponowałam, wracając do listów. - Na strychu Zawilaków odnaleziono listy pisane przez ciocię Jankę do Stacha? Zgadza się? - pytałam.

- Tak. Pan Piotr twierdził, że są również odpowiedzi, czyli listy pana Stasia do pani Janki, jakby je zebrać do kupy można prześledzić całą tę miłość i dowiedzieć się, dlaczego nie doszło do ich ślubu - oczy Anieli zaiskrzyły.

- Szczerze mówiąc, pomysł dobry, ale czy na pewno? - zastanawiałam się. - Osobiście nie chciałabym, żeby ktokolwiek, oczywiście oprócz adresata, czytał moją miłosną korespondencję. Nie uważasz, że to musi być bardzo krępujące? Niech te sprawy zostaną ich słodką tajemnicą. Rozgrzebywanie cudzych uczuć nie przyniesie nam zadowolenia, najwyżej niesmak -mówiłam.

Aniela spojrzała na mnie z podziwem.

- Pani jest mądrą kobietą, za to panią szanuję. Ja bym tam siedziała po nocach i czytała z wypiekami na twarzy. Wyobrażałam sobie, jak ludzie tu dawniej żyli. A może kiedyś byli lepsi? Bardziej życzliwi? Jak pani myśli?

Zaśmiałam się. Naiwność młodości rozbawiła mnie.

- Wątpię. Dobrze jednak, że masz jeszcze złudzenia. Póki żyje w nas chociaż promyk nadziei na naprawę świata, możemy uważać się za szczęściarzy. Ja niestety pozbyłam się już wszelkich złudzeń - stwierdziłam z sarkastycznym uśmiechem.

Rozdział 34

Czułam się zmęczona i rozdrażniona. Szalejąca w nocy wichura stała się dobrym przyczynkiem do retrospekcji, powrotu do dziecięcych wspomnień. Analizując swoje życie, przewracałam się na łóżku, nasłuchując trzeszczących pod naporem wiatru drzew, tajemniczych stukotów, gwizdów i prawie ludzkich jęków. Nic więc dziwnego, że rano nie miałam dobrego humoru. Z wyrazem obrzydzenia przyglądałam się stercie kart pacjentów, równiutko ułożonych na biurku. Siostra Joanna również wyglądała na niewyspaną. Oczy miała podpuchnięte, usta zaciśnięte, leciutko drżące ręce. Nie przespała nocy z innego niż ja powodu. Mnie doskwierał brak mężczyzny u boku, jej przeszkadzała obecność pijanego, awanturującego się męża. Łączyło nas jedno: niechęć do pracy. Pochmurny, wietrzny poranek nastrojał pesymistycznie.

- Przyjmiemy dziesięć osób i zrobimy sobie przerwę na kawę - zaproponowałam.
- Jak pani doktor uważa - mówiła, najwyraźniej na wszystko zobojętniała pielęgniarka.
- Pani Joanno, może mogę w czymś pomóc? - zaoferowałam się.
- Nie, nie ma potrzeby. Kiedyś sobie sama pomogę... - mówiła cicho.

- Mam nadzieję, że nie chodzą pani po głowie jakieś głupstwa... Proszę mnie nie straszyć - próbowałam nakłonić ją do zwierzeń.

- Czasem chodzą - przyznała się. - Niestety, jestem chyba za słaba i nie potrafiłabym... W końcu jestem matką.

- Nie warto, pani Asiu, nie warto! Życie to nie komputerowa gra, w której zawsze możemy wykorzystać następną szansę. Może na jakiś czas przeprowadzi się pani do mnie? Odpocznie pani i postanowi, co dalej - proponowałam.

- Bardzo pani dziękuję i naprawdę doceniam ten gest, ale nie mogę wciągać niewinnych osób w to piekło...

- A pani jest winna? - zapytałam.

- Oczywiście. Wysłałam za niego z własnej i nieprzymuszonej woli. Nawet się do tego paliłam! I mam, czego chciałam... To co, zaczynamy? - zapytała.

- Tak - westchnęłam.

Znałam już niektórych swoich pacjentów, wiedziałam więc dobrze, że czeka mnie niemiłe spotkanie z matką sześciolatniego Bartka Siekierki, którego karta nieprzypadkowo leżała na wierzchu. Widocznie siostra Joanna doszła do wniosku, że lepiej będzie dla mojej reputacji, gdy w miarę szybko pozbędziemy się matki chłopca z zatłoczonej poczekalni. Bartek, jak zawsze milczący i smutny, grzecznie otwierał buzię, pozwalając obejrzeć swoje migdałki. Badałam go bardzo dokładnie, ponieważ ciągle przeczuwałam, że z chłopcem dzieje się coś niedobrego. Wyglądał jak zastraszone zwierzątko. Nie zdziwiłabym się wcale, gdybym na drobnym ciele znalazła widoczne ślady bicia. Jego matka piskliwym głosem trajkotała mi nad uchem.

- Nigdy mnie nie posłucha. Lata z tymi łobuzami, a ja tylko wydaję pieniądze na leki. Zwolnienia nie trzeba, siostra się nim zajmie. Z pracy mnie wyrzucą przez te jego fanaberie! Tyram jak idiotka, od świtu do nocy, ale on nie umie tego docenić. Mam

już dosyć tych chorób. Taki wymoczek akurat mi się musiał trafić. .. Jak stoisz? Wyprostuj się! Pani doktor, niech mu pani powie, żeby się nie garbił! Do wojska cię nie wezmą! - pomstowała.

- Proszę tak nie krzyczeć - próbowałam ją uspokoić. - Nie widzę, żeby się garbił - stwierdziłam, przyjaźnie uśmiechając się do chłopca.

- No bo nosi pajęczka! - dumie informowała mnie matka. - Sama mu zrobiłam! Jak tylko wraca do domu, zaraz zakłada, śpi w nim nawet. Dziś nikt nie zwróci uwagi dzieciaka. Matka musi sama zadbać, żeby się nie krzywił. Dzisiaj lekarze myślą tylko o tym, jak zwabić pacjenta do prywatnego gabinetu i wyciągnąć z niego wszystkie pieniądze.

- Co pani opowiada? Przecież doktor nie ma prywatnego gabinetu - broniła mnie siostra Joanna.

- I mądrze robi, że nie rejestruje! Podatki by tylko jej zabierali, złodzieje jedni - wykrzykiwała pani Siekierka.

Skończyłam badanie i szybko wypisałam receptę. Dobrze wiedziałam, że matka nie wykupi lekarstw i za trzy dni Bartek wróci do mnie z wysoką temperaturą. Zastanawiałam się, czy robi to z głupoty, czy z wyrachowania? Prawdopodobnie chcąc wyłudzić dłuższe zwolnienie, doprowadza do rozwoju choroby. Niestety, nie miałam żadnego wpływu na jej postępowanie. Nie działały na nią prośby ani groźby.

- Biedny ten mały - powiedziałam, kiedy matka z synem opuścili gabinet. - Coś z nim jest nie tak. Przebadalabym go gruntownie.

- Zawsze był taki, od małego. Nie dziwię się. Może sobie pani wyobrazić, jak ona w domu się zachowuje! Jej mąż też jest takim milczkiem. Chłopak ma to po nim, taka natura...

- Nie - zaprzeczyłam, prawie pewna swojej diagnozy. - Wyślę go jednak na badania. Musi być jakaś przyczyna.

Razem z drugim pacjentem weszła Krystyna.

- Ja na sekundkę - mówiła przeproszającym tonem. - Słuchaj Ewo, koniecznie wpadnij dzisiaj do mnie. Muszę z tobą pogadać. Czekam na ciebie o siedemnastej.

Nachyliwszy się nad moim uchem, spytała szeptem:

- Piwo, wino czy wódka?

Zastanowiłam się. Jutro normalny dzień pracy. Nie zamierzałam upijać się w jej towarzystwie.

- Zdecydowanie to pierwsze, w małych ilościach - zaznaczyłam.

- W takim razie czekam na ciebie. Adres znasz? - upewniała się.

- Znam - przytaknęłam i podeszłam do pulchnej nastolatki, która zdążyła się już rozebrać i dygocząc z zimna, zasłaniała namiastki piersi ułożonymi na krzyż rękami.

Ośluchiwałam kaszlącą dziewczynkę, myśląc o tym, że nie potrafię przeciwstawić się Krystynie, która wyznacza kolejne spotkania, nie pytając mnie o zgodę, nie licząc się z moim zdaniem.

Rozdział 35

Szłam wolno, obserwując bawiące się między blokami dzieci, jakby świadomie omijające stojącą na placu zabaw drewnianą, niezbyt udaną replikę zamku z jedną wieżą. Budowla niewątpliwie miała rozbudzać wyobraźnię, uczyć odpierania ataków, co z całą pewnością mogło zaprocentować w dorosłym życiu i pomóc w stawieniu czoła napotkanym kłopotom. Najwidoczniej jednak nie spodobała się maluchom, bo tylko Bartek Siekierka wyglądał przez strzelnicze okienko wieży. Na jego sinej od zimna twarzy błąkał się zwycięski uśmiech, tak jakby siedzenie w ciasnym drewnianym zameczku stanowiło szczyt jego marzeń. Chciałam podejść bliżej i zapytać, czy dostał lekarstwo, ale kiedy zrobiłam dwa kroki w jego stronę, wystraszył się i szybko schował głowę za drewniane pale. Dałam mu spokój.

Drzwi otworzyła mi kobieta o kocich oczach. Właściwie cała przypominała małą, zwiną kotkę. Poruszała się bezgłośnie, stawiając ostrożnie stopy w za dużych kapciach. Jej biodra kołysały się leciutko.

- Pani Ewa? - zapytała zamiast powitania. Potwierdzająco skinęłam głową. Kobieta wprowadziła mnie do pokoju.

- Proszę się rozgościć. Zaraz przyjdziemy. Robimy kruszon. Zna pani ten zabójczy napój? - spytała z tajemniczym uśmiechem.

Nie zdążyłam odpowiedzieć. Przypominająca kotkę kobieta odwróciła się na pięcie i znikła za uchylonymi drzwiami. Domyśliłam się, że poszła do kuchni. Zdegustowana takim powitaniem, rozglądałam się po salonie Krystyny, który bardziej przypominał lamus niż pokój w bloku. Znajdowały się w nim bowiem meble z różnych epok, w różnych stylach i w różnym stanie. Od wspaniałego, inkrustowanego kością słoniową stolica, do rozwalającego się fotela sprzed trzydziestu lat. Na podłodze leżał wełniany, mocno wytarty i wypłowiały dywan. Moją uwagę przyciągnęły olbrzymia, zwisająca nad kwadratowym stołem lampa i nowiutka, niczym nie przykryta sofa. Na komodzie i starym sekretarzyku ustawione były zdjęcia oraz figurki przedstawiające koty, psy i dzikie zwierzęta.

Głośny dzwonek u drzwi odezwał się niespodziewanie. Wystraszył mnie. Poczulałam się jak intruz, złodziej złapany na gorącym uczynku, czyli na oglądaniu cudzych pamiętek. Usiadłam na sofie.

- Ewo! Otwórz! - Krystyna wołała z głębi mieszkania. Miałam wielką ochotę wpuścić kolejnego gościa, a sama uciec

stąd jak najdalej. Gospodyni tego domu miała dziwne pojęcie o gościnności. Niechętnie wstałam i otworzyłam drzwi, za którymi stała kobieta w moim wieku, no może trochę młodsza. Uśmiechała się do mnie i nie okazywała najmniejszego zdziwienia naszym spotkaniem.

- Cześć! - zawołała i pocałowała mnie w policzki. - Rzeczywiście świetnie wyglądasz! Masz piękną fryzurkę! - śmiała się, wchodząc bez zaproszenia.

Odruchowo spojrzałam w wiszące na ścianie duże kryształowe lustro. Kobieta stanęła za mną i położyła mi głowę na lewym ramieniu.

- Wyglądamy jak siostry! Mamy tego samego fryzjera! - mówiła.

Przyjrzałam się jej bardzo uważnie. Musiałyśmy się znać, niestety nie byłam w stanie przypomnieć sobie twarzy i nazwisk dawnych koleżanek. Wzmianka o fryzurze naprowadziła mnie na pewien trop. Nasze włosy różniły się tylko kolorem. Uczesanie miałyśmy identyczne. W takim razie, to musi być... I tu nie byłam pewna. Mogła to być żona Zbyszka, jego szwa-gierka lub siostra. Tak naprawdę, nie wiem, czy w ogóle miał siostrę. Kobieta bezceremonialnie chwyciła moją rękę i pociągnęła mnie za sobą do zagraconego pokoju. Usiadłyśmy na sofie.

- Właściwie powinnam być na ciebie zła - powiedziała, a ja powoli nabierałam pewności, co do jej tożsamości.

- Nie robię nic złego... - tłumaczyłam się głupio.

- No, nie wiem... Nie wiem... - przyglądała się mojej twarzy. - Ludzie mówią coś innego...

Postanowiłam poważnie porozmawiać z Krystyną, jak mogła postawić mnie w takiej sytuacji?

Gdybym wiedziała, jakie przygotowała mi niespodzianki, nie przyszłabym tu za żadne skarby.

- Z drugiej strony, jestem ci ogromnie wdzięczna. Obroty w sklepie wzrosły - mówiła poważnie. - Nie poznałaś mnie? Popatrz, jak my się zmieniamy! Wydaje nam się, że ciągle jesteśmy młode, a w rzeczywistości nie można rozpoznać w nas tych pięknych laleczek z liceum. Ci, co tu zostali, widują się codziennie, nie zauważają zmian. Jeśli kogoś zobaczy się po latach... Smutna refleksja...

- Aż tak się postarzałam? - zapytałam już spokojniej.

Izę, żonę Zbyszka znałam, będąc jeszcze w szkole podstawowej. Była ode mnie o rok młodsza, pamiętałam jednak, że razem chodziłyśmy na jakieś zajęcia pozalekcyjne.

- Nie będę ci wpierała, że wyglądasz jak nastolatka. W końcu obie przeżyłyśmy te dwadzieścia kilka lat. Gdzie, to nie ma zna-

czenia, zmarszczki wyjdą wszędzie. Przed nimi się nie schowamy-mówiła.

- Niestety, to prawda - przyznałam.

- Podobno ze zmarszczek można wyczytać przeszłość, tak jak z linii na ręce wróży się przyszłość - twierdziła.

- Nie słyszałam o takiej teorii - wątpiłam w jej słowa.

- Ja też nie - śmiała się Iza. - Wymyśliłam to teraz. Ładnie brzmi...

Nareszcie Krystyna z kobietą o kocich oczach wniosły dużą wagę i ustawiły ją na stole. Przyjemny zapach pomarańczy wypełnił cały pokój.

- Iżę znasz? - upewniała się Krystyna. - W takim razie przedstawiam ci Jolę Michalczyk, żonę Zenka. Kobieta przypominająca kotkę podała mi rękę.

- Czyż to nie jest fascynujące? - dziwiła się Krystyna. - Ewa przyjaźni się z waszymi mężami, a z wami nie utrzymuje towarzyskich kontaktów. Najwyższy czas to zmienić. Proponuję toast za naszą przyjaźń! Chcemy cię, Ewo, przyjąć do swojego kółka.

- Trafiłam na zebranie tajnego stowarzyszenia? - spytałam z nutką nieukrywanej ironii.

- Nie obawiaj się - uspokoiła mnie Iza. - Nie jesteśmy kółkiem różańcowym ani feministkami.

Bronimy się przed utratą zdrowych zmysłów, dlatego kilka razy w miesiącu odwiedzamy Krystynę. Prowadzimy interesujące rozmowy, czasem zwierzamy się ze swoich problemów...

- Iza, daj spokój! Nie ma co udawać! Plotkujemy! - otwarcie przyznała Krystyna. - Może na wyższym poziomie niż kumoszki na rynku, ale to są zwyczajne plotki.

- Jeśli tak, to rozczaruję was. Nie jestem przygotowana -usprawiedliwiałam się na zapas.

Krystyna podała mi szklanekę z kruszonem.

- Mamy dzisiaj ciekawy temat do omówienia. W naszym miasteczku pojawił się bardzo przystojny mężczyzna. Myślę, że Ewa będzie mogła udzielić nam na jego temat wyczerpujących informacji - zachęcała mnie.
- Mieszka w waszym domu - podpowiadała Jola. - Z tego wynika, że jesteś najlepiej przygotowana do dyskusji. Wydaje się bardzo interesujący... Podobno odziedziczył fortunę?
- Chodzi wam o Marka Zawilaka? - zdziwiłam się.
- O bogatego, przystojnego, tajemniczego pana Marka - potwierdziła Iza. Wypiłam kilka łyków napoju. Rzeczywiście był smaczny, orzeźwiający.
- Niewiele o nim wiem. Zaproście naszą Anielę, ona jest lepiej poinformowana, ja nie mam plotkarskich zapędów - mówiłam z goryczą. Zrobiło mi się przykro. Trzy, właściwie obce mi, kobiety, wpatrywały się we mnie, oczekując zwierzeń, a ja naprawdę nie miałam im nic do powiedzenia.
- Źle nas zrozumiałaś - tłumaczyła Iza. - Nie bierz tego tak poważnie, to tylko żart. Mamy dosyć swoich problemów i zajmowanie się cudzymi, nie sprawia nam przyjemności. Niewinna zabawa w ploteczki jest miłą odskocznią od codzienności. Traktujemy to z przymrużeniem oka. Odreagowujemy swoje stresy.
- Moim kosztem? - dziwiłam się.
- O! - ucieszyła się Krystyna. - Z tego wynika, że w jakiś sposób jesteś z nim związana albo przewrażliwiona na punkcie swojej osoby...
- Stare panny zawsze tak reagują - mówiłam już spokojniej.
- Z naszych informacji wynika... - niepewnie zaczęła Jola. - Nie wiem, czy mogę to powiedzieć...
- Śmiało! - zachęcała ją Krystyna. - Przecież Ewa chyba wie, z kim była przez ostatnie dziesięć lat.

- No nie! - wrzasnęłam. - Co to, sąd nad rozpustnicą? Czego wy ode mnie chcecie? Ani myślę się wam spowiadać!

- Wypowiadasz się, wypowiadasz... - proroczym głosem mówiła Iza. - To taka swoista terapia. Kobiety mają to do siebie, że potrzebują wykrzyczeć wszystkie żale. Krzycz! My posłuchamy, a tobie od razu zrobi się lżej na sercu.

- I kto to mówi? Związałaś się z najporządniejszym mężczyzną w mieście! Łatwo ci oceniać innych, bo sama nigdy nie doznałaś upokorzenia - zwróciłam się do Izy.

- Na Zbyszka nie dam powiedzieć złego słowa! Widzę jednak, że nie masz ścisłych informacji. Zbyszek jest moim drugim mężem, a na pierwszym wszyscy mogą wieszać psy! Jestem przykładem, że sponiewierana żona ma jeszcze prawo do normalnego życia - mówiła.

- Przepraszam! Nie wiedziałam... - tłumaczyłam się.

- Nie masz za co! To ten drań powinien przepraszać - śmiała się Iza.

Krystyna zebrała nasze szklanki i naląła drugą kolejkę kruszonu. Nie czułam jeszcze szumu w głowie, dlatego zaczęłam się zastanawiać, jak dostanę się do domu... Waza była duża, a tempo spożywania napoju szybkie. Iza widocznie zauważyła moje obawy.

- Zbyszek nas odwiezie. Możesz korzystać z kruszonu do woli - szepnęła mi do ucha. - Pyszny! Wspaniały! - chwaliła, biorąc szklankę z rąk Krystyny.

- Z tymi dobrymi mężami też różnie bywa - smutno mówiła gospodyni. - Mój był wyjątkowym człowiekiem, do rany przyłóż! I co? Wyciął mi niezły numer! Tego mu nigdy nie daruję! Niech no tylko się z nim spotkam, już ja mu wygarnę!

- E tam! Wygarniesz! Już to widzę! Prędzej rzucisz się w jego ramiona - stwierdziła Jola.

- Wiecie dziewczyny, zastanawiam się, czy tam można robić... te rzeczy. Szkoda, że nie wierzę w życie pozagrobowe -przyznała się Krystyna.

- Myślę, że można - Iza zrobiła figlarną minkę. - Przecież coś trzeba robić, nawet w raju. Odśpiewa się kilka hymnów i co potem? Czas wolny!

Zbyszek przyjechał po nas po północy. Odwiózł mnie pierwszą. W oknie pokoju mamy świeciło się światło. Tata nie spał. Kiedy wchodziłam po schodach, czekał na mnie przed drzwiami mojego pokoju.

- Randka czy babski wieczór? - zapytał.

- Babski - odpowiedziałam, starając się nie otwierać ust i nie chuchać alkoholowymi wyziewami.

- A cóż to się piło? - dociekał.

- Kruszonik - odparłam.

- Ale chyba w dużych ilościach - kpił tata. - Do łóżka moja panno! Do łóżka! - nakazał.

- Do łóżeczka! - zgodziłam się z nim. - Stara panno! - uściśliłam.

Marzyłam o wejściu pod prysznic, ale schodzenie na dół nie wchodziło w rachubę. Nie chciałam tłuc się po domu. Pewnie obudziłabym Mareczka, a widząc mnie w takim stanie, mógłby się nieźle zbulwersować. Alkohol rozgrzewał mnie od wewnątrz. Rozebrałam się i rzuciłam na łóżko. Stare sprężyny zatrzeszczały, a ja zapadłam się jak w puch. Rozmyślałam o zwierzeniach moich nowych przyjaciółek. Żal mi było Krystyny, która musiała przedwcześnie rozstać się z kochanym i kochającym mężem i sama wychowała dwójkę dzieci. Rozczulałam się nad Jolą, która wyszła za Zenka, bo rodzice nie mogli zapewnić jej godziwych warunków i nie było jej stać na studia. Podziwiałam Iżę, która po krótkim, ale za to burzliwym związku, potrafiła pokochać Zbyszka i stworzyć z nim wspaniałą rodzinę.

Wszystkie byłyśmy w pewien sposób doświadczone przez los. Miałyśmy żal do życia, że nie przebiegało zgodnie z naszymi planami. Potrafiłyśmy jednak radzić sobie w trudnych sytuacjach i nie poddawałyśmy się przeciwnościom. Jola zwierzyła się nam, że w ich małżeństwie nastąpiła zmiana. Zastraszony i zaszczuty Zenek docenił jej wsparcie, znów zaczął okazywać miłość i przywiązanie. Krystyna uparcie twierdziła, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło i chociaż jest niewierząca, upierała się, że opatrzność nad nami czuwa, a nasze dobre uczynki są liczone. Zobaczymy, czy jej wróżby się spełnią. Podobno karty powiedziały, że mój królewicz już jedzie po mnie na białym koniu...

Rozdział 36

Rozmawiałam z Krystyną przez telefon.

- Myślę, że tę opinię śmiało można dołączyć do historii choroby. Wynika z niej niezbitcie, że Zenon miał rację. Decyzja należy do niego, ale to mu nie zaszkodzi, najwyżej pomoże -mówiłam.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczne! Wiemy, ile cię to kosztowało. Zaraz zadzwonię do Joli. Ucieszy się. Dobra z ciebie dziewczyna. Wiedziałam, że można na tobie polegać. Wpadnę do ciebie po ten papier.

- Nie przesadzaj! Zrobiłam, co powinnam. Wycieczka do niego była oczyszczająca, a więc przy jednym rożnie upiekłam dwie pieczenie. Pomogłam Zenkowi i uwolniłam się od złudzeń. *A propos* złudzeń! Coś nie widzę tego mojego królewicza. Może zmylił drogę? Chyba wystawię mu drogowskaz: „Królowna jest na tej wieży!” - żartowałam.

- Trafi! Nie bój się. A jak remont? - pytała.

- Mój powoli. Ciągle nie mam łazienki. Sąsiada idzie całą parą. Dziś sprowadził jakiś ciężki sprzęt. Kopia i hałas taki, że okna nie można otworzyć. Wyobraź sobie, że wczoraj przyniósł próbki tapet i uparł się, żebym pomogła mu wybrać. Siedzieliśmy nad nimi cały wieczór - opowiadałam.

- Pracujesz u niego jako dekorator wnętrz? Znasz się na tym? - zainteresowała się.

- Nie. Jak poradziłam mu, żeby postawił kominek, to wyszedł z niego „prawdziwy mężczyzna”. Od razu *veto!* Staram się więc nie mieszać, ale on ciągle jest niezdecydowany i potrzebuje pomocy. Widocznie tak już będzie. Niedługo założę firmę pod nazwą „Pomoc w Każdej Sprawie” - śmiałam się. - Muszę kończyć, brat przyszedł. Miłego dnia i do zobaczenia.

- Jeszcze raz dziękuję! Pa!

Adam wpadł do pokoju. Oczka świeciły mu się jak dwie morskie latarnie.

- Masz te papiery dziadków? - szeptał.

- Zrobisz mi łazienkę, to je dostaniesz! - próbowałam małego szantażu.

- Nie wygłupiaj się! To poważna sprawa! Tam były chyba jakieś obligacje. Tomek dzwonił do mnie, że w internecie ukazała się wiadomość... Podobno mają zwracać za nie pieniądze. Mówiłem ci...

Skorzystamy na nich - z zadowolenia zacierał ręce.

- Dobra nasza! A kiedy będą wypłacali? - pytałam z niedowierzaniem.

- No, jeszcze nie wiadomo... Muszą uchwalić ustawy, potem trzeba do sądu... Trochę to potrwa...

Najważniejsze, że coś nam skapnie - nie przestawał się cieszyć.

- To mamy trochę czasu - ironizowałam. - Wykończysz łazienkę i jeszcze pokój zdążysz odnowić.

- Wiesz co? Chodź sobie do Zawilaka! Tam się można wykapać! Teraz kopie stawek, to i latem na świeżym powietrzu będziesz mogła popływać. Ty jak tatuś! Z niczego nie pozwolisz się cieszyć!

Nieodrodna córeczka! - dogryzał mi.

- Zejdz na ziemię! Kasa ci skapnie, jak skończysz robotę! Sama ci jej nakapię! Zapłacę! - mówiłam poważnie.

- Dobrze już Ewuś! Tylko tych dokumentów nie wyrzucaj! Jutro wpadnę, to coś zrobię. Dziś nie mogę, mam sesję!

Rozumiesz, wzywają mnie sprawy publiczne! Siła wyższa... - tłumaczył się, rozkładając bezradnie ręce.

- Adaś, Adaś! - kiwała głową. - Niech będzie jutro, co ja mogę poradzić? Sesja, rzecz święta! Zadowolony z wyniku naszej rozmowy, wypadł równie szybko, jak się pojawił. Zeszłam do kuchni i usiadłam na swoim ulubionym miejscu, ciekawie spoglądając, co też się dzieje za płotem, który nadal trwał w swojej spróchniałej istocie. Rzeczywiście, Marek chyba postanowił mieć sporych rozmiarów oczko wodne. Stał w rozkroku obok koparki i jak majster na budowie doglądał robót. Przez ten hałas nie usłyszałam wchodzącej Anieli.

- Lubi pani ryby? - zapytała.

- Lubię! Zwłaszcza śledzie w śmietanie. Mogą być z ziemniakami... - odpowiedziałam, pewna, że chodzi jej o jutrzejszy obiad.

- Nie o takich rybach mówię - sprostowała Aniela. -- A o jakich? - dopytywałam się.

Pan Marek będzie miał ryby. Staw kopie - informowała mnie. - Wpuści do niego karpie. Potem będzie można wyciągnąć je wędką i prosto na patelnię lub na grilla.

- Barbarzyńca! Hodować, żeby zjeść! Nigdy nie jem swoich przyjaciół. Kiedy byłam małą dziewczynką, dziadek miał tu króliki. Karmiłam je, opiekowałam się nimi, ale jeść nie chciałam. Mama bardzo się na mnie złościła. Namówiłam dziadka, żeby je sprzedał. Nie pozwoliłam ich zabić - wspominałam.

- Trudno pani dogodzić! W takim razie wpuści się tam złote rybki, karasie. Będzie pani mogła obserwować je i karmić - mówiła Aniela.

- Ja? Możesz ty mi zdradzić, dlaczego mam karmić ryby Marka Zawilaka? Sam niech się opiekuje swoim inwentarzem! - złościłam się.

- Wolałaby pani psa? - spytała z niewinną minką.
- Żadnych psów ani kotów - warknęłam. - Nie chcę zwierząt. Marek niech sobie trzyma, co chce. Mnie to nie obchodzi.
- A konia? - drażyła Aniela.
- Pójdę na górę. Posprzątam w pokoju - rzuciłam zgryźliwie. - Wyprowadziliście mnie z równowagi, ty i mój braciszek. Zabieraj się do pracy! Spisuj się dobrze, bo jak Zawilak kupi krokodyla, będzie karmił je niegrzecznymi dziewczynkami!
- Krótko mówiąc: „Jeśli nie chcesz mojej zguby, krokodyla kup mi luby” - powiedziała cicho Aniela.
- W takim układzie zgadzam się na rybki. Krokodyle zdecydowanie odpadają! Płot się rozwała, jeszcze by do nas przeszły! - podsumowałam, wychodząc z kuchni.

Rozdział 37

Nie pomyliłam się. Bartek Siekierka wrócił do mnie z wysoką gorączką. Twarz zaróżowiły mu spowodowane temperaturą wypieki. Dokładne osłuchiwanie go nie miało większego sensu. Rozebrany trzął się jak młodziutka osika i szczekał głośno zębami. Jego matka, jak zawsze, mówiła głośno na jednym wydechu:

- Nie chce połykać tych lekarstw. Niech pani przepisze coś w syropie, po co mu ciągle antybiotyki? Wyrośnie na jakiegoś wymoczka.

Stan dziecka nie podobał mi się. Najchętniej skierowałabym go do szpitala, ale nie miałam konkretnych podstaw, tylko przypuszczenia. Postanowiłam działać i to od razu.

- Pani Siekierka - warknęłam na matkę. - Proszę usiąść i uważnie mnie posłuchać! Sprawa jest poważna! Bardzo poważna! Rozumie pani?

Kobieta momentalnie ucichła. Nie odwracając się, nie spuszczać ze mnie wzroku, namacała ręką stojące za nią krzesło i osunęła się na nie. Twarz jej nabrała wyrazu przerażenia. Oddech miała krótki, przyśpieszony. Zdziwiłam się tak silną reakcją na moje słowa. Kazałam Bartkowi wyjść na korytarz i tam poczekać na matkę. Usiadłam naprzeciw pani Siekierki.

- Nie twierdzę, że tak jest, ale podejrzewam, że nie podała mu pani lekarstw. Choroba się rozwinęła, a to bardzo niedobrze

- mówiłam bardzo łagodnie. - Dziecko powinno leżeć, a ja widziałam go bawiącego się na podwórku. Dlaczego? Kobieta ukryła twarz w rękach.

- Musi koniecznie wybrać wszystkie lekarstwa. Do końca! Proszę o tym pamiętać. To jest bardzo silna angina, a dla niego może być groźna. Pani Siekierka, proszę na mnie spojrzeć. Podejrzewam, że Bartek ma wadę serca. Jak wyzdrowieje, przeprowadzimy dokładne badania. Nie można tego zaniedbać. Dam pani dwa tygodnie zwolnienia, ale musi mi pani obiecać, że porządnie się nim zajmie. Ucichłam i cierpliwie czekałam, aż matka Bartka dojdzie do siebie. Powoli opuściła ręce, ukazując bladą twarz. Kąciki ust jej opadły, a wargi leciutko zsiniały. Pod wpływem moich słów kobieta zmieniła się nie do poznania.

- Obiecuje - wyszeptała, prawie płacząc. - Przysięgam! Już nigdy tego nie zrobię! On będzie żył?! Prawda? Nic mu nie grozi? Proszę mi powiedzieć... Wszystko! Ja muszę wiedzieć! Ja się muszę przygotować!

- Pani Siekierka - uspokajała ją siostra Joanna, podając szklanekę wody. - Będzie dobrze! Doktor musi go tylko zbadać! Nie trzeba się szykować! Trzeba tylko o niego zadbać! Jest w dobrych, fachowych rękach. Przecież pani wie, że doktor pracowała w klinice... Ona się nim zajmie.

Czułam, że popełniłam jakieś głupstwo. Brzydząc się plotkami, nie wypytałam dokładnie o rodzinę Siekierków. Z reakcji matki wywnioskowałam, że choroba Bartka może być dziedziczna. Nie chciałam jej już denerwować, musiałam jednak upewnić się, że słusznie oceniam stan pacjenta.

- Proszę mi tylko powiedzieć, czy Bartek szybko się męczy? Czy zdarzały mu się jakieś słabości, omdlenia?

- On jest taki leniwy... - rozplakała się. - Nie chce biegać. Cały dzień leżałby na dywanie. Nawet się nie bawi jak inne

dzieci... Raz zemdlął, ale zaraz się ocknął - wycierała grzbietem dłoni zapłakane oczy. - To mój jedyny syn... - wyszeptała.

- Czy ktoś go potem badał? Po tym omdleniu? - dopytywałam się. - Miał robione badania?

- Nie. Zaraz wstał i pobiegł do ubikacji. Mówił, że bardzo chce mu się siusiu.

- Pani Siekierka, widzimy się za tydzień. Bartek musi być zdrowy, wtedy będę mogła wysłać go do kliniki. Proszę się nie martwić. Jak będzie trzeba, pojedę z nim i dopilnuję, żeby miał jak najlepszą opiekę. Proszę zapewnić mu spokój i odpoczynek. Powinien leżeć w łóżku.

Kobieta podniosła się z krzesła. Nogi jej drżały. Schowała recepty do kieszeni podniszczonego płaszcza i ruszyła w stronę drzwi. Nie odwracając się do nas, powiedziała:

- Przyjdziemy za tydzień - i wyszła.

Spojrzałam na siostrę Joannę. Stała przy oknie i udawała, że przez nie wygląda.

- Czego nie wiem? - spytałam.

- Nie chciałam mówić - przyznała się. - Trzeba było jednak pani powiedzieć. Bartek miał starszego brata. Tamten to był taki byczek. Jeździł na siłownię, dużo ćwiczył. Siekierków roznosiła duma, taki był silny, pracowity. Jechał na rowerze, upadł i umarł. Bartek miał wtedy chyba ze dwa lata.

Pamiętam, jak na pogrzebie matka trzymała go w wózku.

- Jaka była przyczyna śmierci? - zapytałam.

- Dokładnie nie wiem. Ludzie mówili, że zawał serca. Czy to możliwe u siedemnastolatka?

- Niestety tak. Myślę jednak, że było to coś innego. Zobaczymy, co wykryjemy u Bartka.

Rozdział 3 8

Marek pierwszy poruszył sprawę listów.

- Zrób z nimi, co chcesz, ja nie mam z tym nic wspólnego - asekurowałam się. - Spal, schowaj, przeczytaj...

- Ja bym przeczytała, a potem schowała na strychu, niech tam sobie leżą - wtrąciła się podekscytowana Aniela.

- Nie wypada czytać cudzych listów! - upomniałam ją.

- I kto to mówi? - wyszeptała, puszczając porozumiewawcze oczko do Marka. - Przyganiał kocioł garnkowi - próbowała zataić kpiący uśmiezek.

- Aniela! - ostrzegałam ją. - Nie igraj ze mną, bo wymyślę ci taką pracę, że jej do nocy nie skończysz.

- Będziesz wybierała ziarenka maku z popiołu! - wyręczył mnie Marek.

- To był rachunek, nie list! - broniłam się.

- Ja nic nie mówiłem... - śmiał się Marek.

Dobrze wiedziałam do czego piją. Od trzech dni ojciec nie odzywał się do mnie. Poszło o drobnostkę. Chciałam go wyręczyć. Znalazłam na kredensie kopertę z rachunkiem telefonicznym. Byłam ciekawa, czy moje rozmowy mocno obciążają portfel taty. Zajrzałam i ze zdziwieniem zobaczyłam, że płacimy abonament za dostęp do internetu. Stałam z tym rachunkiem w rękach, kiedy ojciec wszedł do kuchni. Zrobił mi prawdziwe piekło. Nie obchodziło go, że oprócz nas są w domu obcy

ludzie. Krzyczał na mnie, jak na małą dziewczynkę. Czekałam, kiedy każe mi położyć się na stołku i wymierzy kilka klapsów. Naprawdę był wzburzony.

- Czy tak trudno uszanować moją wolę? - denerwował się. - Grzecznie prosiłem! Myślałem, że mam do czynienia z dorosłą osobą! Robisz tu, co chcesz, ja się nie wtrącam! Przewróciłaś cały dom do góry nogami! Dobrze, zgadzam się! Ale swojego życia nie zmienię! Nie twój interes, na co wydaję pieniądze! Wara ci od tego! Co mogłem, już ci dałem! Zabraniam ci zaglądać do mojej poczty! Słyszysz! Obojętnie, co to jest, nie należy do ciebie! Na ten temat nie będziemy dyskutować! - krzyczał.

Wyrwał mi z rąk rachunek i wrócił do pokoju mamy. Trzasnął drzwiami tak mocno, że aż okna się zatrzęsły. Efekt zajścia jest taki, że mamy teraz ciche dni. Swoją drogą, potwierdzają się moje przypuszczenia. Ojciec coś ukrywa! Aniela jednak twardo stoi po jego stronie i nie chce zdradzić tajemnicy swojego pracodawcy i dobroczyńcy. Postanowiłam zdobytą wiedzę zachować wyłącznie dla siebie i nie mówić nic Adamowi. Jego nadpobudliwy charakter na pewno doprowadziłby do kolejnych spięć z ojcem, a w atmosferze konfliktu trudno byłoby naprawić panujące w domu stosunki. Dlatego też ignorowałam wzmianki o listach nieszczęśliwych kochanków. Cudza korespondencja przestała mnie interesować.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy odszukać listów mojego ojca - zaczął niepewnie Marek. - Podobno ukryte są u was...

- Życzę ci powodzenia! Na mnie proszę nie liczyć! Nie mam czasu ani ochoty na chodzenie po strychach - uprzedzałam go.

- Prawdę mówiąc, myślałem, że mi pomożesz... Pan Piotr obiecał mi... - zawiesił głos.

Byłam rozdrażniona i sama nie wiem dlaczego, ale zapytałam go:

- Marek, kiedy ty się właściwie wyprowadzisz? Nie obraził się. Delikatnie objął mnie ramieniem.
- Czuję się tu jak w domu, którego właściwie nigdy nie miałem. Najchętniej zostałbym tu na zawsze. Z tobą oczywiście. Co ty na to? - mówił czule.

Po plecach przebiegł mi miły dreszczyk. Ciepła dłoń na moim ramieniu wyciszyła moje emocje. Poczulałam się odprężona.

- Nie pójdę na strych - upierałam się, ignorując jego zachowanie.

Zawilak wszedł pierwszy. Za nim na szczeble drabiny wspięła się Aniela. Ja zamykałam pochód. Na strychu panował półmrok. Marek, dowodzący poszukiwawczą wyprawą, rozglądał się po naszej rupieciarni, a ja z Anielą czekałyśmy na jego polecenia.

- Z tego, co wiem, listy powinny być ukryte pod dachówkami. Myślę, że powinniśmy ich szukać w miejscu zetknięcia się dachu z podłogą. Prawdopodobnie tam są schowane. Rozdzielimy się - zaproponował. - Aniela, będziesz szukała z tej strony. Masz tu dobry dostęp. Ja z Ewą zajmiemy się przeciwną ścianą. Stoją tam różne rupiecie, które będziemy musieli odsuwać - tłumaczył swoją decyzję.

Podział taki uznałam za logiczny, jednak postanowiłam się zbuntować. Trochę przekory nie zaszkodzi. Zaczynałam się dobrze bawić, co ośmieliło mnie do uatrakcyjnienia tej wyprawy. Mała sprzeczka powinna podnieść nam poziom adrenaliny, dzięki czemu poszukiwania będą szybsze i skuteczniejsze.

- Moim zdaniem to Aniela powinna pójść z tobą - oponowałam z naciskiem. - Jest młoda, ma więcej siły. Będzie wam łatwiej przesuwać stare graty - mówiłam ze zgryźliwym uśmiechem na ustach. Nasz dowódca najwyraźniej nie był przygotowany na taką ewentualność. Zaczął nerwowo spacerować po spróchniałych deskach.

Widocznie zależało mu na mojej bliskości, bo w końcu wymyślił kolejny argument, który miał mnie skłonić do współpracy

- No tak... Racja... - jękał się. - Problem w tym, że ty wiesz, co jest w tych starych meblach. Jakoś głupio, żeby Aniela szperała w cudzych rzeczach...

- Tu nie ma nic cennego - uspokajałam go. - Bez obawy, skarbów nie znajdziemy - żartowałam.

- Ale to krępujące... Wolałbym, żebyś ty... No wiesz, będzie mi różnie... - nalegał.

Spojrzałam na Anielę. Schowana za drewnianym filarem, podśmiewała się z nas. Pomyślałam, że ona to dopiero musi się dobrze bawić.

- Postawny sprawę jasno! - zaproponowałam. - Nie chciałam tu przychodzić. Zwabiłeś mnie podstępem. Co chcesz przez to osiągnąć? O co ci właściwie chodzi? Bądź mężczyzną i powiedz otwarcie.

Wygarnęłam mu i czekałam, czy potrafi wyjść z twarzą z tego ambarasu. Wyprostował się, uśmiechnął i bez najmniejszego skrepowania w głosie oznajmił:

- Będzie mi niezwykle przyjemnie prowadzić poszukiwania w twoim towarzystwie. Proszę, zgódź się.

- W postępowaniu z kobietami nie masz chyba dużego doświadczenia - ironizowałam. - Widzę jednak, że się uczysz, a to należy docenić. Nie mam sumienia odmówić ci tej małej przyjemności.

Romantyczne sam na sam podczas przesuwania starych mebli po spróchniałych deskach zapewne zbliży nas na krótką chwilę. W takim razie przystąpmy do dzieła.

Odetchnął z ulgą. Klasnął w ręce i ustawił się przed szafą, na której kiedyś była ukryta lalka.

- Spokojnie i systematycznie - ostudziłam jego zapał. - Zacznijmy od mniejszych przedmiotów. Jakoś nie mogę wyobrazić sobie cioci Janki samotnie odsuwającej tę kolubrynę.

- Może ją tylko leciutko przesunęła i wślizgnęła się za nią ukrywając tam cenną paczuszkę? - mówił Marek ściszym głosem.

- Sprawdźmy najpierw za komódką. Do szafy zawsze zdążymy wrócić - proponowałam.

Mebel był bardzo stary, w opłakanym stanie. Lekko dotknięty, wydał z siebie cichutkie jęknięcie. Z trudem wyciągnęłam najwyższą szufladę, w której znajdowały się różne szpargały, a wśród nich szklana, napełniona wodą kula, ten czarodziejski talizman mojego dzieciństwa nazywany przez mamę berżeretką. Kula ustawiona była na niskiej podstawce, a w jej wnętrzu leciutko falowała para objętych pasterzy, dziewczynka i chłopczyk. Za nimi, w przejrzystej wodzie kołysała się czarna owieczka.

Wystarczyło wziąć kule w ręce i lekko nią potrząsnąć lub obrócić do góry, aby z dna zaczęły unosić się drobinki białego pyłku przypominające płatki kwiatów lub puszyste gwiazdki śniegu. Uwielbiałam tę berżeretkę. Spoglądając w oszklony świat, wyobrażałam sobie, że mała pastereczka to ja, prowadzona przez ukochanego chłopca usianymi kwieciami polami w życie pełne radości i miłości. Kładłam rączki na wypukłej, śliskiej powierzchni kuli i zaklinałam czekające mnie szczęście.

Pamiętam ogromne rozczarowanie, jakie przeżyłam, będąc już w liceum, kiedy na lekcji polskiego dowiedziałam się, że berżeretka jest osiemnastowieczną pieśnią pasterską lub szesnastowiecznym szybkim tańcem dworskim. Z niedowierzaniem wertowałam słowniki i starałam się odnaleźć wzmiankę o szklanej kuli. Niestety bez rezultatów. Wtedy zdałam sobie sprawę z niespełnionych marzeń mojej mamy, z jej tęsknoty za sielskim, bezproblemowym życiem, a może za spełnioną, idealną miłością? Nie mogłam jej już zapytać, dlaczego tak nazwała ten w sumie bezużyteczny przedmiot, przywieziony z dalekich wojaży przez krewnych, których nikt już nie pamięta. Rodzina

pamiątka... Nikt z żyjących nie potrafił powiedzieć, skąd się wzięła i z którymi wspomnieniami jest związana.

Aniela grzebała w rzeczach ułożonych po drugiej stronie. Marek stał i pozwolił mi cieszyć się do woli odnalezionym skarbem. Wszystkie zgromadzone na strychu przedmioty były im obojętne. Patrzyli na nie beznamiętnie i trzeźwo. Dla mnie stanowiły one prawdziwą kopalnię wspomnień, tych dobrych, ciepłych oraz tych, które przez lata pragnęłam w sobie zagłuszyć. Miałam wrażenie, że z zakurzonych kątów spoglądają oczy przodków i przypominają mi o przynależności do klanu, uświadamiając, że jestem kontynuacją, przedłużeniem ich życia. Mimo woli czułam wyrzuty sumienia, że przez mój egoizm całe pokolenia będą musiały odejść w nicość, skazałam ich i siebie na zapomnienie. Nie wydałam na świat potomków...

- Maml Są! To na pewno one! - radośnie wołała Aniela. W panującym półmroku nie mogłam jej dostrzec.

- Gdzie ty jesteś? - zapytałam.

- Tutaj! Za obrazami!

Postawiłam kulę na komodzie i ruszyłam w kierunku dziewczyny. Idący za mną Marek, znów delikatnie położył rękę na moim ramieniu. Ten strych dziwnie działał na moją psychikę. Poczułam się jak piętnastolatka, którą pierwszy raz dotknął ukochany chłopiec. Wystraszyłam się doznanych uczuć. Nie wróżyły nic dobrego. Nie miałam czasu głębiej zastanawiać się nad przyczynami i skutkami takiego stanu rzeczy. Uśmiechnięta twarz Anieli wystawała zza sterty starych reprodukcji. Z burzą dredów na główce przypominała strychowego duszka. Zupełnie tak jakby właśnie wyszła z obrazu i ciekawie rozglądała się po zakurzonym, ciemnym pomieszczeniu. Nagle schowała się, a mi przeszło przez myśl, że wybrała iluzoryczny świat namalowany na starych płótnach i przez moment za-zdrościłam jej tej trafnej decyzji. Sama najchętniej uciekłabym

z otaczającej mnie rzeczywistości i schroniłabym się na wyblakłym malowidle.

Aniela podała Markowi spore, odrapane z farby, metalowe pudełko. Leciutko przechylając stertę obrazów, wysunęła się spoza nich. Oczy jej błyszczały!

- To dziwne - mówiła. - Pan S.tach szukał tych listów, ale nie znalazł. Mnie się udało! Czekają tu na mnie. Miałam już przejść dalej, ale tak sobie pomyślałam, że te malunki są dziwnie ustawione. Była pomiędzy nimi szpara, luka. Włożyłam tam rękę i są! Ale się cieszę, teraz listy będą w komplecie.

Pani Ewo, dobrze mówię? - szukała mojego poparcia.

- Dobrze! - śmiałam się.

- Chodźmy stąd - zaproponował Marek. - Jakoś dziwnie się tu czuję... Zdaje się, że jestem uczulony na kurz... - mówił, dyskretnie ocierając załzawione oczy.

Szklaną kulę ustawiłam na toalecie mamy w moim pokoju. Zaczęłam otaczać się starymi przedmiotami i wspomnieniami, co naprawdę mogło świadczyć o daleko idących zmianach w mojej psychice. Demencja starcza i dewocja na razie mi nie groziły, ale byłam na najlepszej drodze do oderwania się od rzeczywistości.

Rozdział 39

Przeglądałam wyniki badań. Pani Siekierka, trzymając Bartka na kolanach, siedziała po drugiej stronie biurka. Chłopiec bawił się nowym samochodem, jeżdżąc nim po rękach matki, która co chwilę czule gładziła jego włosy i delikatnie całowała w czoło. Najwyraźniej świadomość możliwości powtórzenia się tragedii zmieniła jej stosunek do syna, przyczyniając się do wybuchu macierzyńskich uczuć. Z prawdziwą przyjemnością przyglądałam się tej scenie. Z oczu matki wyczytałam napięcie oraz gotowość na przyjęcie nawet najgorszych wiadomości. Widocznie w tej sytuacji najważniejszą sprawą stała się miłość, która nie kończy się wraz ze śmiercią, o czym już pani Siekierka wiedziała, dlatego pragnęła okazać synkowi tyle ciepła, ile tylko potrafiła. Uśmiechnęłam się pocieszająco.

- Pani Joanno, proszę poprosić doktor Marwicką. Chcę, żeby potwierdziła moją diagnozę. Pani Siekierko - zwróciłam się do matki pacjenta. - Będzie dobrze! Proszę mi wierzyć! Najważniejsze, że wiemy, co się dzieje. Wyślemy syna do kliniki, tam podejmą decyzję. Prawdopodobnie potrzebny będzie rozrusznik serca, ale to tylko pomoże mu spokojnie żyć. Wada jest poważna, jednak ewentualnym skutkom można zapobiec - tłumaczyłam łagodnie.

Siostra Joanna wróciła z Krystyną. Pokazałam jej wyniki. Usiadła z boku na kozetce i uważnie je studiowała.

- Blok drugiego stopnia - potwierdziła. - Skieruj do konsultacji. Koniecznie trzeba się zająć tym młodym człowiekiem - zwróciła się do matki. - Bronić go przed grypą, anginą i przeziębieniami. Chodzi do przedszkola? - zapytała.

- Tak, ale mogę zrezygnować z pracy - pośpiesznie wyjaśniała pani Siekierka. - Wezmę chałupnictwo. Bartuś teraz jest najważniejszy!

- Proszę nie działać pochopnie. Dostanie pani zwolnienie. Jeżeli zadba pani o syna, wszystko dobrze się ułoży. Już wypisuję skierowanie - mówiłam.

Czułam prawdziwą satysfakcję. Kto wie, może udało mi się ocalić tego małego, chudego chłopca? Dobrze, że kierowana niechęcią do jego matki, nie popełniłam karygodnego błędu i podjęłam walkę o jego życie.

Kiedy skończyłyśmy przyjmowanie pacjentów, zmęczona siostra Joanna usiadła na krześle i patrząc przed siebie na żółtą, już lekko przybrudzoną ścianę, powiedziała:

- Bardzo się cieszę, że z panią pracuję. Dobrze, że pani do nas wróciła, dużo dziś się nauczyłam...

- Nauczyłaś? Nie rozumiem?

- Wie pani, nie mam lekkiego życia... - zwierzała się. Pomyślałam sobie, że mimo wszystko nie jestem w porządku... Kocham syna, ale ciągle jestem zdenerwowana, krzyczę na niego, wiecznie mam o coś pretensje. Przyglądałam się Siekierce i temu biednemu Bartusiowi... Uzmysłowiłam sobie, jak traktuję własne dziecko... Jak mało poświęcam mu czasu... Żeby mogła się wyciszyć, opanować... Sama nie wiem... Wszystko jest nie tak jak trzeba. Mój mąż to pi-jus! Z mojej pensji trudno wykarmić rodzinę... Pracy u nas nie ma, a on za granicę nie pojedzie, nie zna języków i boi się. Może gdyby zarabiał, byłoby lepiej... - zastanawiała się głośno.

- Pani Asiu, proponowałam już pomoc - przypomniałam. -Wypiszę pani receptę, proszę wybrać leki, może trochę się pani uspokoi. Co do pracy, w kilku miejscach popytam. Czy ze spokojnym sercem mogę polecać pani męża? Nie chcę robić komuś kłopotu...
- Pani doktor, powiem, jak jest. Kiedy miał pracę, było dobrze. Nie pił, nie włączył się z marginesem społecznym... To nie jest zły człowiek! Teraz jest bezsilny i wściekły, ponieważ musi siedzieć na moim garnuszku. Wyładowuje swoją frustrację na dziecku i na mnie. Czasem myślę, że to i moja wina. Muszę coś zmienić, muszę... - rozplakała się.
- Niech pani nie płacze... Załatwię mu pracę, ale zanim ją przyjmie, będzie musiał ze mną porozmawiać - mówiłam stanowczo.
- Boję się, że narobi pani kłopotów... - chlipała.
- Jakoś to przeżyję! - uśmiechnęłam się.
- Dobra z pani kobieta i... - nie dokończyła.
- I przyjaciółka? - dopytywałam się.
- Nie śmiałam, pani doktor...
- Pani Joanno! Zrobię, co będę mogła. My kobiety, musimy sobie pomagać i trzymać się razem.

Rozdział 4 0

- Wypuścili go! Tyle hałasu i nic...? - zastanawiał się Zbyszek.
- Mówisz poważnie? Wyszedł? A zarzuty? Będzie oskarżony? - nie mogłam uwierzyć.
- Iza twierdzi, że pomogły mu papiery od ciebie. Wzywali nawet twojego amanta. Na coś się jednak przydał - ironizował.
- Spotkanie z wymiarem sprawiedliwości mu nie zaszkodzi - zbagatelizowałam poświęcenie mojego byłego konkubenta. -Zenek wróci do przychodni?
- Raczej nie. Tu jest spalony. Pewnie wyjadą do Katowic, mają tam rodzinę. Jola już szuka pracy - powiedział Zbyszek.
- Tak będzie lepiej, zmiana dobrze im zrobi.
- A co tam słyhać u waszego sąsiada? - Zbyszek przyglądał mi się uważnie.
- Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale czuję, jak powoli zbliża się do mnie... Nie śmiej się ze mnie! Mam czterdziestkę na karku, jestem kobietą po przejściach, a tu takie rzeczy... Czuję się idiotycznie... Podglądam go przez okno i widzę, jak on zerka w moim kierunku. Nie chciałam się uczuciowo angażować. Żadnych przygód, miłostek, romansów! Imponowała mi postawa Krystyny, która po śmierci męża, nie szukając nowego partnera, potrafiła ułożyć sobie życie. Podziwiałam ją, uważałam za wzór godny

naśladowania. Właściwie, dlaczego nie? Jestem samodzielna, znakomicie potrafię sobie poradzić bez męskiej pomocy, tym bardziej że, jak się przekonałam, trudno ufać ich zapewnieniom o wierności i miłości. Marek zaczynał prawdziwą ofensywę, wysyłał jednoznaczne komunikaty. Sprawiało mi to niekłamaną przyjemność, mile łechzcząc moje babskie ego. Nie byłam jednak gotowa na ponowne rozczarowanie.

Zbyszek cierpliwie czekał, aż przełknę gorzką pigułkę i tak nieoczekiwanie uświadomiłam sobie zbliżające się kłopoty. Nie miałam innego wyjścia. Postanowiłam trzymać Marka na dystans i zawczasu, profilaktycznie, kontrować jego miłosne zapędy. Pełna wiary we własne siły, pozbywszy się miotających mną wątpliwości, chciałam skierować rozmowę na inne tory, ale Zbyszek uprzedził mnie. Z uśmiechem bazyliuszka przekazywał wiadomości z pierwszej ręki. Jego opowieść wprawiła mnie w osłupienie. Plotka dotycząca ojca i Anieli była nieprzyjemna, a zarazem bardzo poważna.

- Nie powinnaś się tak dziwić. Mówiłem ci, że to małe miasteczko i wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą - próbował mnie uspokoić.

- Racja - przytaknęłam szybko, zbierając się do wyjścia. - Nie sądzisz jednak, że powinnam orientować się w sprawach dotyczących własnej rodziny? Nie gniewaj się, ale muszę skontaktować się z Adamem. Wpadnę do ciebie później, jak wyjaśnię całą tę sytuację - mówiłam, stojąc w drzwiach. Siedząc w samochodzie, próbowałam zebrać myśli. Awantura mogłaby tylko pogorszyć moje stosunki z tatą, trzeba postępować dyskretnie i rozważnie. Przede wszystkim porozumieć się z Adamem, może on jest wtajemniczony w projekty ojca? Całe miasto wiedziało, co się dzieje w naszym domu, tylko ja byłam ślepa. Czulałam się wyrzucona poza nawias, czarna owca w rodzinie. Ojciec zdaje sobie sprawę, że potrzebuję spokoju

i wyrozumiałości. Jeżeli nie jestem w stanie z nim się porozumieć, nie mam najmniejszych szans na udany związek z żadnym mężczyzną. Nie podobało mi się konspirowanie za moimi plecami. Hurtownia Adama znajdowała się w baraku, będącym dawniej magazynem Spółdzielni Kółek Rolniczych. Na obskurnym podwórku handlowano sprowadzonymi z zachodu, wiekowymi samochodami, cieszącymi się dużym powodzeniem wśród mieszkańców całej okolicy. Dwóch znudzonych pracowników warsztatu samochodowego prezentowało granatowego opla starszemu małżeństwu, które z wypiekami na twarzach mocowało się z lekko zardzewiałymi drzwiczkami wymarzonego pojazdu. Moje zjawienie się w tej enklawie ciszy i spokoju wprowadziło małe ożywienie, ale mechanicy szybko zorientowali się, że nie przyjechałam do nich. Biuro Adama składało się z jednego mrocznego pomieszczenia. Pachniało w nim stęchlizną. Pod ścianami stały żelazne regały zastawione pudełkami w różnych rozmiarach. Stare, ogromne biurko, pamiętające zapewne czasy Gomułki, dziwacznie harmonizowało ze stojącym na nim monitorem, klawiaturą i bezprzewodowym telefonem.

Adam uważnie słuchał mojej relacji, kręcąc się niecierpliwie na obrotowym krzeselku, z niedowierzaniem potakując głową.

- Nic ci nie powiedział? - dopytywał się.

- W ogóle ze mną nie rozmawia. Wścieka się o ten rachunek. Nie wiem, jak go udobruchać. Drażni mnie jego postawa, chwilami wydaje mi się, że młody Zawilak jest mu bliższy od własnych dzieci. Zawsze byliśmy na drugim miejscu... Strofuje nas, traktuje jak smarkaczy. Nie wiem jak ty, ale ja mam już tego serdecznie dość! Nie będę całe życie zabiegała o jego szacunek. Co nie zrobię, jest źle. Czego on od nas chce? Czy sam zawsze był ideałem? Naraża nas na plotki, robi z nas wyrodne bachory!

- Daj spokój! Nie ma się co denerwować... Odzwyczaiłaś się, zapomniałaś... Mnie to nie dziwi. On lubi takie numery... Musimy zapobiec kompromitacji, to w końcu nasz ojciec i do naszych obowiązków należy pomóc mu, kiedy trzeba. Na jego złościwości i tak już nic nie poradzimy. Przecież nie wyrzekniemy się tatusia! - tłumaczył mi.

Adam całe życie był pod wpływem taty i wypracował sobie odpowiednią taktykę postępowania.

- Jedzie do sanatorium! To normalne - rozważał. - Nie chce nam o tym powiedzieć. Zgoda. Ważniejsza jest jednak wizyta u notariusza. Był tam z Anielą? To mi się nie podoba... Mam nadzieję, że nie pozbył się domu, chociaż po nim wszystkiego możemy się spodziewać! Ja na twoim miejscu nie wypinałbym się tak na tego Zawilaka, on jest kopalnią wiedzy. Był przy tym, wie, czego ojciec nas dziś pozbawił. Anieli nie powinniśmy pytać, jakoś nie wypada. Jak dobrze podejdziesz Marka, sam wyśpiewa... Cholera jasna, człowiek groszem nie śmierdzi, zapożyczony jestem po uszy, a stary rozdaje kasę obcym ludziom. Nie mam nic przeciwko tej dziewczynie, ale sama rozumiesz... Na strychu znaleźliśmy makulaturę, owszem, ciekawą, ale co nam po sprzedanych, przedwojennych majątkach? Izby pamięci nie będziemy zakładać. Wie, jak mi forsa potrzebna, to tej siksie zapisuje... - złościł się Adam.

- Może to Marek jej coś zapisywał, a ojciec był tylko świadkiem? - poddałam mu myśl.

- Nie rozśmieszaj mnie! - prosił Adam. - Ojciec opiekuje się Anielą od czasu, kiedy została sama ze swoim brzuchem. Płaci jej taką pensję, że sam bym u niego pracował jako gospoia, gdyby tylko się na to zgodził.

Zamyśliłam się. Ze swoją emeryturą ma prawo robić, co tylko chce. Osobiście nie mogłam mieć pretensji. Siedziałam na jego garnuszku. Siedział na nim też Marek Zawilak!

Nie dopytywałam się, na jakich zasadach mieszka i żywi się w naszym domu, ale mogłam podejrzewać, że jest rezydentem, gościem przyjętym na dłuższy czas i mającym bezpłatny wikt i opierunek. Emerytura taty musi być rzeczywiście imponująca. Biedny Adam wiecznie boryka się z kłopotami, opiekuje się tatą jak może, a w zamian nie dostaje złamanego grosza...

- Poświęcę się dla sprawy! - zdecydowałam. - Nie podoba mi się ten cały Zawilaczek, ale nie mamy wyjścia. Pomizdrzę się do niego, pogadam... Spróbuję z niego coś wyciągnąć...

- Nie chodzi o pieniądze, ale z tatą dzieje się coś złego. O nic nie można zapytać, bo zaraz myśli, że chcesz go ograbić z majątku. A pokój mamy? Co on w nim robi? Całymi dniami siedzi zamknięty... To już nie dziwactwo, to choroba!

- Byłam przekonana, że ciągle za nią tęskni, wpatrzony w jej rzeczy przeżywa swoją straconą miłość. To też nienormalne, ale przynajmniej w jakimś sensie zrozumiałe. Minęło tyle lat... Ja ledwie ją pamiętam... A tu taka demonstracja miłości do grobowej deski! Co to u licha jest? Pogrzebać się żywcem we własnym domu? Do czego to podobne?

- Spokojnie! - Adam hamował moje emocje. - My go jeszcze rozszyfrujemy! To nie jest dziwactwo, ojciec jest niezwykle sprawny psychicznie. Czasem myślę, że on się nigdy nie zestarzeje. Nie jest z nim tak źle, zachował trzeźwość umysłu. Skrzętnie ukrywa swoją tajemnicę! On nie siedzi tam bez powodu. I ten listonosz, do którego nie wolno ci się zbliżyć...

- O Jezu! - jęknęłam. - Myślisz, że dziecko Anieli to nasz braciszek?!

- Odbiło ci totalnie? O co ty go podejrzewasz?

- Nie wiem... Zaczynam się bać... Lepiej zostawmy wszystko tak, jak jest. Tajemnice powinny trwać nienaruszone... - jękałam się, bojąc się własnych myśli.

- Wariatka! - zganił mnie. - Ojciec nie jest wampirem ani pedofilem. Co ty wymyślasz? Coś kombinuje, ale seks wybij sobie z głowy! To poważny i rozważny facet, a nie jakiś morderca i dzieciorób. Gdyby tylko chciał, dawno znalazłby nam macochę. No nie, przesadziłaś, sama przyznaj - śmiał się z moich obaw.

- Nie lubię tajemnic - wyznałam.

Uknuliśmy spisek. Plan łatwy do zrealizowania. Odwozimy tatę do sanatorium moim samochodem. Ja, kiedy nadarzy się okazja, przypuszczam zmasowany atak na Marka Zawilaka. Moja gotowość do poświęceń miała z góry wytyczoną granicę. Jeśli nie uda mi się wyciągnąć z niego potrzebnych nam informacji, trudno. Za nic w świecie nie pójdę z nim do łóżka. Pozostawało jeszcze otwarcie pokoju mamy, tej naszej rodzinnej trzynastej komnaty, która zza zamkniętych drzwi wionęła mrozącą krew w żyłach tajemnicą. Adam twierdził, że wystarczy zwykły wytrych. Nie miałam najmniejszego pojęcia, skąd wziąć takie narzędzie i jak należy się nim posługiwać. Włamania nie należą do moich specjalności. Nie powiedziałam tego, ale postanowiłam spróbować najzwyczajniej w świecie wykraść klucz Anieli. Całe przedsięwzięcie byłoby wtedy dziecinie proste.

Rozdział 4 1

Berzeretka - pomyślałam. Umizgi, płasanie, czułe słówka, bukiet z kolorowych, jesiennych liści. W ramach wyciskania wiadomości z Marka, zgodziłam się na romantyczną wycieczkę za miasto. Wpadłam na pomysł zawiezienia go do restauracji przy parkingu, ale szybko zrezygnowałam z tego zamiaru. Wypadałoby, żeby zapłacił za wspólnie wypitą kawę, a to byłoby dla mnie krępujące. Nałożyłam letnią, zwiewną sukienkę, brązowy żakiet, zawiązałam żółtą chustkę na głowie i już byłam gotowa do wyjazdu. Marek wprost oniemiał na mój widok. Mężczyźni w średnim wieku posiadają niezwykłą wrażliwość na piękno dojrzałych kobiet. Potrafią wzruszyć się prawie do łez i nawet nie ukrywają przed swoją wybranką tych, widocznych gołym okiem, ludzkich uczuć. To już nie są macho! To romantyczni kochankowie doceniający walory partnerki, pragnący zaspokoić jej fizyczne i uczuciowe potrzeby. Delikatni, sprawni w sztuce pieszczot, szeptanych wyznań. Prawdziwi znawcy, którzy strawili całe życie na studiowaniu kobiecej psychiki, po to tylko, żeby móc się popisać przed jedną, jedyną panią. Ich dewiza jest prosta: adorować, adorować, adorować! Wiedząc o tym, ułożyłam sobie kilka wariantów dowcipnych ripost, aby w razie potrzeby, ostudzić miłosne zapędy Zawilaka. Spacer wśród zaoranych, przygotowanych na nadejście zimy, pól sprawił mi wielką przyjemność. Marek opowiadał

o swojej firmie, o krótkim małżeństwie, planach na przyszłość, subtelnie pomijając w nich moją skromną osobę. Poddając się nastrojowi chwili, zdjęłam chustkę z głowy i tańczyłam po wyboistej drodze. Szeroko rozkładając ramiona, wciągałam w zachłanne płuca chłodne już powietrze. Nieudolne pląsy, zgodne z taktem podawanym przez jesienny wiatr, wyglądały żałośnie, a moja potrzeba powrotu do dziecięcej swobody mogła wydać się infantylna. Nic sobie z tego nie robiłam. Było mi całkowicie obojętne, co też Marek o mnie pomyśli. Czułam się tak, jak gdyby wiatr mnie poniósł, a zamglone słońce prosiło o taniec ku jego czci. Wtedy właśnie przyszła mi na myśl berżeretka. Miłosna, pasterska pieśń, pełna wiatru, słońca, radości. Całe nasze życie to jedna wielka berżeretka! Tańczymy niesieni niewidoczną siłą losu, szukając miłości, czułości, zrozumienia. W szybkim tempie przemierzamy kolejne lata. Jak pasterze swoją lichą trzódkę, tak my dogłdamy, pielęgnujemy, hołubimy nieliczne wspomnienia, pozwalające nam się łudzić, że nasze smutne, szare życie posiadało jednak sens, że warto było znosić upokorzenia, klęski, cierpienia dla tych rozkosznych mignięć, romantycznych wzruszeń.

Idący obok mnie Adonis najwyraźniej nastawił się na zrealizowanie chłopięcych marzeń, niespełnionych z racji braku śmiałości, doświadczenia oraz młodego wieku. Już wtedy zakazany owoc kusił, niestety nie wiedział, jak go zerwać. Potrzebne były lata, aby uczucia mogły dojrzeć, a próba ich urzeczywistnienia nie okazała się tylko mirażem. Mówiąc wprost, teraz był odpowiedni czas na poważny, może nawet długotrwały związek. Zdobycie mojego serca zależało wyłącznie od jego woli i starań. Właśnie subtelnie, małymi kroczkami rozpoczął te starania...

- Śmierć ojca skłoniła mnie do pewnych refleksji - zagał.

Nie uwierzę już żadnemu mężczyźnie, nie dam się złapać na piękne słówka, opowieści o trudnym życiu, bajki wymyślane pod wpływem chwili, mające na celu osłabienie mojej czujności. Udając brak zainteresowania jego zwierzeniami, rozglądałam się, podziwiając piękno jesiennego krajobrazu.

- Najwyższy czas, żebym mógł odpocząć - kontynuował.

Podniosłam z ziemi nieduży kamyk. Obracając go w palcach, przyglądałam się jego fakturze. Ogrzany ciepłem mojej dłoni uwalniał powoli drobinki piasku, które przyłgnęły do jego powierzchni i pewnie miały nadzieję zjednoczyć się z nim, wdrzeć w jego wnętrze, znaleźć spokojne, wieczne schronienie. Zdmuchiwałam je, a one spadały na ziemię, gdzie leżały liczne kamyki, nowe złudzenia na lepsze i bezpieczniejsze jutro.

- To chyba rodzinne... Zawilakowie są wierni młodzieńczym uczuciom. Przechodzi to z pokolenia na pokolenie. Tradycja...

- lekko się uśmiechnął.

- Dziedziczna miłość do sąsiadek - kpiłam.

- Coś w tym jest... Nic na to nie poradzę. Nie potrafiłem kochać żadnej innej kobiety. Nie mówię o seksie - asekurował się.

- Tylko ty się liczyłaś.

- To nie ja - zaprzeczyłam. - Może kochałeś małą sąsia-deczkę, nie przeczę! Miło jest mieć świadomość, że komuś na mnie zależało. Wszystko się jednak zmienia. Nawet ten mały kamyczek, wydawałoby się rzecz trwała, też kiedyś ulegnie przemianie. Jestem inną osobą. Na próżno starasz się szukać we mnie młodej dziewczyny o długich, rozpuszczonych włosach. Dawno zostały obcięte, rozrzucone po różnych fryzjerskich zakładach. Na ich miejscu wyrosły nowe, matowe, pozbawione odbitego światła.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytał.

Przystanął i stanowczo mnie objął. Bezskutecznie próbowałam wyrwać się z uścisku jego ramion, odtrącić go, zniechęcić.

- Nic się nie zmieniło - stwierdził, głaszcząc mały, wystający spod żółtej chusteczki, niesforny kosmyk moich włosów. - Nadal są piękne, pełne małych iskierek.

- Nie I - syknęłam przez zaciśnięte zęby.

Cała ta eskapada okazała się mało owocna. O notariuszu Marek nie wspomniał ani słowem.

Potwierdził jednak zamiary taty. Rzeczywiście wybierał się do sanatorium i prosił go o odwiezienie do Ciechocinka.

Mimo mizernych wyników mojego śledztwa, nie był to czas stracony. Deklaracja dozgonnej miłości padła, jak ziarno, na podatny grunt, taki jak ta ziemia zaorana przed zimą. Kto wie, co z niej wiosną wykiełkuje...

Rozdział 42

Obserwowałam nowo przybyłych kuracjuszy. Zafascynowały mnie zachodzące w nich przemiany. Tempo zmian było naprawdę imponujące. Niezdarnie gramolili się z zabłoconych aut, nieporadnie wystawiając spuchnięte nogi, nisko schylając oszołomione jazdą głowy. Na chodniku rozprostowywali zdrętwiałe kości i rozglądali się ciekawie, badawczo. Nie wykazywali najmniejszego zainteresowania swoimi dorosłymi dziećmi, które po długiej podróży, bez ociągania, nadal wypełniały swój obowiązek i nie czekając na polecenia rodziców, pośpiesznie ustawiały na wąskim chodniczku wyjęte z bagażników rzeczy. Staruszkowie liczyli walizki, nesesery, podróżne torby. Stwierdzając, że wszystko jest w należyтым porządku, wolno robili kilka kroków, jakby sprawdzając, ile sił im pozostało. Prostowali się i poganiali swoje latorośle jak zawodowych tragarzy. Przed recepcją następowała metamorfoza. Dorosłe dzieci stawały się zbędnym balastem. Pozostawione na środku sporego hallu pilnowały przytaszczonych walizek. Kuracjusze ustawiali się w niewielką kolejkę i już z wysoko uniesionymi głowami, wypiętymi do przodu piersiami, wciągniętymi brzuchami, wdawali się w miłe pogawędki o pogodzie, trudach podróży i czekających ich zabiegach z właśnie poznanymi kuracjuszami. Barwne opowieści na temat swoich chorób zostawiali na później, będą mieli bowiem sporo czasu, aby nawzajem poinformować się

O swoich dolegliwościach i kłopotach związanych z ich leczeniem. Dzieci nie były im już do niczego potrzebne. Przeszkadzały tylko w integrowaniu się z nową społecznością, dlatego też szybko znikwały z pola widzenia. Krótkie, nerwowe pożegnania, życzenia „szerokiej drogi”, odbywały się pod czujnym okiem sąsiadów, którzy przybyli wcześniej i niby to przypadkiem, rozsiedli się na drewnianych ławeczkach ustawionych przy skwerku przed głównym wejściem do budynku.

Zachowanie naszego taty nie odbiegało od przyjętej tu normy. Z dezaprobatą kiwał na nas siwą głową, najwidoczniej denerwowała go nasza obecność. Odprowadziliśmy go do pokoju, przy okazji wnosząc jego bagaże, on jednak nie zaprosił nas, żebyśmy usiedli i odpoczęli. Dyrygował, gdzie ustawić walizki

1 oparty o otwarte drzwi, czekał, kiedy wyjdziemy, nareszcie zostawiając go samego.

- Idźcie już, idźcie! Długa droga przed wami! - poganiał. Czułam się jak intruz, ale Adam nie stracił rezonu. Stał

w drzwiach przed tatą i w charakterystyczny sposób nastawił prawą rękę. Milcząc, wpatrywał się w podeksycytowanego ojca.

- O co ci chodzi? - dziwił się tata.

- O napiwek - poważnie odpowiedział Adam.

O dziwo, dostał! Czy ojciec źle zrozumiał jego żart, czy rzeczywiście poczuł się zobowiązany do wyrównania kosztów podróży? Nie wiem. Położył na wyciągniętej ręce Adama trzy dwustuzłotowe banknoty i z łobuzerskim uśmieszkiem stwierdził:

- Wystarczy na powrót i uczczenie mojego wyjazdu. Podzielcie się.

Zrzekłam się swojej części. Adam był wniebowzięty.

- To mi się udało! Cholernie się cieszę! Zapłacę ratę i jeszcze trochę zostanie - mówił, kiedy wyjechaliśmy już na główną drogę. - Wpadło mi jak ślepej kurze ziarno!

- Czy ty też uważasz, że w pewnych sytuacjach reagujemy zawsze w ten sam sposób, niezależnie od naszego wieku? Czułam się tak, jakbym odwoziła dziecko na kolonie! - stwierdziłam z odrobiną goryczy w głosie.
- Masz rację - zastanowił się. - Role tylko się odwróciły. Powiedziałbym nawet, że staruszkowie wykazywali znacznie więcej energii niż my, kiedy byliśmy dziećmi.
- To prawda. Pamiętam niepokojącą chęć odłączenia się od rodziców i wtopienia w grupę kolonijnych przyjaciółek - wspominałam. - Dawniej zachowanie kuracjuszy nie wzbudziłoby mojego zainteresowania. Liczył się tylko Pan S.. i praca. Od kiedy znów zamieszkałam z tatą, od mojego powrotu do miasteczka, zwracam baczniejszą uwagę na otaczających mnie ludzi, zjawiska, na które dawniej nie miałabym czasu spojrzeć, a przede wszystkim jestem bliżej samej siebie, odkrywając drzemiące głęboko we mnie wspomnienia.

Rozdział 43

Aniela najwyraźniej mnie unikała, było to irytujące i niezrozumiałe. Guzik mnie interesowały jej potajemne konszachty z ojcem, oboje są dorośli, dobrze wiedzą, co robią. W przeciwieństwie do Adama, nie miałam kłopotów finansowych, może dlatego nie dociekałam, ile ta młoda osóbka dostała w prezencie. Mój stosunek do Anieli nie zmienił się, natomiast zmieniła się Aniela. Relacjonując przygotowania do ślubu, nie szczebiotała, a na moje zaczepki udzielała krótkich, wymijających odpowiedzi. Po skończonej pracy nie rozsiadała się przy kuchennym stole. Propozycje wspólnego wypicia herbaty wprawiały ją w prawdziwy popłoch. Tłumacząc się brakiem czasu, pośpiesznie wymykała się z domu. Postanowiłam poważnie z nią porozmawiać, ale wyprzedziła mnie i zniecka zadała mi cios w plecy.

- Pan Piotr wyjechał... - mówiła urywanymi zdaniami. - On jest moim pracodawcą... Potrzebuję kilku wolnych dni... Mam sporo spraw do załatwienia i nie mogę sobie z tym poradzić. Pan Marek mnie zwolnił, więc teraz wszystko zależy od pani...

- Właśnie zaczynamy poważny remont. Chcemy wykorzystać nieobecność taty. Kiedy wróci, wszystko będzie już doprowadzone do porządku, w ten sposób zaoszczędzimy niepotrzebnych nerwów sobie i jemu. Mam do ciebie zaufanie, będziesz mi potrzebna. Myślałam, że wszystkiego

dopilnujesz. Przesuń urlop o kilka dni... Byłabym ci bardzo wdzięczna. Zapłacę za dodatkowe godziny - tłumaczyłam spokojnie.

Dziewczyna nie spuszczała wzroku z mojej twarzy, przyglądając mi się badawczo chciała zapewne odczytać, czy wiemy

o zapisie i ile wiemy. Ten niespodziewany remont mógł wyglądać na zwyczajną zemstę. Widocznie tak to potraktowała

i postanowiła pozbyć się wyrzutów sumienia, uznając, że w tej sytuacji ma prawo stawiać warunki. Z wyniosłą miną, nienaturalną dla niej, rozsiadła się na krześle, położyła ręce na stole i wyliczała na palcach:

- To będzie z pięć godzin dziennie... Trzeba pilnować majstrów, pomagać, sprzątać... Do tego normalne gotowanie... Zmywanie... Pranie... Nawet nie chodząc do pana Marka, to i tak sama nie dam rady. Musi pani jeszcze kogoś zatrudnić. Za kilka groszy nie dam się zabić! Nie ma głupich!

Mam cię! - pomyślałam i spokojnie czekałam na dalszy ciąg wypowiedzi. Znając jej impulsywny charakter, spodziewałam się, że za chwilę usłyszę o hojności ojca. Moje milczenie rzeczywiście ją rozzłościło. Nie potrafiła zapanować nad emocjami, wyrzucała z siebie potok słów, a ja, nie ponagłając, dobrze wiedząc, że w końcu sama się wygada i dojdzie do interesujących mnie zwierzeń, przybrałam ironiczny wyraz twarzy, co dodatkowo drażniło Anielę.

- Pani chyba o mnie źle myśli... Nie chcę nic za darmo. Uczciwie pracuję! Pan Piotr jest taki dobry, dużo mi pomógł... Robi to z własnej woli, ja o nic nie proszę. Przecież nie mogę odmówić, jeżeli dawanie sprawia mu przyjemność. Mówi, żebym się nie martwiła, że każdy dostanie, co mu się należy, że własnych dzieci nie skrzywdzi. On wie najlepiej. Forsa każdemu jest potrzebna... Ja nic nie mam... Staram się, jak mogę! Teraz mi już lżej było, bo pan Marek też dobrze płaci i nawet

sobie na wesele odłożyłam. No, niech pani sama powie, prezent trzeba przyjąć, tak czy nie? Nie mogłam przytaknąć, chociaż miałam wielką ochotę. Z powątpiewaniem kręciłam głową. Sama przygotowałam jej „spora” niespodziankę. Lubiłam to młode stworzonko! Nie dziwiłam się ojcu, że chciał dziewczynie złagodzić wejście w trudne, dorosłe życie. Miałam jednak swój cel. Musiałam dowiedzieć się z pierwszej ręki, co też tata jej podarował, a przede wszystkim wyłudzić klucz do pokoju mamy.

- Zagrajmy w otwarte karty - zaproponowałam. - Chodziliście do notariusza, a więc sprawa musiała być poważna.

Dziewczyna miała łzy w oczach.

- Co ja mam teraz zrobić? Jak mam to oddać... Przecież pan Piotr będzie zły jak diabli. Mówiłam mu, że nie chcę... Uparł się i więcej mnie nie pytał.

- Ile ci dał! - wrzasnęłam i chcąc podkreślić udawaną irytację, walnęłam pięścią w stół.

Przestraszyłam ją do tego stopnia, że wyśpiewała wszystko jak na spowiedzi. Ojciec podarował jej pięćdziesiąt tysięcy złotych. Wiadomość ta spadła na mnie niczym grom z jasnego nieba. Zaparło mi dech. Strach sparaliżował mnie. Skąd u licha on wziął tyle pieniędzy? Nie miałam wyjścia. Trzynasta komnata musi przed nami otworzyć swe podwoje i ukazać, choćby najstraszliwszą prawdę.

Świadomość totalnej nieznajomości sytuacji materialnej ojca nie pozwalała mi zwlekać ani chwili. Gdyby nie kłopoty Adama, pewnie zareagowałabym inaczej... Myśląc jednak o bracie, wpadłam w desperację, która dodała mi sił.

- Klucz! - wrzasnęłam na całe gardło.

- Proszę! Błagam! Tylko nie to! - jęczała zrozpaczona.

- Dawaj po dobroci, bo zabiorę ci siłą - ostrzegałam.

- Pani Ewo, litości... - szlochała i zanim zdążyłam odpowiedzieć, rzuciła się przede mną na kolana, unosząc ręce w bła-

galnym gościu. - Nie! Ja naprawdę nie mogę! Ja obiecałam. Pan Piotr mi zaufa! Tak nie można... Działałam automatycznie jak w amoku. Liczyła się każda sekunda. Aniela nie mogła domyślić się moich intencji, bo wtedy byłabym bez szans, straciłabym nad nią przewagę. Nie chciałam zrobić jej krzywdy, musiałam jednak ratować rodzinę. Pobiegłam do przedpokoju i zamknęłam wejściowe drzwi. Klucz schowałam do kieszeni. Trudno. Nie zgodziła się na współpracę, będzie miała za swoje, za takie pieniądze trzeba czasem trochę pocierpieć. Wróciłam do kuchni i nie patrząc na nią, zadzwoniłam z komórki do Adama. Siedziała przy stole, cicho łkając. Schylone plecy falowały rytmicznie, unosząc się przy głębszych wdechach. Przypominała małe skołtunione zwierzątko trzęsące się z zimna i przerażenia.

- Adam, przyjedź tu natychmiast! Natychmiast! - powtórzyłam i nie czekając na odpowiedź, rozłączyłam się.

Na porywacza nie nadawałam się. Oczekiwanie było najgorsze. Musiałam się czymś zająć, zabrałam się za przygotowanie kolacji. Miotalam się, trzaskałam talerzykami i drzwiami lodówki. Noże, widelce i łyżeczki wypadały mi z rąk, z metalicznym dźwiękiem uderzając o podłogę. Aniela powoli dochodziła do siebie. Wytarła zasmarkany nos w papierowy ręcznik, który uczynnie jej podałam. Nadal ostentacyjnie milczałam, dając jej do zrozumienia, że dalsze wyjaśnienia złoży już w obecności mojego brata. Ładną niespodziankę tatuś nam przygotował! Uważałam go za uczciwego człowieka, o niezłomnych zasadach moralnych, ale zawsze kierującego się zdrowym rozsądkiem i poczuciem sprawiedliwości. Do jego zgryźliwych uwag i cynizmu przyzwyczaiałam się, pamiętałam jednak czasy, jeszcze za życia mamy, kiedy ojciec posiadał wielkie poczucie humoru. Potrafił rozwikłać wszystkie rodzinne konflikty, tłumacząc, jak powinniśmy postępować, unikać niepotrzebnych

kłopotów i jak doprowadzić do zgody, nawet wtedy, kiedy obie strony sporu przekonane są o swoich racjach. Nie mogłam uwierzyć, że ten sam człowiek byłby zdolny dopuścić się jakiegokolwiek niegodziwości, wciągając w ciemne sprawy to biedne dziewczątko, które przyglądało mi się bez cienia nienawiści w oczach. Najwyraźniej Aniela zrozumiała sytuację, w jakiej się znalazła. Musiała nam pomóc odkryć prawdę o ojcu.

Zobaczyłam zbliżającego się do domu Marka, jeszcze jego tu potrzeba! - pomyślałam. Lekko uchyliłam okno i bardzo niegrzecznie przestrzegłam, żeby nawet nie próbował dostać się do środka.

- Co się dzieje? - dopytywał się.

- Nic! Zupełnie nic! - uśmiechałam się zjadliwie. - Mamy do załatwienia rodzinną sprawę. Zadzwoń do ciebie, jak będzie po wszystkim. Liczę na twoją wyrozumiałość!

- Ewo! Na pewno wszystko w porządku? - upewniał się.

- Uszanuj nasze prawo do prywatności - syknęłam i z trzaskiem zamknęłam okno.

Chwilę jeszcze pokręcił się, z ciekawością i obawą zaglądając w kuchenne okno. Zrezygnowany, odciągnął dwie sztachety w płocie, schylił głowę i z trudem przecisnął się na swoją posesję.

Aniela bawiła się paczką papierosów, którą z całą pewnością zostawił tu Marek.

- Dziękuję, że mnie pani nie związała - powiedziała cicho.

W głosie Anieli wyczułam odrobinę kpiny. Wyrwałam papierosy z jej rąk, jednocześnie odruchowo rozglądając się za zapalniczką.

- Proszę - Aniela podsunęła mi pudełko zapalek. - Nie jestem pewna, czy mądrze pani robi...

Przemądrzała smarkula! Za dużo sobie pozwala! Tak się to kończy, jak człowiek spoufala się z pomocą domową. Zapali-

łam! Nie będzie mi mówiła, co mam robić. Mój dom, moje zdrowie, moje porwanie. Pierwsze trzy głębokie pociągnięcia papierosowego dymu wywołały natychmiastową reakcję. Poczułam silny zawrót głowy, łomotanie serca, przyspieszony oddech, miękkie nogi. Udało mi się jednak opanować drżenie rąk. Ciągnęłam więc dalej upojny dym, spokojnie czekając, aż pierwsze objawy ustąpią, a nikotyna uspokoi rozdygotane nerwy. Zajęta wsłuchiowaniem się w przemiany zachodzące w moim organizmie, nie zwracałam uwagi na poczynania sąsiada. Widziałam przecież jak przechodził przez dziurę w płocie, nie interesowało mnie, co robi na swoim podwórku. Dawno powinien zająć się przeprowadzką na własne śmieci...

Dzwonek do drzwi odezwał się niespodziewanie. Ze strachu wypuściłam papierosa z rąk, a ten złośliwiec potoczył się pod kredens. Wpadłam w panikę. Miałam dwa wyjścia: albo zostawić palącego się papierosa pod kredensem i biec otworzyć drzwi, a wtedy mogłam spodziewać się straży pożarnej, albo wydłubywać niedopałek spod mebla i kazać Adamowi czekać za drzwiami, a wtedy prawdopodobnie on zawiadomi policję. Spotkanie z jakimikolwiek służbami mundurowymi nie było mi dziś na rękę. Nie miałam innego wyjścia. Musiałam poprosić Anielę o pomoc.

- Nie siedź tak! - krzyczałam. - Wyciągnij peta, bo się spalimy!

W czasie kiedy Aniela wygrzebywała żarzący się niedopałek, ja lekko uchylałam wejściowe drzwi, za którymi stał Adam i... Marek.

- Tak trudno zrozumieć, co mówię?! - denerwowałam się.

Panowie najwyraźniej mieli kłopoty ze zrozumieniem. Pytającym wzrokiem spoglądali ma siebie i robiąc głupie miny, wzruszali ramionami. Zrezygnowałam. Nie miałam żadnych

szans w starciu z męską solidarnością. Przymierze między moim bratem a sąsiadem widoczne było gołym okiem. Z doświadczenia wiedziałam, że wszystko co powiem, będzie obrócone przeciwko mnie. Szkoda czasu na jałowe tłumaczenia i próbę zamknięcia drzwi przed wścibskim nosem Marka. Uznałam, że jego obecność właściwie jest pożądana. Ostatecznie mogłabym być oskarżona o przetrzymywanie Anieli siłą. Świadek zawsze się przyda, a w ciemne sprawy naszej rodziny Zawilak i tak jest chyba wtajemniczony, wiedząc o nich więcej niż my.

- Jest! Jest! Jest! Pani Ewo, znalazłam go! Był pod samą ścianą. Jeszcze się pali, uparciuch - wołała z kuchni ucieszona Aniela.

- Co tu się dzieje? Wyrwałaś mnie z rady tym bezsensownym telefonem. Zapomniałaś, że mam obowiązki publiczne? Obetną mi dietę... - martwił się Adam. - Nie mogłaś poczekać, aż posiedzenie się skończy?

- Posiedzenie, posiedzenie - przedrzeźniałam go. - Siedzieć na tyłku, brać kasę za nic to potrafisz! Tu są ważniejsze sprawy! Ojciec szaleje... Rozdaje pieniądze na prawo i lewo... I to jakie! Za tyle to mógłbyś leżeć, nie siedzieć. Twój przyjaciel coś o tym wie, prawda? - syczałam w stronę Marka. - Dobry sąsiad pomaga starszym ludziom w ograbianiu ich własnych dzieci! Naprawdę, godna postawa, jestem pod ogromnym wrażeniem - wykonałam teatralny ukłon w stronę osłupiałego Marka. Nie poznawałam samej siebie. Widocznie nikotyna rzeczywiście podziałała, może nawet trochę za bardzo. Adam chwycił mocno moje ramię i wywłókł mnie z kuchni. W przedpokoju naradzaliśmy się konspiracyjnym szeptem, co właściwie powinniśmy teraz zrobić. Kiedy jednak padła kwota zapisu, jaki ojciec poczynił na rzecz Anieli, mój braciszek stracił równowagę i chwiejąc się na ugiętych nogach, uczepił się mojej bluzki.

- Zgłupiałaś do reszty? - pytał retorycznie. - Ile? Powtórz!
- Pięćdziesiąt tysięcy złotych... - wyszeptałam.
- O kurwa! - wrzasnął.
- Uspokój się, to nie jej wina - łagodziłam.
- Stary satyr, jak Boga kocham! Skąd je wziął u licha? Takiej kwoty nie uzbierał przecież z emerytury!
- Nie krzycz tak! No właśnie! Pomyślałam, że najwyższy czas, aby wejść do tego pokoju. Boję się, co tam znajdziemy, ale trudno, nie mamy innego wyjścia.
- Trzeba wyważyć drzwi - miotał się Adam, który już na szczęście odzyskał siłę w nogach i uwolnił moją bluzkę z uścisku spoconej z emocji dłoni.
- Ale z ciebie raptus. Nic nie będziemy wyważać. Aniela ma klucze! Otworzymy te cholerne drzwi w cywilizowany, ludzki sposób - informowałam go rzeczowo.
- Klucze... O, to jest myśl - ucieszył się.

Przekonani o słuszności swoich poczynań, wróciliśmy do kuchni. Aniela z Markiem siedzieli przy stole, paląc papierosy. Podeszłam do nich i bez słowa wyciągnęłam prawą dłoń w stronę dziewczyny. Wystraszona spojrzała pytającym wzrokiem na Zawilaka, który dostojnie potaknął głową, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że musi dostosować się do naszej woli. Z głębokim westchnieniem położyła na mojej dłoni upragniony przedmiot.

- Jeśli pozwolicie, chętnie pójdę z wami - zaoferował się Marek.
- No dobrze... - zgodził się Adam.

Papuzki nierozłączki? Widocznie tak już musi być. Pozbawiony najbliższej rodziny Marek, Ignął do nas jak rzep do psiego ogona. W innej sytuacji nie zgodziłabym się na jego udział w tej wyprawie. Ciągle jednak gryzło mnie sumienie i zdawałam sobie sprawę z naszej nieetycznej postawy.

Ściskając klucz, stałam przed drzwiami pokoju. Zimny metal przyjemnie chłodził dłoń. W czasie choroby mamy przychodziłam tu do niej, siadałam na podłodze obok toaletki (tej samej, która teraz stoi w moim pokoju) i kładłam głowę na jej kolanach. Mama godzinami przesiadywała przed lustrem i delikatnie czesała długie, rzadkie włosy, tak jakby tych włosów było jej jedynie żal. Wiedziałam, że muszę się śpieszyć, że zostało nam mało czasu. Chłonełam każdy szczegół tych, jakże intymnych, chwil zbliżenia matki i córki. Pod frotowym szlafrokiem wyczuwałam leciutkie drżenie kościstych kolan. Ona wpatrywała się zamglonymi oczami w lustro, a smutny, ledwie zauważalny uśmiech nie schodził z jej bladej, zmęczonej cierpieniem twarzy. Gładząc moje bujne włosy, wsuwała palce w sploty warkoczy. Czułam ból... Przerażliwy, przesywający całe moje dziecięce ciało... Tłumiłam łzy, które uparcie cisnęły się pod powiekami. Ciepłe ręce w dziwacznej, rozpaczliwej matczynej pieszczocie drapały moją głowę do krwi... Minęły lata, a ja ciągle, czesząc włosy, sprawdzam, czy na czole nie pozostały mi wyryte bruzdy, świadectwo prawdziwości jej istnienia. Czuję jej dotyk, zapach perfum pomieszany z odorem moczu i środków przeciwbólowych... Umarła w szpitalu. Siedziałam z Adamem na schodach obok drzwi jej pokoju. W rękach trzymałam różaniec, nie potrafiłam jednak zmówić modlitwy, mimo to obracanie maleńkich kuleczek w palcach przynosiło ulgę i ukojenie. Ojciec wrócił wcześniej niż zazwyczaj. Rozsunęliśmy się, aby zrobić mu miejsce, wolną drogę ku górze... „Już po wszystkim”. Powiedział. Wyjął klucz z kieszeni płaszcza i nie patrząc na nas, zamknął pokój mamy. Teraz, po tylu latach staliśmy znów w tym samym miejscu, czując ten sam niepokój i bezradność.

Czuję się jak złodziej - wyszeptał Adam. - Cholera jasna, że też musimy to robić...

- To dla jego dobra! - tłumaczyłam, a tak naprawdę, chciałam usprawiedliwić się sama przed sobą. -

Boję się, że w coś się wplątał... Może mieć poważne kłopoty...

- Rozumiem was - Marek starał się okazać mam wsparcie.

- Co ty tam wiesz - już miałam mu wygarnąć, że całe życie nie interesował się sprawami własnego ojca, ale w porę ugryzłam się w język.

Zdecydowanym ruchem przekręciłam klucz w zamku. Drzwi trzynastej komnaty były otwarte, wystarczyło nacisnąć kłamekę, aby poznać jej tajemnicę.

Rozdział 44

Nie miałam pojęcia, która mogła być godzina. Leniwe krople deszczu miarowo stukały o szyby okna. Delikatnie wysunęłam się spod kołdry i starając się nie hałasować, wstałam z łóżka. Nie zapaliłam światła, po omacku, bosymi stopami wyczuwając chłód podłogi, powoli przesuwałam się ku siedzisku w wykuszu. Osłaniałam nagie piersi, jakby były najcenniejszym skarbem. Po drodze udało mi się namacać przewieszony przez poręcz krzesła sweter. Okryłam nim plecy i usadowiłam się na miękkich poduszkach. Podciągnęłam kolana pod brodę, oplótłam je ramionami i skulona, wtulona w swoje ciało, szukałam wytłumaczenia własnego postępowania. Nie słyszałam żadnych odgłosów, które mogłyby upewnić mnie, że w pokoju nie jestem sama. Cichy szum deszczu z pewnością mógł zagłuszyć równomierny, ludzki oddech.

Rozpamiętywałam wydarzenia wczorajszego dnia. Okazało się, że tata przekształcił pokój mamy w nowoczesne centrum dowodzenia, biuro jakiego nie powstydziliby się żaden biznesmen. Z niewypowiedzianym wprost zaskoczeniem wpatrywaliśmy się w wiszący na ścianie wielki, płaski telewizor, komputer, zastawione książkami regały. Na ścianach wisiały trzy olbrzymie, olejne obrazy przedstawiające młodą, piękną kobietę w erotycznych pozach.

- Jasna cholera! - szeptał Adam. - Przyjrzyj się, czy to nie mama?

- Jak żywa... - jęknęłam. - Boże, jak on mógł...
- Nie przesadzajcie - Marek nie podzielał naszego oburzenia. - W tych obrazach nie ma nic uwłaczającego, są piękne.
- Zamknij się! - krzyknęłam. - Ocenę zostaw nam.
- Przepraszam... Chciałem tylko... - nie dokończył.

Adam włączył komputer, Marek rozsiadł się na gustownej, skórzanej kozetce, a ja przeglądałam zgromadzony przez tatę księgozbiór i całkiem okazałą płytotekę. W nadal otwartych drzwiach stała ubrana w kurtkę Aniela.

- Pani Ewo - zwróciła się do mnie. - Chyba już pójdę. Nie jestem tu już potrzebna...
- Poczekaj - prosiłam. - Wy tłumacz nam, o co tu chodzi...? Dlaczego właśnie tak?

Przysiadła na skraju kozetki.

- Tego nie wiem - przyznała. - Państwo przecież dobrze znacie pana Piotra. On nie posiedzi spokojnie. Musi wiecznie coś robić. A co może robić samotny mężczyzna w wielkim, pustym domu? No i znalazł sobie zajęcie. Kupił komputer i zaczął czatować. Może to w jego wieku śmieszne, nie wiem, ale prawdą jest, że poznałam go właśnie dzięki czatom. Byłam załamana, w ciąży sama i znikąd pomocy. Chciałam popełnić samobójstwo... - ściszyła głos. - No, nie tak do końca, ale myślałam o tym... Zaczęłam z nim rozmawiać i nagle okazało się, że mój problem nie jest niczym nadzwyczajnym, a życie szykuje dla mnie jeszcze wiele miłych i niemiłych niespodzianek. Tłumaczył, perswadował. W końcu zaproponował mi przyjaźń i pomoc finansową, żebym tylko się nie załamywała i cieszyła rozwijającą się we mnie istotką. Po trzech miesiącach okazało się, że mieszkamy w tym samym mieście. Odwiedził moich rodziców, omówił z nimi formy pomocy. Od tej pory pracuję u niego.
- Skąd on ma tyle pieniędzy? - zastanawiał się Adam, odwracając się od komputera.

- To nie moja sprawa - broniła się Aniela.

- Nie chcesz, nie mów. Piwnicę mamy dużą... Za kilka dni zmięknie... - straszyla ją.

Nie starała się ukryć satysfakcji, jaką czerpała z naszej niewiedzy dotyczącej życiowej drogi ojca.

Wiedziała nawet o przedwojennym rodzinnym majątku. Dumnie relacjonowała nam, dlaczego tata został w kraju pod opieką bezdzietnej ciotki, kiedy cała rodzina uciekała, przewidując nadciągającą grozę wojny. Był po prostu za mały żeby można było narażać go na trudy podróży przez ocean. Te marne dolary które mama zbierała ze świątecznych kartek z życzeniami, przesyłał z Ameryki brat ojca - Czesio. I ten Czesio umarł. Umarł bezpotomnie. A majątek został spory zgromadzony przez niego i naszych dziadków. Jedynym sukcesorem tej znacznej fortuny okazał się nasz rodzic. Kilka lat temu udało mu się zakończyć sprawy spadkowe, popłacić podatki i już mógł swobodnie dysponować gotówką. Postanowił skorzystać z pieniędzy nic na razie nie mówić i dopiero po swojej śmierci zrobić nam niespodziankę. Ale żebyśmy byli jeszcze bardziej zdumieni i nie mieli go za obiboka i niedorajdę, postanowił powiększyć spadek. Od dłuższego czasu gra na giełdzie, podobno z bardzo dobrym skutkiem.

Czułam się oszukana, zdradzona. Nie bacząc na jego trudny charakter, akceptowałam ojca, nigdy nie podejrzewałam go o brak lojalności w stosunku do nas. Biedny Adam chodził po pokoju mamy, prawie wyrywając sobie włosy z głowy. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ojciec nie wsparł go materialnie w chwilach, kiedy naprawdę tego potrzebował. Pukał się w czoło zwiniętą w pięść dłonią.

- Udzielał mi dobrych rad... Szczyt bezczelności! Człowiek nie ma co wsadzić do garnka, a on rozdaje... Zaraz, zaraz... - przystanął i zastanawiał się. - Przecież my również jesteśmy spadkobiercami. Jak to się stało, że nas nikt nie zapytał o zgo-

dę? Już ja się dowiem, staruszk... O, tak dobrze to nie będzie! Oddasz, co nasze. Do sądu pójdziemy! Nie popuszczę!

Próbowałam go uspokoić, tłumacząc, że czy ojciec chce, czy nie, to kiedyś wszystko będzie nasze.

- No nie wiem... Skąd masz pewność, że nie zapisze Anieli lub Markowi?

- Adam, ja mam swoje. Mnie nie potrzeba, a zresztą, wszystko zostanie w... - Marek nie dokończył.

- Hola, hola... To, że nasza ciotka puszczała się z twoim ojcem nie czyni nas jeszcze rodziną. Za dużo sobie wyobrażasz. Mieszasz się w nasze sprawy? Pilnuj swojego nosa i własnych interesów - radził mu rozjuszony Adam.

- Dobrze, dobrze... Po co te nerwy? Nic nie mówiłem - podniósł ręce w geście poddania.

Uznałam tę demonstrację za teatralną i całkowicie zbyteczną.

Aniela musiała wracać do domu, pora zrobiła się późna. Adam zadzwonił po Grażynę, która przecież również należała do naszej rodziny i jako synowa miała pełne prawo uczestniczyć w sądzie nad tatą, jaki wyprawiliśmy w kuchni. Marek nie miał prawa głosu, ale miał piwo i to w sporych ilościach. Siedzieliśmy przy tym piwie, uzgadniając strategię, w jaki sposób zmusić tatę do pomocy Adamowi. O trzeciej w nocy mój brat nie potrafił już wymówić ani jednego zrozumiałego dla reszty biesiadników słowa. W tej sytuacji Grażyna, jedyna trzeźwa, była zmuszona zakończyć pijacką libację, w jaką przekształciła się nasza rodzinna narada. Pomogłam jej zapakować Adama do samochodu, a kiedy odjechali udałam się chwiejnym krokiem do swojego pokoju. Do tej pory wydarzenia miały dynamiczny przebieg, sensacyjną otoczkę, ale były dla mnie zrozumiałe. Mój dramat rozpoczął się później, w chwili, kiedy zdjęłam bluzkę i spódnice.

Ciche pukanie do drzwi. W popłochu rozglądałam się za szlafrokiem. Musiał zostać na dole w łazience, bo nie zauważyłam go na fotelu ani na krześle. Klamka naciśnięta z drugiej strony, jęknęła przeciągle. Drzwi otworzyły się. Miałam na sobie bieliznę, ale czułam się całkowicie naga. Wypity alkohol spowolnił reakcję i zanim zdecydowałam się zasłonić zdjętą przed sekundą spódnicą, mój gość zdążył mnie sobie dokładnie obejrzeć. Widocznie spodobało mu się to, co zobaczył, bo przymilnym głosem zapytał:

- Mogę?

- Proszę...

Właściwie na co się zgodziłam? Nie jestem nastolatką, nie powinnam okłamywać samej siebie. Zgodziłam się pod wpływem piwa, potrzeby czułości, odczuwanej samotności, zazdrości, że inne kobiety spędzają tę noc przy boku kochającego mężczyzny. Uległam, nie próbując przewidzieć konsekwencji, wpływu tych krótkich miłosnych uniesień na resztę mojego życia. Oddałam się seksowi jak nienasycona nimfomanka. Chłonełam ciepłe, męskie ciało, nie myśląc o świcie, który nieuchronnie sprawi, że spojrzymy sobie w oczy i będziemy musieli wyjaśnić krepującą sytuację. Skulona, zmarznięta, z poczuciem winy, siedziałam w wykuszu, układając przemowę, jaką wygłoszę, kiedy mój kochanek otworzy oczy. Zrozpaczona gładziłam łydki, starając się pobudzić krążenie. Lekki, pulsujący ból głowy, niemila konsekwencja wypitego piwa, przeszkadzał w zebraniu myśli i wyciągnięciu odpowiednich do nowego stanu rzeczy wniosków. Wpuszczając go do łóżka, działałam instynktownie, teraz mam prawo działać impulsywnie.

- Wynocha! - wrzasnęłam w nocną ciszę. - Już cię tu nie ma! Widocznie nie spał, bo podniósł się i po omacku zbierał swoje rzeczy. Ubierał się wolno. Wpatrywałam się w jego cień, ma-

jaczący jak nierealna zjawą. Serce biło mi głośno, zagłuszając dźwięki towarzyszące jego krzątaniu. Wychodząc, zatrzymał się, wyczekując na zmianę mojej decyzji. Milczałam. Dopiero kiedy usłyszałam leciutkie trzaśnięcie wejściowych drzwi, rozplakałam się. Samotność i pustka wciągały mnie swoimi lepkiemi mackami na dno rozpacz. Już nie rozcierałam łydek, ale rozczapierzonymi palcami orałam swoje ciało, zadając sobie fizyczny ból, który mógłby zagłuszyć wycie serca, mojego jestestwa, które w tej chwili odczuwałam namacalnie.

Nikłe światło świtu rozjaśniło wnętrze pokoju. Nowy dzień, nie bacząc na rozterki mojej duszy, wdzierał się przez grube zasłony i uzmysłowił mi, że niezależnie od tego, jakie koleje losu życie dla mnie jeszcze przygotowało, muszę zebrać wszystkie siły i nadal spełniać swoje maleńkie obowiązki. Dźwięk budzika otrzeźwił mnie zupełnie, przywołując do rzeczywistości. Czas zapomnieć o miłosnej, nocnej przygodzie i wyruszyć do pracy.

Rozdział 45

Czując irracjonalny lęk przed spotkaniem z Markiem, zrezygnowałam z porannego prysznica. W domu panowała idealna cisza, prawdopodobnie mój nowy kochanek nie powrócił jeszcze z nocnego spaceru. Po jego wyjściu nie zmrużyłam oka, jednak nie usłyszałam odgłosu otwieranych drzwi. Całkiem możliwe, że wślizgnął się bezgłośnie jak wąż. Wolałam unikać niezręcznych sytuacji i nie kręcić się w miejscach, gdzie istniało wielkie prawdopodobieństwo napotkania naszego rezydenta. Ubierając się, rozważałam, czym mogłam sprowokować jego zachowanie. Nie był to gwałt, uległam bez walki, mimo to miałam poczucie, jakbym została wykorzystana wbrew swojej woli. Seks zawsze łączyłam z miłością i chociaż tyle lat przeżyłam w nieformalnym związku, rozgrzeszałam się głębokim, gorącym uczuciem. Tym razem nie potrafiłam znaleźć logicznego usprawiedliwienia, a wciąż intensywny na moim ciele zapach mężczyzny stał się swoistą karą za grzechy, którą potęgował brak swobodnego dostępu do łazienki. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina... W kiosku przed przychodnią kupiłam szczoteczkę i pastę do zębów. Dreszcze spowodowane zmęczeniem, kacem, niesmakiem i jesiennym chłodem wstrząsały moim ciałem. Siostra Joanna przywitała mnie zdawkowo, nie podnosząc oczu znad biurka. Ona również wyglądała nieszczególnie.

- Coś się stało? - zapytałam pierwsza, żeby uprzedzić pytania z jej strony.

Dwie zagubione kobiety... Jak prostytutki po pracowitej nocy potrzebowałyśmy z całą pewnością oczyszczającej kąpieli i wypoczynku. Widocznie jednak zmartwienia Joanny były znacznie poważniejsze niż moje, bo rozpląkała się, rozpaczliwie szukając chusteczki do nosa.

- Och, pani doktor, nie mam już siły... - żaliła się cicho. - Nie wiem, co zrobię... Ja go kiedyś zabiję... W uchylonych drzwiach pokazała się głowa Krystyny. Rozejrzała się i bez wahania weszła do środka. Z miną znawcy oglądała mnie ze wszystkich stron, jakby szukała potwierdzenia swoich przypuszczeń. Musiała wykorzystać taką okazję.

- No... no... no... A któż to? Jakież to samiec odważył się dotknąć naszej zimnej, wyniosłej pani doktor? W tym parszywym grajdołku znalazł się taki śmiałek? - uśmiechała się serdecznie.

Jej słowa może by mnie uraziły, gdyby nie żółty, nieprzemakalny płaszcz, który miała na sobie.

Wytwarzał on radosną, nieprzepuszczającą zgryźliwych uwag aurę. Doktor Marwic-ka przypominała dziś dobrą wróżkę, która potrafi odgadywać ludzkie problemy i leciutko pstrykając palcem, powodować natychmiastowe ich rozwiązanie.

- A ty Aśka czemu beczysz? - spojrzała na pielęgniarkę. - Dawno ci mówiłam, żebyś puściła go kaniem. Pieprzyć go! Pakuj walizki i przychodź do mnie!

Nie owijała w bawełnę, bez wahania stawiała diagnozę, serwując błyskawiczną terapię.

- Nie martwcie się, pacjenci was kochają, macie pełną poczekalnię - pocieszała nas. - Może to miłość bez wzajemności, ale zawsze miło wiedzieć, że komuś na nas zależy! Aśka, widzę cię u mnie! Nawet nie próbuj się wymigać! A ciebie, Ewuniu,

zabieram dziś na obiad! Wyśpiewasz mi wszystko... Już ja się o to postaram. A, zapomniałam...

Kokardki macie? - zapytała.

- Jakie kokardki? - zdziwiłam się.

- Mogłam się tego po tobie spodziewać. Ach, ci zakochani... - Krystyna kręciła głową. - Pogotowie strajkowe skarbie! Wróć do rzeczywistości, bo nam miejsca pracy zlikwidują!

- Mam te cholerne kokardki. Zrobiłam je wczoraj. Dla doktor też jest - siostra Joanna przeglądała swoje kieszenie. - Szpilek nie mam - mówiła rzeczowo.

- Dobrze, zaraz ktoś je wam przyniesie. Doprowadźcie się do porządku, upadłe niewiasty! Głowy do góry! - radziła dobra wróżka i przesyłając mi całusa dłonią, wyszła tanecznym krokiem.

- Pani Asiu... - zaczęłam niepewnie. - Może pani przeprowadzi się do mnie? Byłoby mi różnie... Dom jest naprawdę duży.

Egoistycznie przewidywałam, że obecność Joanny miałaby dla mnie zbawienne znaczenie.

Skutecznie uniemożliwiłaby Markowi kontakty ze mną, musiałby się liczyć z obcą osobą w domu i zapewne zabrakłoby mu śmiałości, aby odwiedzać mój pokój.

- To nie tak, pani doktor - tłumaczyła. - Gdyby miał pracę... Wszystko wyglądałoby inaczej, a tak to całymi dniami włóczy się bez celu... Z nudów to i pić się chce, i coś zmajstrować... Mieszkać mam gdzie, pieniędzy tylko brakuje... Stąd te kłopoty.

- Właśnie rozpoczynam wielki remont. Potrzebni mi fachowcy. Chcę zrobić łazienkę, odnowić całe piętro. Dobrze zapłacę, a pracy będzie co najmniej na miesiąc. Myśli pani, że da sobie radę?

- Pewnie, że da! To taka złota rączka. On wszystko potrafi, zobaczy pani. W domu jak tylko jest parę groszy, zaraz coś

zmienia i ulepsza. O Boże, z nieba mi pani spadła! Jak ja się pani odwdzięczę? - promieniała.

- Byłby sposób - kułam żelazo póki gorące. - Szukam również kogoś do sprzątnia. Aniela szykuje się do wesela, kręci nosem, twierdząc, że sama się nie wyrobi. Potrzebuje pomocy. Znasz naszą Anielę?

- Pewnie, że znam. Jej ojciec jest kuzynem Krzyśka. Tu wszyscy jak jedna rodzina. Chętnie jej pomogę. Niech pani się nie obrazi, ale muszę zapytać...

- Słucham - mówiąc, wyciskałam pastę na szczoteczkę.

- Czy mogłaby pani zapytać o pracę sąsiada, Zawilaka? On podobno sprowadza robotników z Niemiec, a przecież tu tylu mężczyzn bez roboty...

Szczoteczka wypadła mi z rąk.

- Powiedziałaś coś nie tak? - przestraszyła się siostra Joanna i dopiero teraz przyjrzała mi się dokładnie.

- Wszystko w porządku - próbowałam wyjść z twarzą z całej opresji.

Podniosłam szczoteczkę i rozglądałam się za jakąś ścierką. Ja to mam wyjątkowe szczęście... Ledwie położę się z kimś do łóżka, zaraz ustawiają się do mnie kolejki z prośbą o protekcję. Ode mnie nikt niczego nie potrzebuje, a szkoda. Widocznie to moja wina. Dobieram sobie wpływowych facetów.

- Posprzątam... - zaofiarowała się siostra.

Patrząc, jak sprawnie operuje szmatą, starałam się wczuć w jej położenie. Szybko jednak wróciłam do swoich zmartwień, bo nie jesteśmy w stanie rozwiązać cudzych problemów, a i ze swoimi mamy przeważnie nie lada kłopot. Zamiana miejscami zdarza się jedynie w bajkach, ale i w nich swoiste kalosze szczęścia nikomu nie mogą dać radości, bo tylko tam, gdzie nas nie ma, spełniają się marzenia. Szczęście absolutne nie jest przewidziane. „Żyli długo i szczęśliwie” nie oznacza braku

codziennych problemów i zmagania z niezycielwym losem. Czy żyli długo, umiejac radzić sobie z przeciwnościami, wspierac się nawzajem, darzyć miłością mimo upływu lat i przemijania urody...? Trudno, jestem skazana na istnienie wyłącznie we własnym, starzejącym się ciele i niezależnie od mojego stosunku do samej siebie, muszę wytrwać ze sobą do samego końca. Biorąc to pod uwagę, zastanawiałam się, co dalej... Chowanie głowy w piasek, unikanie Marka, świadczy o mojej niedojrzałości, bo tak właściwie przed czym stchórzyłam? Bałam się nowych doświadczeń i rozczarowań? Noc ośmieliła mnie, a jego bliskość zapewniła poczucie bezpieczeństwa i uwolniła drzemiacą, nagromadzoną we mnie czułość. Nowy partner okazał się delikatny bardzo subtelny i nad wyraz wyrozumiały dla mojej nieporadności. Bojąc się oceny popełniałam podstawowe błędy w *ars amandi*. Jemu jednak nie przeszkadzało moje skrepowanie. Odniosłam wrażenie, jakby chciał się mnie na-wdychać, nacerpać, zachować na później. Rozkoszować mną do woli. Tego dnia pracowałyśmy w skupieniu, nie rozmawiając w wolnych chwilach o prywatnych sprawach. Pochłonięte myślami, próbowałyśmy znaleźć rozwiązanie, jakże różnych, naszych problemów. Czarne kokardki na fartuchach znakomicie oddawały nastrój panujący w naszym gabinecie, który jednak nie był związany z troską o przychodnię. Przed przyjęciem ostatniej pacjentki podjęłam decyzję. Zadzwońlam do Krystyny, odwołując wspólny wypad za miasto.

- Nie ma sprawy. Życzę ci powodzenia w miłosnych negocjacjach. Stara przyjaciółka nie może konkurować z nowym kochankiem.
- Jesteś obrzydliwa! - udawałam zbulwersowaną jej insynuacjami, które okazały się bardzo trafne. - Do niczego nie doszło - kłamałam jak z nut.

- Co ty powiesz? - zdziwiła się szczerze. - Czyżby zawiodła mnie moja kobieca intuicja? Ewo! Nie ze mną te numery. Mówiąc już poważnie - zmieniła ton głosu - dobrze się zastanów, bo czasem wsłuchani w siebie, nie jesteśmy w stanie zorientować się, że szczęście pukało do naszych drzwi. Osobiście nie znam faceta, ale wygląda bardzo przyjemnie, pewnie potrafi docenić walory miłej pani doktor. Nic na siłę i nic pochopnie -prosiła.

- Uwagi przyjął - odparłam służbowo. - Zobaczymy... Sama nie wiem, co z tym fantem zrobię...

- Cholera jasna! - złościła się Krystyna. - Staję się chyba zrzędliwą staruchą... Nie słuchaj mnie, rób po swojemu i pamiętaj, ważne jest, żebyś to ty była zadowolona.

Słońce prześwitywało przez rzadkie chmury. Wszystko w świetle jesiennego dnia wyglądało inaczej niż nad ranem. Zastanawiałam się nad słowami Krystyny. Pomimo agresywnego nastawienia do Marka, byłam zadowolona!

Rozdział 46

Cały dom pachniał obiadem. Intensywny zapach gotujących się kalafiorów pobudził zmysły i sprawił, że żołądek zaczął domagać się pożywienia. Uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem głodna, ale i tak nie mogłabym zmusić się do jedzenia. Rozbierając się w przedpokoju, wołałam w stronę kuchni:

- Anielu, zrób mi małą, mocną kawę!

- Nie ma kawy! Jest obiad! - odkrzyknęła mi.

- Jak to? Nie ma kawy? - dziwiłam się, wchodząc do kuchni. Usiadłam na swoim ulubionym miejscu.

Wpatrywałam się

w okno, ciekawie obserwując robotników krzątających się po drugiej stronie płotu.

- To prawda, że Zawilak zatrudnia Niemców? - spytałam wszystkowiedzącą Anielę.

- Czego to ludzie nie wymyślą, żeby tylko komuś dokopać - dziwiła się. - Zaraz zatrudnia... Są tam tacy dwaj, jacyś jego kolesie. Dokładnie nie wiem, ale ten Tony to Polak, z Kaszub pochodzi.

Wyemigrował, jak mnie jeszcze na świecie nie było. Czasem z nim pogadam. Rozmawiała pani z rodowitym Kaszubem? Taki to szwargoli. Mówi niby po polsku, a słowa nie można zrozumieć.

Filozofię tu skończył i teraz do woli filozofuje we własnym narzeczu. Twierdzi, że stworzył nowy język. Nowomową go nazywa, taki niby Orwell z niego. Śmieszny gość! Na pana Marka mówi - Wielki Brat Patrzy... Ale chyba go lubi,

bo często stawia mu piwo. Oni to mogą wypić, podziwiam ich. A dlaczego pani pyta? Chce ich pani tu zatrudnić? Nie wiem, czy dadzą radę, ale fachowcy dobrzy, co prawda, to prawda. Wszystko z niemiecką dokładnością. Powoli, ale dokładnie -taką mają dewizę. Dewiza? Dobrze mówię? -
upewniała się.

- Dobrze - potwierdziłam.

- No, to teraz, jak pan Marek wyjechał, chyba chętnie przyjdą na fuchę, bo każdy grosz się liczy, a oni popołudniami nie mają tu co robić. Do restauracji nie chodzą, nie podoba się im. Nie dziwota, to prawdziwa mordownia. O właśnie! Tam pani znajdzie chętnych do pracy. Sami bezrobotni w niej przesiadują, wiadomo, mają dużo czasu, im się do niczego nie śpieszy...

- Marek wyjechał? - zdołałam wtrącić, kiedy Aniela łapała oddech.

- No... - odparła wyjątkowo lakonicznie. - Podać obiad?

- Nie jestem głodna - stwierdziłam. - Zjem razem z Markiem.

- No, nie wiem... Ja na pani miejscu bym się jednak posiliła... Podobno bez jedzenia można wytrzymać nawet miesiąc, ale schudnie pani na wiórek... - mówiła, owijając w bawełnę.

- Wyjechał na miesiąc? - skrzywiłam się z niedowierzaniem.

- Na dwa, trzy tygodnie... - Aniela dawkowała mi informacje.

- Ty mnie nie denerwuj! - złościłam się. - Mów do jasnej cholery! Wszystko, co wiesz...

- E, co mi tam! Pan Marek nie kazał mi trzymać języka za zębami, a jak chciał, żeby to była tajemnica, to powinien! Zrobię kawę. Napijemy się, a ja wszystko pani opowiem.

- To mamy kawę? - zaskoczyła mnie.

- Oczywiście, że mamy! Mówiłam tak, bo chciałam, żeby pani zjadła ciepły, świeży obiadek, ale widzę, że nic z tego nie będzie.

Coś mi się wydaje, że pan Marek załaził pani za skórę i dopiął swego - śmiała się ze mnie, ta mała słodziutka smarkula.

Bardziej niż powody raptownego wyjazdu Marka, interesowało mnie słówko „dopiął”. Aniela uparcie wmawiała mi, że powinnam być szczęśliwa, bo jeżeli mężczyzna się „uprze” na kobietę i stara się ją zdobyć, zrobi wszystko, aby jej dogodzić.

- Co za słownictwo? - grymasiłam. - Sprecyzuj „dogodzić”, jakoś źle mi się ten wyraz kojarzy.

- Chodzi o starania, takie gry miłosne. Faceci potrafią być naprawdę mili, zwłaszcza jeśli zależy im na osiągnięciu celu - wyjaśniała.

- A jakież to cel ma Zawilak, że się „uparł” i ma mi „dogodzić”? - nie mogłam zrozumieć.

- No, nie... - denerwowała się Aniela. - Niech pani nie udaje! On wszystko robi dla pani...

Pogubiłam się w tej naszej zaszyfrowanej pogawędce.

- On? Dla mnie? A co on takiego dla mnie zrobił, dzięki czemu mógłby „dopiąć” celu? - pytałam najpoważniej w świecie.

- Lepiej będzie, żebym już nic nie mówiła. Sama pani zobaczy, no Chyba że się pani „uprze”, a wtedy to wszystko będzie dla innej - ostrzegła mnie.

Z tej dziwacznej rozmowy niewiele dowiedziałam się o wyjeździe Marka. Rano spakował rzeczy i wyniósł się z naszego domu. Powiedział, że wróci za dwa, trzy tygodnie, a ja przez ten czas mam się porządnie zastanowić, bo lata lecą, a on nie będzie czekał na moją decyzję aż do śmierci. Wściekłam się. Wprawdzie Aniela mogła coś przekreślić i nieprecyzyjnie powtórzyć jego słowa, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że jego nastawienie do mnie było negatywne. Może i on czuł się skrepowany wydarzeniami ostatniej nocy. Może tak jak ja działał pod wpływem chwili i rozpaczliwego krzyku samotności. Im dłużej analizowałam obecną sytuację, tym śmielej do-

puszczałam do siebie myśl, że nie była to najgorsza, spędzona z mężczyzną, noc w moim życiu. Wręcz przeciwnie! Nigdy dotąd nie doznałam takich uniesień. W chwili, kiedy byłabym gotowa zaakceptować ten związek i przyjąć do wiadomości, że miłość wymaga wzajemnych poświęceń, kompromisów i tolerancji, mój książę z bajki odjeżdża w swym srebrnym rumaku, zostawiając mnie z rozterkami i z niesmakiem. Trudno, nie pozostało mi nic innego, jak zapomnieć o wszystkim i zająć się mniej romantycznymi sprawami.

Poprosiłam Aniełę, żeby sprowadziła tego Kaszuba, może uda mi się z nim dogadać w starej, polskiej mowie. I udało się! Widocznie pobyt w Polsce pomógł mu odświeżyć pamięć, bo czystą, piękną polszczyzną ustalił ze mną warunki remontu. Był to człowiek około pięćdziesiątki. Gładko wygolony, ubrany nad wyraz schludnie, zupełnie tak, jakby miał zaraz iść do kościoła. Nazywał się Tomasz Wiryg i rzeczywiście pochodził z Kaszub. Miał filozoficzne podejście do życia, ale jeśli chodziło o sprawy budowlane, był precyzyjny jak szwajcarski zegarek. Rozmawiał ze mną konkretnie, twierdząc, że zdąży wykonać wszystkie prace w umówionym terminie, jeżeli najemę dodatkowo dwóch ludzi. Zostawił numer telefonu, co wydało mi się śmieszne, ponieważ wystarczyło otworzyć którekolwiek wychodzące na zachód okno i mówić lekko podniesionym głosem, a w sąsiednim budynku wszyscy wiedzieliby, o czym rozmawiamy w naszym domu. Bezpłatna, bezprzewodowa komunikacja.

Rozdział 47

Usiadłam przed toaletką mamy i bez potrzeby rozczesywałam krótkie włosy. Przez uchylone okno docierały odgłosy ulicy. Masaż głowy sprawił, że poczułam senność. Mogłam oglądać telewizję, czytać książkę lub iść na spacer. Wybrałam czwarte wyjście. Postanowiłam się zdrzemnąć, odespać tę noc i chociaż na krótko zapomnieć o wszystkich problemach, które z perspektywy mijającego dnia powoli traciły na swojej mocy, stając się śmieszne, wydumane. Cisza pustego domu dzwoniła mi w uszach. Oto błogi stan szczęśliwości! Niczego nie muszę robić, o niczym myśleć, z nikim rozmawiać. Przed pulsującym gdzieś życiem strzegą mnie grube ściany domu, skutecznie odgradzające od wszelkich trosk, ale również nieprzepuszczające jakiegokolwiek radości. Wolna, nieskrepowana żadnymi więzami, istniejąca dla własnej przyjemności. Wypełniając całą, przeznaczoną dla dwóch osób przestrzeń łóżka, rozkładałam ręce i nogi tak, jak to robiliśmy z Adamem w dzieciństwie. Leżąc plecami na świeżym śniegu, przesuwałam jednocześnie wszystkie kończyny, rzeźbiąc w białym puchu podobizny orła. Śliskie, atlasowe prześcieradło zwinęło się pod naporem rytmicznych ruchów, przypominając zwinięty naleśnik. Nie przeszkadzało mi to smuć dalszych rozważań. To ja! Niepowtarzalna, jedyna... I prawdopodobnie uwierzyłabym, że jestem szczęśliwa, gdybym na mojej poduszce nie poczuła zapachu Marka.

Podskoczyłam jak przestraszona suka, która broniąc pełnego szczeniąt gniazda, natrafia na woń intruza. Zrozpaczona przenosi w pysku swoje potomstwo, zaciera ślady, maskując dostęp do nowej kryjówki.

Rozdygotana zdejmowałam powłoczki z pościeli, wściekłymi ruchami rzucając je na podłogę. Spływające po policzkach łzy wycierałam wierzchem dłoni. To nie pełnia szczęśliwości - to samotność! Obrzydliwa, wstrętna, dzwoniąca ciszą w uszach samotność opuszczonej, niepotrzebnej, czterdziestoletniej kobiety.

- Jestem na tyle mądra, żeby umieć nazwać rzeczy po imieniu i na tyle głupia, żeby bać się wypełnić pustkę nowym uczuciem - krzyczałam, wiedząc, że nikt mnie nie usłyszy.

Rzuciłam się na rozbebeszone łóżko, skuliłam jak embrion w brzuchu matki. Starłam się oddychać równomiernie, by uspokoić wstrząsający mną dreszcz. Usłyszałam ciche pukanie. Z niedowierzaniem starałam się przypomnieć sobie, czy po wyjściu Tomasza Wiryga zamykałam wejściowe drzwi.

Byłam pewna, że tak. Ktoś jednak stał na korytarzu i czekał na moje zaproszenie... Nasłuchiwałam, odruchowo poprawiając ubranie i wycierając załzawioną twarz. Znowu... Puk, puk...

- Mogę? - dobiegło za drzwi.

Ucieszyłam się. Nie jest tak źle jak przed chwilą myślałam! Wrócił! Do mnie! Zaraz, zaraz... Może po prostu zostawił tu zegarek...? Spokojnie, jeszcze się nie ciesz... Puk, puk!

- Ewo, jesteś tam?

- jestem... Podobno wyjechałeś na dwa, trzy tygodnie...

- Tak.

- zapomniałeś czegoś? Po co wróciłeś? - musiałam się upewnić, że rzeczywiście chodziło mu o mnie.

- zapomniałem ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham - cicho westchnęły dzielące nas drzwi.

- Nigdy bez pozwolenia nie wchodzi do mojego pokoju - mówiłam stanowczo.
- Nie wejść - obiecał. - A ty wyjdiesz?
- Muszę się nad tym zastanowić. Rozważyć za i przeciw...
- Miałaś na to dwanaście godzin.
- To za mało - próbowałam go zniechęcić.
- W takim razie, zastanawiaj się, wyliczaj. Ja tu poczekam.
- Czekaj, jeżeli nie masz nic lepszego do zrobienia - mówiłam poważnym głosem, jednocześnie uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze.
- Mam, ale nie wiem, czy to lepsze - odpowiedział zza drzwi.

Tocząca się między nami gra wciągała mnie coraz bardziej. Wyobraziłam sobie stojącego za drzwiami Marka, z bukietem róż w dłoniach, ze skruszoną minką, pachnącego, w wyjściowym garniturze. Już pewniejsza, zadowolona, postanowiłam ciągnąć tę zabawę w nieskończoność. Zobaczmy, które z nas dłużej wytrzyma. Właściwie mam tu wszelkie wygody. Mogę przesiedzieć do rana. On ma do dyspozycji tylko twardą podłogę, na której będzie mógł rozsiaść się, gdy nogi odmówią mu posłuszeństwa. Ma też dostęp do kuchni i ubikacji! Z tego wynika, że jednak jestem obleżona w swojej wieży i w końcu będę musiałam ulec. Szkoda, że to wszystko nie przytrafiło mi się dwa tygodnie później, miałabym już swoją łazienkę i mogłabym tu siedzieć nawet do przyjazdu taty. Aniela podawałaby mi jedzenie przez okno. Spuszczalabym na sznurku mały koszyczek...

- Co byś robił, gdybyś tam nie stał? - spytałam, aby podtrzymać rozmowę.
- Rozwalałbym to, co nas dzieli - przyznał się Marek. Przestraszyłam się. Widocznie jest bardzo zdesperowany i będzie chciał wziąć moją wieżę siłą. Wolałabym, żeby mi pozostawił ostateczną decyzję. Wiadomo, że się zgodzę, ale za-

wsze lepiej wygląda, jak mężczyzna udaje, że liczy się ze zdaniem kobiety.

- Chcesz zdemolować moje drzwi? - dopytywałam się.

- Nie - odparł lakonicznie.

- W takim razie, co byś rozwalił? - naprawdę mnie zaintrygował.

- Płot.

Mój płot? Symbol powrotu córki marnotrawnej! Spróchniałe deski, które padną same pod lekkim dotknięciem wiatru... Przed laty skutecznie odgradzał Stacha Zawilaka od cioci Janki... Teraz odgradza mnie od dawnej miłości, niespełnionych marzeń...

- To mój płot! Tylko ja mogę go zburzyć! - upierałam się.

- Możemy zrobić to oboje - zaproponował.

- Jeżeli go nie będzie, mogę się zagubić. Wyglądając na świat, opieram się o jego sztachety - próbowałam bronić swojej niezależności.

- Możesz spoglądać na świat, opierając się na moim ramieniu... Wybór należy do ciebie...

Rozdział 48

Zbyszek ubrany w skórzaną, podbitą futerkiem kamizelkę, wykładał na ladę kolejne pary rękawiczek i frotowych skarpetek. Przygotował dla mnie małe, składane krzeselko, które prawdopodobnie przeznaczone było na sprzedaż i w przyszłości miało posłużyć za wygodne siedzenie któremuś z tutejszych wędkarzy. Z oszczędności, mimo jesiennej szarugi, nie zdecydował się włączyć ogrzewania. Zapewne z tego samego powodu w pasmanterii paliły się tylko dwie lampy, w świetle których wyglądał poważniej niż zazwyczaj. Zrzuciłam płaszcz na ramiona i usiadłam na stołeczku. Poły płaszcza opadły na podłogę, rozkładając się jak tren. Elegancki okrycie zabawnie kontrastowało z prymitywnym, prowizorycznym siedzeniem. Przez zafrasowaną twarz Zbyszka przemknął uśmiešek pełen dobrotliwej pobłażliwości, szybko jednak wrócił do przerwanej na moment pracy.

- Niedługo muszę przywieźć szaliki i czapki. Potrzebujesz? Poszukać w hurtowniach? - zwrócił się do mnie.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam cicho. - Widzę, że masz teraz ruch w interesie. To dobrze.

- Wiadomo, jesień... - znów leciutko się uśmiechnął. - Zimą będzie zastój. Co tam u ciebie? Tata już wrócił?

- Wrócił.

Ostatnio rzadko zaglądałam do sklepu Zbyszka. Nie miałam ochoty na czcze gadanie. Remont w domu, praca i osobiste rozterki wypełniały moje dni całkowicie.

- Chodź na kawę i ciasteczka - zapraszał Zbyszek, wskazując ręką kanciapę na zapleczu. - Jesteś jakaś przygaszona, smutna...

- Z czego mam się cieszyć? - zapytałam. - Zmiany w moim życiu postępują w takim tempie, że chwilami nie nadążam za biegiem wydarzeń - przyznałam się. - I jeszcze ten strajk. Ciągnie się w nieskończoność. Adam jest na mnie wściekły, codziennie przyjeżdża mnie przekonywać. Nie mam już siły.

- Daj spokój! Tym się w ogóle nie przejmuj - Zbyszek starał się mnie pocieszyć. - Podobno robicie wesele?

- My? Skąd masz takie wiadomości? - zdziwiłam się.

- W mieście aż huczy. Mógłbym zbierać zakłady, gdzie je wyprawicie. Zdradź mi tę tajemnicę, to trochę na tobie zarobię - przekrzywił głowę i złożył ręce w błagalnym geście.

Doceniałam jego starania. Chciał mnie rozweselić, ale nie było mi do śmiechu.

- Nic nie wiem o weselu. Zaręczyn jeszcze nie było. Plotkarska pipidówka... - złościłam się. - W pracy też patrzą na mnie jak na dziwoląga. Czy tu nie ma innych samotnych kobiet?

- Są, ale one nie mają tyle szczęścia, co ty. Sama powiedz? Wszystko ci się wspaniale układa.

- Jak w berzeretce - zakpiłam.

- No pewnie. Istna sielanka. Romans wszechczasów - skwitował. - Pamiętaj o spisaniu intercyzy.

Magnatka się z ciebie zrobiła. Dwa domy, pieniądze, dobra praca...

- Jakie dwa domu? Co ty wygadujesz? Nie mam niczego za wyjątkiem samochodu. Tylko on jest mój! Płacą nam grosze, praca niepewna, zresztą to chyba wszyscy wiedzą, bo szpital w powiecie ma iść do likwidacji. Czego tu zazdrościć? Siwego

chłopa, który dotąd oficjalnie się nie zadeklarował? Też mi rarytas! Udaje, że na rękach mnie będzie nosić, a po ślubie zaraz reumatyzm go pewnie złapie, jakieś inne choroby wyskoczą i okaże się, że za niańkę i pielęgniarkę to ja jemu będę służyła -prorokowałam.

- Za dużo rozmyślasz. Przyjmuj, co los daje i staraj się z tego korzystać - zachęcał mnie Zbyszek.

- Łatwo ci mówić. Taki romans, to tylko w kinie ładnie wygląda. Boję się i tyle - przyznałam. - Kto raz się sparzy, na zimne dmucha.

- Wolisz być sama do końca życia? - zapytał poważnie.

- No właśnie... W tym sęk, że jestem zwierzęciem stadnym. Nie potrafię samotnie spędzać długich, jesiennych wieczorów. Podziwiam Krystynę i tatę. Im jedna miłość wystarczyła. Ja tak nie umiem. Nie rozpatruję dawnego związku, bo też nie ma już po co o nim myśleć. Jestem jednak psychicznie zablokowana, zestresowana, zagubiona. W młodości wszystko wydaje się proste i łatwe. Dwoje ludzi się kocha i chcą być razem. Nie wiedzą, co ich czeka, więc łatwo decydują się na małżeństwo. Ja spędziłam dziesięć lat z jednym mężczyzną, wiem, czego mogę się spodziewać. Przewiduję pewne fakty. Brak mi tego zauroczenia, które zaślepia i sprawia, że podążamy ku światłu, niezależnie od tego, jak jego blask na nas wpłynie. Udar mózgu gwarantowany...

Zbyszek przyglądał mi się w zamyśleniu.

- Na pewno masz sporo racji. W naszym wieku, z bagażem doświadczeń inaczej patrzymy na małżeństwo. Już nas seks nie fascynuje tak, jak młodych. Potrafimy jednak dostrzec w naszych partnerach ciekawsze walory. Liczy się wzajemna przyjaźń i przywiązanie. Łóżko schodzi na drugi plan. Zawilak wobec ciebie ma poważne plany?

- Planu ma, tego jestem pewna, ale ja boję się utracić niezależność. I tak źle, i tak niedobrze. Już się zdecydowałam. Trud-

no. Nie mogę się wycofać. Jestem poważną osobą. Ach, gdybyś ty był wolny... Poszłabym za toba w ogień, - żartowałam, żeby zmienić temat. Zbyszek roześmiał się serdecznie.

- Nie czas żałować róż... Masz rację, to nie jest proste. Przed ślubem miałem inne spojrzenie na wspólną przyszłość, ale wynikało to pewnie z tego, że wcześniej byłem sam.

- Nie wchodzi się drugi raz do tej samej rzeki... - powiedziałam.

- Tonący brzytwy się chwyta - odpowiedział mi Zbyszek. Marek Zawilak jako brzytwa? Koło ratunkowe, które ma mnie uchronić przed samotnością w odmętach życia? Zobaczymy, jak się sprawdzi w roli ratownika!

Rozdział 49

Po powrocie taty z sanatorium dom zaludnił się ponad miarę. Aniela okazała się w stu procentach lojalna wobec pryncypała. Udostępniła nam pokój mamy bo została do tego zmuszona, ale żeby być w porządku, zawiadomiła tatę o odkryciu jego tajemnicy. Miał więc sporo czasu na przygotowanie odpowiedniej strategii działania. Przyjechał taksówką dzień wcześniej, aby uprzedzić nasz wyjazd po niego i płacił za kurs w obecności Adama, który o mało nie zemdlał, widząc taką rozrzutność.

Przywiózł nam drogie prezenty. Ostentacyjnie wychwalał się zakupionymi dla siebie garniturami.

.....Ten będzie na ślub Anieli, a ten na poprawiny o ile mnie

zaproszą - mówił, patrząc wyzywająco na syna. - Trzeci, specjalny, na specjalną okazję. Pewnie się niedługo przyda - tu puścił porozumiewawcze oczko do Marka.

Adam ojca nie spuszczał z oka. Codziennie po pracy przesiadywał u nas godzinami. O dziwo, wciągnął w to Grażynkę. Widziałam, że nie jest z tego zadowolona, ale twardo obstawała za mężem, włączając się w rodzinne spory. Próbowwała jednak udobruchać ojca swoimi sposobami. Przynosiła pieczone przez siebie ciasta i oferowała każdą pomoc. Podejrzewam, że gdyby nie Aniela, Grażynka bez słowa skargi sprzątałaby i gotowała nam pyszne obiadki. Tata reagował na te zabiegi w zależności od humoru i pogody. W słoneczne dni dawał do zrozumienia, że

mogą liczyć na jego przychylność, w deszczowe kpił, w wietrzne irytował się:

- Pieniądze są moje i tylko moje! Zrobię z nimi, co będę chciał. Jak mi się spodoba, to na rozpustę przeznaczę, a wam nic do tego! - krzyczał.

- Daj spokój, tato... - prosił Adam. - W twoim wieku... Wstydz się...

- Jak dożyjesz moich lat, to będziesz wiedział, że mężczyzna zawsze zostaje mężczyzną, a rozpusta to jedyna rzecz, której pragnie do końca - twierdził ojciec.

Padający za oknem pierwszy śnieg skłonił go zmiany zdania.

- Życie jest krótkie! Należy je przeżyć, zaspokajając własne potrzeby. Już niedługo sam się o tym przekonasz. Nauczę cię gry na giełdzie, żebyś wszystkiego nie roztrwonił i wnukom coś po dziadku zostawił - mówił łagodnym, prawie mentorskim głosem.

Przyglądałam się tym scenom, zastanawiając, kiedy ojciec ulituje się i poważnie porozmawia z synem. Po trzech tygodniach domowych słownych utarczek serce ojca zmiękło. Adam wpadł do nas jak burza.

- Wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem... - krzyczał uradowany. - No, teraz jesteś prawdziwym ojcem!

- Adam, uważaj, co mówisz - przestrzegał go tata. - Kręcisz sznur na własną szyję! Co będzie, jak twój syn to usłyszy?

- Tato! Teraz wiem, że żyję... Nareszcie będę mógł kupić Grażynce samochód i to nie jakiegoś tam sprowadzonego grata. W salonie jej kupię, a co? Niech wie, że mam gest - promieniał.

- O Boże! - jęknął tata. - Ty jesteś niewyuczalny. Całe życie cię wychowuję, a efektów jak nie było, tak nie ma.

- Czy ty chociaż raz pozwolisz mi się cieszyć? - zapytał już spokojniejszy Adam. - Potrafisz zabić w człowieku każdą radość. Ale z ciebie sadysta!

- Radość to domena głupców. Tylko oni cieszą się z pieniędzy - ojciec mówił przed siebie, nie patrząc na syna.

Wiem, wiem... - zniecierpliwiony Adam machał ręką. - Mam się cieszyć ze zdrowia i ostępów Tomka w nauce... Stara śpiewka. Pieniądz ma służyć tylko jako środek... A ja ci powiem, że może masz rację. Nie zaprzeczam. Tylko widzisz, bieda wcale mi się nie podoba. Haruję jak osioł i nie mogę związać końca z końcem. Chcę swoim bliskim sprawić trochę przyjemności, dać pewność, że starczy jutro na chleb - tłumaczył.

- Synu, ty nie wiesz, co to bieda, bo nigdy jej nie zaznałeś. Uważaj na słowa, bo źle wypowiedziane mogą wrócić do ciebie z niszczycielską siłą. Używaj, ale roztropnie. Nie szalej, nie wyrzucaj w błoto, bo to dziedzictwo kilku pokoleń i na następne musi wystarczyć. To, co teraz dasz Tomkowi, on przepuści, bo młodość ma swoje prawa i zasłonięte oczy, nie potrafi dostrzec jutrzejszego dnia. Odkładaj, niech ma na początek samodzielного życia. Ja ufunduję mu stypendium, ale jak nie będzie porządnie się uczył, trudno, nic nie dostanie. Za darmo nie dajęT - oznajmił tata.

- Adam, co się stało, że jesteś taki zadowolony? - udało mi się wtrącić.

- Tato spłacił mój kredyt! Mogę teraz spokojnie myśleć o przyszłości - objaśnił mi Adam.

Ucieszyłam się, chociaż może ktoś inny na moim miejscu poczułby się oszukany i okradziony.

Miałam jednak własne zmartwienia. Słuchając ich, pomyślałam, czy aby mój przyszły narzeczony nie działa z wyrachowania. On i Aniela wiedzieli, wcześniej niż my, o fortunie taty. A jeżeli to żigolo? Może ja w ogóle go nie obchodzę? Dybie tylko ma mój majątek? Łowca posagów? Zdawałam sobie sprawę ze śmieszności tej tezy, nie umiałam jednak całkowicie jej wykluczyć. Zalęgła się i koniec.

Na poparcie tych niedorzecznych oskarżeń, znalazłam nawet konkretne dowody. Musiałam z kimś o tym porozmawiać. Tylko Krystyna mogła mi pomóc. Jej rozsądne podejście do życia, trafne oceny charakterów naszych znajomych i poczucie humoru, na pewno sprawią, że wybije mi głupawe myśli z głowy.

- Idę na spacer - powiedziałam głośno, ale chyba nikt mnie nie słuchał.

Tata, Adam i Grażyna siedzieli pochyleni nad kuchennym stołem i liczyli domniemane wydatki Tomka.

- Damy mu też fundusz kulturalny - objaśniał im ojciec. - Chłopak musi się kiedyś wyszaleć. Raz w miesiącu - opera, raz - teatr, raz w tygodniu - popijawa!

- Teatr i opera, niech będą - zgodziła się Grażyna. - Można mu jeszcze dołożyć na kino! Ale rozpijanie wnuka nie jest chyba wychowawcze? Zastanów się, tato! Ja bym z tego zrezygnowała...

Ojciec śmiał się pobłaźliwie.

- Nie samą wiedzą student żyje. Czasem powinien się napić. Grażynka, zagorzały wróg alkoholu, odebrała jego słowa

jako bezpośredni atak na swoją osobę i kiedy wychodziłam, rodzinna kłótnia była w pełnym rozkwicie.

Rozdział 50

Siedziałyśmy w salonie Krystyny, w tym dziwnym miejscu nagromadzonych wspomnień. Piłyśmy wino, które przyniosłam i rozważałyśmy, czy moje podejrzenia w stosunku do Marka mogą mieć realne podłoże.

- A ja ci mówię - upierała się Krystyna. - Najgorsze są stare panny Gdybym była mężczyzną w jego wieku, szukałabym wdowy albo rozwódki. To są odpowiednie kandydatki na żonę. Stare panny wiecznie będą niezadowolone. Nieba im przychyliysz, to one chmurkę znajdą i już zrzędzą. Popatrz na siebie! Dlaczego marudzisz?

- Mam poważne dowody - broniłam się.

- No, dobrze... - przytaknęła, jednocześnie patrząc na mnie z dezaprobatą. - Robię to tylko dla twojego spokoju. Uważam, że to nonsens... Jesteś przewrażliwiona, ale skoro ci tego do szczęścia potrzeba, osądźmy Zawilaka. Poczekaj tylko chwileczkę, przyniosę drugą butelkę wina, bo przy jednej na pewno nie dojdziemy do konsensusu.

- Przyjechał na pogrzeb ojca. Dlaczego od razu tu został? -wołałam za nią w kierunku kuchni.

- Uznał, że tu jest jego miejsce - odparła, stając w drzwiach z butelką wina w ręce.

-- Nawet, gdybyś miała rację, to proszę cię, zwróć uwagę na fakt, że on nie musiał niczego załatwiać, nigdzie jeździć, no wiesz, co mam na myśli? - plotłam bez sensu.

- Wiem - przytaknęła Krystyna, prezentując przyniesioną butelkę niczym wprawny kelner w eleganckiej restauracji. - Pewnie wszystkie swoje sprawy załatwił przed wyjazdem.
- W dwa dni? Zostawił mieszkanie, pracę, grono przyjaciół? Chyba sama w to nie wierzysz? Jola i Zenek Michalczykowie załatwiali swoją przeprowadzkę pięć tygodni! Ja wynosiłam się z mieszkania Pana S. trzy miesiące. A on wyjeżdżał z kraju! Tu coś nie gra...
- Czym on się właściwie zajmuje, jaki ma zawód? - dopytywała się Krystyna.
- Dokładnie nie wiem. Prowadził podobno niedużą fabryczkę słodyczy. Wygląda mi to na spółkę czy coś w tym rodzaju. Ma udziały i był prezesem zarządu - mówiłam.
- Rzeczywiście, powinien mieć kilka spraw do załatwienia. To jednak jeszcze nie dowód, że chce tylko forsy. Jeśli był prezesem, pewnie dobrze zarabiał.
- Z tym też kręci. Z czego więc żyje?
- Z oszczędności - odpowiedziała mi usłużnie, nalewając następne lampki wina.
- Spore te oszczędności. Dom przewrócił do góry nogami, wszystko chce wymienić. Zostają ściany i drzwi wejściowe. Czy ty wiesz, ile to kosztuje? - pytałam. - Dobre wino - chwaliłam.
- Myślisz, że chce za to zapłacić twoimi pieniędzmi? - nie wierzyła. - Rzeczywiście, dobre - przyznała.
- Sama nie wiem... Jeżeli jest tak bogaty, jak się stara nam pokazać, to dlaczego mieszka u nas?
- Pewnie płaci twojemu ojcu? - próbowała bez przekonania.
- No co ty? - oburzyłam się.
- Już wiem! - wołała ucieszona. - To rentier! Wypłacają mu odsetki od zgromadzonego kapitału. O kurczę, ale mu zazdroszczę!

Udałam, że nie słyszę jej uwag. To prawda, lepiej być rentie-rem niż rencistą, ale jak dotąd nie spotkałam nikogo, kto żyłby z odsetek od kapitału. W sumie mało obchodziło mnie, jak Marek zdobywał pieniądze. Na gangstera mi nie wyglądał i to mnie uspokajało. Miałam z Krystyną ciekawsze problemy do omówienia.

- A wtedy kiedy niby wyjechał? Wrócił, bo nie miał gdzie się podziać? - mówiłam jakby od niechcienia.

Krystyna uśmiechnęła się łobuzersko.

- O to chodził - triumfowała. - To jest główne pytanie. Dlaczego wrócił? Naprawdę nie możesz uwierzyć, że mu na tobie zależy?

- Zależy! - warknęłam. - Wskoczył mi do łóżka w tę samą noc, w którą odkryliśmy tajemnicę trzynastej komnaty. Ani wcześniej, ani później. Dobrze wiedział, co robi! Bał się, że ktoś może go uprzedzić i zdmuchnąć mająteczek sprzed nosa. A tak, już jestem jakoś z nim związana. Potem udał, że wyjeżdża, żebym się pomartwiła, popłakała za straconym kochankiem. Szybko jednak wraca i łączy mnie słowem. Jak ja mam to inaczej rozumieć?

- Wszystko zależy od punktu widzenia. Jechał do Niemiec, ale uzmysłowił sobie, że cię kocha i jeśli długo nie będziecie się widzieli, może cię stracić - spokojnie tłumaczyła mi Krystyna.

- Tak? No to wyobraź sobie, że stał przed moim pokojem cztery bite godziny. Wysikać się nie mogłam, bo tkwił tam jak sztacheta w płocie, a nawet jednego kwiatka dla ukochanej nie przyniósł. Jak ograniczyć moją wolność, to wiedział, ale jak z twarzą wyjść z tej sytuacji, już nie. Spodziewałam się ogromnego bukietu, złotej kolii, pierścionka z brylantem, a dostałam marnego całusa. To jest zakochany facet?! Nie moja droga, to jest wyrachowany, zimny jak lód, wstrętny żi-golak - dowodziłam.

- Nawet jednej różyczki? Tandetnego pierścionka z tombaku też nie? - dziwiła się.
Na potwierdzenie swoich słów rozkładałam ręce i krzywiłam się w kpiącym uśmiešku.

- Bogaty mężczyzna w średnim wieku wie, jak kobietę przeprosić - rozważałam. - Z pustymi rękami nic nie ugra. Myślałam, że ma jakiegoś asa w rękawie, że jak wyjdę, zaprosi mnie na romantyczną kolację, porwie w nieznane... On się ucieszył, owszem, ucałował i poszedł spać, bo był zmęczony. Nawet szampana, nawet piwa mi nie postawił... - żaliłam się bliska płaczu.

- A to drań! Słuchaj, a może to sknera! Oj, będziesz ty miała z nim trudne życie... Lepiej się jednak porządnie zastanów. Nie jest typ romantycznego kochanka - stwierdziła rozczarowana.

- Kochanek jest z niego dobry. Tu nie mam zastrzeżeń, ale w moim wieku seks nie jest już najważniejszy - przyznałam. - Wesele Anieli uświadomiło mi, jaki z niego nudziarz. Szykowałam się na nie, cieszyłam... Poszliśmy razem, a czułam się samotna jak palec. Nie poprosił mnie do tańca, nie dbał, żebym się dobrze bawiła. Ziewał ukradkiem i tylko podejrzliwie przyglądał się wszystkim dookoła. Miał okazję pokazać się z jak najlepszej strony, ale widocznie nie zależało mu na mojej przychylności. Do tego nie wypił nawet jednego toastu. Pieprzony abstynent! Zawiózł mnie do domu zaraz po oczepinach, nawet tortu nie spróbowałam... Na drugi dzień para młoda specjalnie się fatygowała, przywożąc go nam do domu. Czy to nie wstyd? *A propos*, tort był pyszny!

- Przesadzasz, moja droga! Staraj się go zrozumieć. Jest po zawale, ma w sercu żalobę, chciałybyś, żeby szalał na parkiecie i żartował. Nie pił, ponieważ prowadził auto. Wspierał cię. Powinnaś to docenić. Tak nie można... - tłumaczyła zachowanie Marka.

- Żadne wspieranie nie było mi potrzebne, chciałam się bawić! Też mi argument. Po cholere pchał się na wesele, skoro nie pił, nie jadł, nie tańczył? Po zawale? Nie jestem tego pewna. Jak przyszło co do czego, fikał jak młodzik. A jeżeli chodzi o żalobę, dziwię się, że nie okazuje jej w innych sytuacjach. Chciał mnie upokorzyć i tyle! - nie odstępowałam od swojego zdania.

- To wypijmy za tych, co sobie dobrze radzą w łóżku! - zaproponowała Krystyna, nalewając wina do lampek.

Wypiłyśmy dwie butelki. Konsensusu nie osiągnęłyśmy. Nie rozwiązałam również swoich wątpliwości, mimo to wieczór uważałyśmy za bardzo udany. Ponieważ nie byłam w stanie dojść do domu o własnych siłach, Krystyna zadzwoniła po Marka. Nie odmówił i nawet nie marudził. Po dziesięciu minutach zjawiał się w jej mieszkaniu. Mocno wstawiona, przystąpiłam do prezentacji i leciutko bełkoczącym głosem mówiłam:

- Moja przyjaciółka i powierniczka, doktor Krystyna Marwicka - wykonałam ukłon w jej stronę. - Marek Zawilak, osobnik bliżej mi nie znany (nie licząc miłosnego epizodu), mój przyszły narzeczony, a może, któż to wie, i mąż - chwiejnym ruchem głowy wskazałam na Marka.

- Bardzo mi miło - Krystyna uśmiechała się kokieteryjnie, nastawiając dłoń do pocałowania. - Wybacz pan, ale trochę przeholowałyśmy. Dobre wino, gorąco polecam - podsunęła Markowi butelkę pod nos. - Proszę się nie martwić, jak już pan ją dokładnie, całkowicie chciałam powiedzieć, omota, nie będziemy piły. W ogóle chyba nie będziemy się widywały... - prawie się rozplakała. - A na serduszko proszę uważać! Jakby co, proszę walić do mnie jak w dym! Zbadam i wszystko będę wiedziała! Pomogę...

- A jakby go tak prześwietlić? - zaproponowałam, ciągle wracając do naszych wcześniejszych rozważań. - Ciekawe, czy zobaczyłybyśmy, kto też w jego serduszku mieszka?

Marek, widząc, że wcale nie zbieram się do wyjścia, nieproszony usiadł na kanapie i wyjął paczkę papierosów.

- Mogę zapalić? - zapytał gospodyni.

- Jeżeli chodzi o mnie, tak. Jeżeli chodzi o pana, nie - mówiła poważnie Krystyna. - Pan jest po zawale, nie może pan palić, pić i... - tu zawiesiła głos, ale kokieteryjną miną dopowiedziała, czego jeszcze nie może robić biedny Mareczek.

Przez jego poważną dotąd twarz przemknął prawie niewidoczny cień uśmiechu. Stwierdziłam, że skoro dostrzegłam ten nikły wyraz wesołości, nie jestem aż tak bardzo pijana. Ciekawiło mnie, co zrobi z trzymanym w palcach papierosem. Po krótkiej chwili wahania schował go do paczki.

- Mądra decyzja - pochwaliła go Krystyna. - Palenie jest bardzo szkodliwe. Zresztą tak samo jak picie! Skoro pan jest taki rozważny, czy mogę poprosić o dwa papierosy? Chętnie z przyjaciółką zapalimy, jeśli oczywiście nie będzie to panu przeszkadzało...

Jechaliśmy w milczeniu. W domu Marek odprowadził mnie do pokoju i ucałował w oba policzki.

- Śpij, ty moja przyszła narzeczonko, a może nawet przyszła żono! - powiedział.

I wyszedł. Prawdziwy mężczyzna? Nie wykorzystał takiej sytuacji?

Rozdział 5 1

- Jestem pani naprawdę wdzięczna - mówiła siostra Joanna. - Pieniądze pójdą już na święta. Popłaciłam trochę długów. Krzysiek kupił sobie nowa kurtkę. Widziała pani? Ciepła, od spodu pikowana...

Zgodnie z umową zapłaciłam jej za dwa miesiące, przez które pomagała naszej Anieli. Chciała, żeby wypłata była przed świętami, twierdząc, że gdyby szybciej dostała gotówkę, wszystko poszłoby w bieżące wydatki, a jak sama mówiła, święta są najważniejsze.

Remont, który majster Wiryg ocenił na dwa tygodnie, przeciągał się i przeciągał. Krzysiek, mąż Joanny, pracował od rana do nocy, ale Wiryg z niemieckim kolegą pokazywali się sporadycznie. Marek robił mi na złość, ciągle wyszukując im nowe prace. Moje prośby widać nie trafiały na podatny grunt. Robotnicy byli mu pilnie potrzebni, a łazienkę przyszłej narzeczonej ostentacyjnie bagatelizował. Raz nawet posunął się do niewybrednego żartu, mówiąc mi, że chodzenie po schodach dobrze zrobi mi na figurę. Obraziłam się. Po dwóch dniach znów musiałam go prosić o zwolnienie Wiryga, bo okazało się, że przeprowadzenie rur na piętro jest tak skomplikowane, że bez hydraulika-filozofa zatrudnieni przeze mnie pracownicy są bezradni. Tata nie mieszał się w sprawy remontu. Zamykał się w pokoju mamy, aby podwoić albo nawet potroić, nasz majątek.

Pewnego wieczoru zapytałam Marka wprost:

- Co masz przeciwko mojej łazience? Może po ślubie będziemy zajmować całe piętro, a wtedy sam zobaczysz, że będzie z nią wygodniej.
 - Nie ma mowy. Jeżeli dojdzie do ślubu, od razu przenosimy się do mnie - odparł stanowczo.
 - Nie uważasz, że powinnam w tej sprawie mieć prawo głosu? - upierałam się dla zasady.
 - W tej sprawie ja decyduję! Nawet nie próbuj dyskutować. Musisz się pogodzić z tym, że mężczyzna ma swoje obowiązki do wypełnienia i nie należy mu przeszkadzać w ich wykonywaniu - twierdził.
 - Jakie to obowiązki? - zainteresowałam się zaniepokojona nie na żarty.
- Nie podobało mi się jego podejście do małżeństwa. Kurą domową nie zostanę! Skoro tak sądził, grubo się pomylił. Musimy sobie wyjaśnić parę ważnych spraw, zanim ostatecznie klamka zapadnie. Nie muszę wychodzić za mąż. Znakomicie sama daję sobie radę.
- No, wiesz... - zaczął wyliczać. - Chłop musi przynieść wodę, drzewa narąbać, napalić w piecu - kpił sobie ze mnie. -Najważniejsze jednak jest utrzymanie rodziny.
 - Właśnie! O ile się orientuję, to z nas dwojga ja mam stałą pracę i płacę. A kto będzie sprzątał, prał, prasował, robił zakupy i gotował? Ta gorsza twoja połowa? - dociekałam.
 - Ewo, szukasz zwady? - zdziwił się. - Przecież mamy Anielę.
 - Tak, ale ona będzie studiowała i zajmowała się własną rodziną. Co wtedy zrobimy? - nie ustępowałam.
 - Studiować będzie, ale zaocznie. Nigdzie nie wyjedzie. Gdzie tyle zarobi? Ma tu dwa niekrepujące etaty. Robi, co chce. Po co to zmieniać? - mówiąc to, zaszedł mnie od tyłu i przytulił

swoją twarz do mojej. - Moja królowa będzie miała jak w raju - szeptał mi do ucha. Ten Zawilakowy raj mnie się nie podobał. Marek był nie tylko sknerą, ale i despotą. Poznając go bliżej, zaczynałam się bać... Reprezentował staroświeckie poglądy na małżeństwo, odrzucając każdą sugestię o partnerskim związku. O dziwo, ojciec wtórował mu z wielkim zapałem, twierdząc, że powinnam być uległa jak baranek i poddawać się jego woli. Martwił mnie również fakt, że od czasu pamiętnej nocy, mój przyszły narzeczony nie odwiedził mnie w sypialni, nie wspominał o dacie zaręczyn ani ślubu. Za to skutecznie utrudniał realizację moich wszystkich planów. Nie mogłam nawiązać z nim nici porozumienia. Nie odpowiadał na moje pytania, był oschły i chwilami bardzo nieprzyjemny. Wstrętny egoista! Mimo tych wszystkich wad, często łąpałam się na tym, że jego dyskretny dotyk, przelotny pocałunek czy szeptanie do ucha sprawiały mi wiele przyjemności i wywoływały rozkoszny dreszcz przebiegający po plecach. Przedświąteczny nastrój mojej pielęgniarki uświadomił mi, że uczuciowe rozterki nie zatrzymają czasu. Powinnam zająć się przygotowaniem do świąt. Postanowiłam odciążyć Anielę i zabrać się do mycia okien. Przez ostatnie pół roku popadłam w błogie lenistwo i fizyczna praca dobrze mi zrobi. Przestanę myśleć i rozczulać się nad sobą, bo tak właściwie, żadna krzywda mi się nie dzieje. To, że Mareczek nie jest ideałem i nie spełnia wszystkich moich oczekiwań nie jest jeszcze tragedią. Każda normalna kobieta byłaby zadowolona, mogąc wyjść za mąż za takiego faceta. Sama nie jestem Heleną Trojańską (pod względem urody), Ateną (pod względem mądrości), Penelopą (pod względem wierności) i tak dalej, i tak dalej... Upiekę sernik i makowiec. Nalepię pierogów. Ugotuję bigos. Zaproszę gości! Wigilia będzie u nas. W końcu jestem

tu gospodynią i potrafię zintegrować rodzinę. Przez całe lata marzyłam o takich świętach. Z Panem S. jeździłam na narty. Wigilię spędzałam sama w górskim pensjonacie, czekając, aż on wróci.

Teoretycznie rozumiałam, że ten wyjątkowy dzień powinien spędzić z córką, praktycznie dopadały mnie histeryczne duszności w klatce piersiowej. W tym roku będę blisko taty, Marka, Adama, trzech najważniejszych w moim życiu mężczyzn, i dla nich posprzątam, upiekę, ugotuję i ubiorę wielką choinkę obłożoną prezentami. Zrekompensuję sobie stracone lata.

Siedziałam sama w gabinecie i zamiast uzupełniać wpisy w kartach pacjentów, z rozmarzeniem wpatrywałam się w małą, stojącą na biurku choineczkę. Siostra Joanna wyszła, mogłam więc szczegółowo zaplanować kolejne kroki przedświątecznych przygotowań. W małym notesiku zapisywałam wykaz sprawunków, spraw do załatwienia, kątów do wysprzątania, a przede wszystkim listę gości.

Krystyna, swoim zwyczajem, zajrzała do gabinetu, wsadzając głowę przez uchylone drzwi.

- Jesteś sama? Masz chwilkę na plotki?

- Wejdz - zaprosiłam ją do środka. - Znowu masz jakieś pikantne sensacyjki? - starałam się okazać zainteresowanie.

- Spadniesz z krzesła. To jest wiadomość z pierwszej ręki! Taka bomba zdarza się rzadko - z radości aż zacierała ręce. - Oliwa nieżywa, ale sprawiedliwa!

- Komu życie porządnie dowaliło? - zapytałam, bardziej z grzeczności niż z ciekawości.

Usiadła po drugiej stronie biurka, ostentacyjnie czekając na moje dalsze zachęty. Sprawa zaczęła mnie intrygować.

- Mów! Jestem już bardzo ciekawa - prosiłam.

- A jak bardzo? - droczyła się ze mną.

- Bardzo, bardzo, bardzo! - upewniałam ją.

- Nie uwierzysz... - mówiła szeptem, schylając się nad biurkiem. - Rozwodzą się! Pewne na sto procent! Sama mi powiedziała! Sprawa już jest w sądzie. Może nie powinnam się cieszyć... Trudno, nie mogę zdobyć się na współczucie. Dobrze im tak!
- Znałam ją już prawie pół roku, ale jeszcze nigdy nie widziałam takiej radosnej, podnieconej.
- Kto się rozwodzi i dlaczego? - teraz i ja schyliłam się nad biurkiem, żeby nie uronić ani słówka z plotek przyniesionych przez Krystynę.
- Powoli. Powiem ci wszystko, żebyś, nie daj Boże, nie żałowała tej żoły. Pamiętasz, jak przyszedł tu do pracy?
- Coś tam jeszcze pamiętam... Daj spokój, aż tak mnie pamięć nie zawodzi.
- Miałaś pracować z Baską Wąsikową. Ona zawsze była przy pediatrach. Zanim ktokolwiek cię tu zobaczył, latała jak opętana po całej przychodni i opowiadała o tobie niestworzone rzeczy Wymyśliła nawet, że uśmierciłaś pacjenta i za to zostałaś skazana na banicję. Wylali cię z kliniki. Miałam z nią poważne starcie, bo instynktownie czułam twoją niewinność i nie podobało mi się takie oczernianie lekarza. No dobrze, przyznam się, sprawdziłam te brednie. Mam kilku znajomych, popytałam... Chyba się nie gniewasz? - robiła do mnie słodkie oczka.
- Nie ma o czym mówić. A te plotki do mnie doszły. To ona? Nawet bym nie pomyślała. Znałam jej męża - wtrąciłam.
- Jak przyszło co do czego, to nie wyraziła zgody na pracę z tobą. „Znow się jej zdarzy jakiś błąd w sztuce, a ja będę po sądach ciągnana” - mówiła. Podczas strajku nie nosiła kokardek i wyzywała wszystkich od nierobów i obiboków, a jej piękny mężulek w gazetach nazwał nas konowalami. Święta para! Dwoje sprawiedliwych! I masz...
- A o co poszło? - nie mogłam się doczekać poznania przyczyny rozwodu.

- Trzymaj się krzesła! To jest najlepsze - Krystyna rozglądała się po pustym gabinecie, żeby upewnić się, że nikt nas nie podsłuchuje.

- Nasza Basiunia ma kochanka! Co ty na to? Tobie obrobiła co trzeba, że rozbiłaś rodzinę, że życie cię pokarało, że wywloką jesteś z tytułem doktora... A tymczasem... Zgadnij, komu wcisnęła się do łóżka? Teraz Krystyna spoważniała, wyprostowała się, przyciskając plecy do oparcia krzesła.

- Pomyśl moja droga! - zachęcała mnie. - Znasz go. Przybył do nas niedawno i nie wiadomo, czy się tu zakotwicz...

- podpowiadała mi. Zbladłam. To chyba niemożliwe? Czyżby to miał być Marek? Mój Marek! Spanikowałam.

- Mów i to szybko - jęknęłam.

Krystyna, widząc strach w moich oczach, pocieszyła mnie.

- Daj spokój, to nie ta klasa! Nie Marek, ale ciepło, ciepło... Też za miedzą... Jak dla Baśki to luksus... Odetchnęłam z ulgą. Jeżeli nie Marek, to kto? Ciepło? Niech pomyślę...

- Kaszubski filozof? - spytałam zaskoczona.

- W samej rzeczy! - śmiała się i zacierała ręce. - Gardło go bolało czy coś innego. Trafił biedak do lekarza i tak mu się pielęgniarczka spodobała, że już trzy miesiące sobie z nią używa! Widziałaś taki cyrk? Prawie pod twoim dachem rzecz się dzieje, a ty nic nie wiesz. Rozpustnik ci w domu grasuje, a ty moralności strzec nie potrafisz - kpiła jak tylko mogła.

- A ja go na Wigilię chciałam zaprosić... Dobrze, że mnie oświeciłaś. No, tego bym się nie spodziewała!

Na wspomnienie świąt Krystyna posmutniała, szybko jednak opanowała się i machając ręką, stwierdziła:

- Ja w tym roku nic nie szykuje. To tylko dwa dni, miną ani się człowiek obejrzy. Chyba jestem już za stara, bo denerwuje mnie to bieganie, wydawanie pieniędzy i cała ta otoczka. Nawet choinki nie ubieram, potem z nią same kłopoty, nie mam kiedy jej rozebrać i stoi prawie do Wielkanocy. E, nie ma co gadać... Szaleństwo jakieś się z tych świąt zrobiło. Komercyjne szaleństwo -dodała, chcąc, żebym nie zorientowała się, gdzie leży problem.

Widocznie dzieci Krystyny zapomniały o matce i postanowiły świętować w innym gronie. Nie zastanawiałam się. Otworzyłam notes na liście gości i jednym posunięciem ręki skreśliłam z niej Tomasza Wiryga - kaszubskiego filozofa. Następnie, z gracją trzymając długopis, kaligrafowałam nazwisko Krystyny.

- Wciągasz mnie na czarną listę? - zapytała, patrząc kątem oka na notes.

- Nie myśl, że jesteś zamiast Kaszuba - tłumaczyłam się.

- Dopiero ustalam, kogo chcę w ten piękny dzień mieć blisko siebie.

Krystyna wyrwała mi notes, przeczytała listę, zaakceptowała ją uśmiechem i bez cienia skrzepowania moim zaproszeniem, powiedziała:

- Zrobię uszka i pierogi. Kto robi barszcz?

- Barszcz przyniesie Aniela, chociaż jej u nas nie będzie. Wpadnie tylko podzielić się opłatkiem. O właśnie, muszę kupić prezent dla jej synka, może po pracy pomożesz mi coś wybrać?

- Chętnie.

- Grażynka ma zająć się karpem, to co dla mnie zostanie?

- zastanawiałam się.

- Kompot! Uwielbiam kompot z suszu...

- Może jeszcze nie dojdzie do tego rozwodu? Obojętnie kogo to dotyczy, to jednak przykra sprawa.

Myślisz, że powinnam porozmawiać z Markiem?

- Nie wiem - przyznała. - To delikatna materia. Baśka mówiła, że wiceburmistrz podjął już decyzję, polecił do sądu w te dyrdy. Co kaszubski filozof na to, nie wiem, bo nie pytałam.

Rozdział 52

Życie pisze dziwne scenariusze. Dziesięć lat spędziłam z mężczyzną, który był mężem innej kobiety, a teraz miałam być powierniczką Wiryga, który spowodował rozpad małżeństwa mojego szkolnego kolegi. Nie podobała mi się ta rola, ale nie miałam jak się wykręcić. W końcu człowiek potrzebował pomocy, a ja przecież jestem lekarzem. Zasada „po pierwsze nie szkodzić” przemykała mi przez głowę w czasie naszej potajemnej rozmowy. Kaszubski filozof czekał na mnie, siedząc na zimnych i mokrych schodach przed domem.

- Panie Tomaszu, co pan robi! - krzyczałam, wysiadając z auta. - Proszę nie siedzieć na betonie. Jest grudzień, przeziębili pan nerki.

- Widzi pani... - tłumaczył się niezdarnie. - Ja muszę porozmawiać z kimś mądrym, kto mi doradzi. Nie znam tu nikogo, a pan Marek, to nawet nie chce o tym słyszeć...

- E, chyba nie jest tak źle. Na pewno ma pan tu znajomych i znajome - pozwoliłam sobie na pewną dwuznaczność z odrobinką kpiny.

- Już pani wie... - spuścił głowę, jak uczeń złapany na ściąganiu w czasie klasówki. - Ja właśnie w tej sprawie. Niech mi pani pomoże - prosił.

- Panie Tomaszu, co ja mogę? Nie chcę się mieszać. Prawdę powiedziawszy, nie przepadam za wybranką pana serca, ale to

nie ma nic do rzeczy. Pan jest filozofem, a więc ekspertem w sprawach etyki i moralności - stwierdziłam, ruchem ręki zapraszając go jednocześnie do domu. - Przemarzył pan i po co to?

- Właśnie! Też nie wiem... Tak jakoś wyszło. Może to było nam pisane, jak pani myśli? Filozofem jestem, to prawda, mam dyplom, ale to nie wystarczy, żeby zrozumieć kobietę - uśmiechnął się zalotnie. - Niech mi pani wytłumaczy, czego oczekujecie od mężczyzny.

Zdjęłam płaszcz i powiesiłam go w przedpokoju. Weszliśmy do kuchni. Czego kobieta oczekuje od mężczyzny? Dobre pytanie.

Dopiero rozmowa z Tomaszem Wirygiem uświadomiła mi moje pragnienia. Głęboko wejrzałam w siebie, szukając odpowiedzi na pytanie dotyczące uczuć innej kobiety. Wnioski, jakie nasunęły się po naszej dyskusji, zaskoczyły mnie, ale też otworzyły oczy na szykujące się w moim życiu zmiany.

Okazało się, że istnieje ogromna zależność między partnerem, a naszymi wyobrażeniami o bliskości i związku dusz. Na przykładzie Baśki Wąsik rozumiałam swoje relacje z mężczyznami. To ich charakter, zapatrywania na życie i sprawy dnia codziennego są motorem naszych oczekiwań.

Poznając wady i zalety partnera, staramy się wykorzenić te pierwsze, a wzmacniać i rozwijać te drugie. Barbara Wąsik, dziewczyna z małego miasteczka, o przeciętnej urodzie i wpojonych w nią od dziecka zasadach zaściankowego modelu życia, zapewne z przyjemnością przyjęła oświadczenia dobrze zapowiadającego się miejscowego dygnitarza. Nie wymagała wiele. Marzyła o spokojnym i w miarę dostatnim życiu, dobrej pozycji w miejscowej społeczności, letnim odpoczynku nad morzem.

Wieczory z mężem spędzała na roztrząsaniu wad innych ludzi i cichej satysfakcji, że żadne tragedie i problemy nie dotyczą jej bezpośrednio. Nie spodziewała się miłości, szacunku, zrozumienia, wiedząc z góry, że potrzeby

te nie zostaną zaspokojone. Dobrze spełniała wyznaczone jej obowiązki, twierdząc, iż do szczęścia nic jej nie brakuje. Kiedy spotkała Wiryga i w jego oczach zobaczyła palące się iskierki, zrozumiała, że starczy leciutko, leciuteńko dmuchnąć w te dwa żarzące się punkciki, a ogień buchnie, rozpalając ich oboje. Nie zawahała się. Jej oczekiwania zmieniły się z materialnych na uczuciowe. Odezwała się w niej cygańska dusza gotowa zrzec się dotychczasowych wygód za odrobinę ciepła i czułości. Wyruszyłaby w świat po nowe życie, zapominając o trzymających ją tu sprawach. Raz rozbudzona potrzeba bliskości uczyni ją do końca życia nieszczęśliwą. Nawet seks zaczął sprawiać jej przyjemność, a to już oznaka całkowitego upadku. Wiryg ofiarował jej miłość, uczucie, którego nigdy wcześniej nie zaznała, ale niszczycielskie, burzące cały dotychczasowy porządek i ład jej życia. W porywie namiętności, zapamiętania, płynęła unoszona emocjami jak falą powodzi, która targa i poniewiera wszystkim, co na swojej drodze napotka.

A jednak zazdrościłam jej tego płomienia, tej destrukcyjnej siły, którą tak dobrze znałam, za którą tak tęskniłam. Moja sytuacja była odwrotna. Ja oczekiwałam już tylko stagnacji, bezruchu, idealnego spokoju i raz do roku wyjazdu nad morze. Byłyśmy dokładnym przeciwieństwem. Obie poznałyśmy porywy miłości. Różniło nas podejście do kwestii ich kontynuowania. Barbara Wąsik ciągle wierzyła w swoje szczęście, ja dawno straciłam nadzieję. Czy decyzję o związku z Markiem podjęłam z wyrachowania? Tego nie byłam do końca pewna. Wiedziałam, że właściwie jestem zadowolona, nie pragnę więcej. Każdy poważniejszy krok, mogący świadczyć o głębokości jego uczucia, przyprawiłby mnie o panikę, strach, nie przed uczuciem, ale przed jego stratą. My kobiety jesteśmy w stanie znieść i przetrwać najgorsze wyzwania losu, ale nie jesteśmy w stanie przetrwać utraty miłości. Umieramy wraz z odchodzącym

uczuciem i chociaż nadał oddychamy, nie potrafimy się już po tej stracie pozbierać, powrócić do normalnego życia. Tylko to mogłam powiedzieć Tomaszowi Wirygowi.

- Od naprawdę kochanego mężczyzny kobieta oczekuje jednej jedynej rzeczy. Chce mieć pewność, że nigdy, przenigdy jej nie opuści.

Filozof zamyślił się i chyba właśnie w tej chwili podjął ostateczną decyzję. Starłam się uszanować jego milczenie, chociaż dręczyło mnie pytanie, co stanie się z potomstwem państwa Wąsików. Biorąc pod uwagę wielkość naszego miasteczka, doszłam do wniosku, że wszystkie ważniejsze wydarzenia związane z rozwodem wiceburmistrza będą ogólnie znane, tym samym los dzieci stanie się publiczną tajemnicą. Uznałam, że jako wyrocznia wróżąca z fusów herbaty wykonałam kawał porządnej roboty i mój gość powinien mi się zrewanżować.

- Panie Tomaszu - zagadywałam go z miną słodkiej idiotki. - Teraz ja mam do pana pytanie. Jak pan uważa, powinnam wyjść za Marka? Czego mogę się po nim spodziewać? Jaką on mi przyszłość szykuje?

Wiryg, który tak szczerze rozmawiał ze mną o swoich sercowych rozterkach, speszył się, poczerwieniał na twarzy jak mały chłopczyk pytany od kogo nauczył się brzydkich słów. Zaczął się rozglądać, spoglądać na zegarek, mamrotał coś pod nosem, najwyraźniej omijając odpowiedzi na moje pytania.

- Tak to bywa z mężczyznami - stwierdziłam, żeby jednak zmusić go do mówienia. - O nas chcecie wiedzieć wszystko, znać każdą naszą myśl, a swoje sekrety strzeżecie jak związani tajemnicą spowiedzi. Proszę być prawdziwym mężczyzną, dojrzałym i odpowiedzialnym - próbowałam poruszyć jego ambicję.

- Ma pani rację - zdobył się w końcu na odwagę. - Przysługa za przysługę. Odpowiem jak na filozofa przystało. Wejdzie pani do jego domu po schodach, a raj będzie w zasięgu ręki.

Jeżeli oczekuje pani od niego tego, czego powinna pani oczekiwać, on dołoży wszelkich starań, aby mogła pani spełnić swoje pragnienia.

- A więc jednak istna berzeretka - zaśmiałam się do swoich myśli.

- Słucham? - zapytał zdziwiony Wiryg.

- Nic ważnego - uspokajałam go. - Takie moje prywatne, zapożyczone z literatury określenie.

Wszystko w porządku...

- Boi się pani prawdziwej miłości? Tego ideału, do którego dążymy niezależnie od wieku, wykształcenia, sytuacji? - drażył temat, jakby mało mu było wzajemnych wyznań.

- Znam smak miłości, dlatego się boję - odpowiedziałam z goryczą.

Po wyjściu Kaszuba pomyślałam, że wspaniale pokierowałam własnym życiem. Wolę być lekarzem ludzkich ciał niż dusz. Ręka boska mnie strzegła, że nie zostałam filozofem, bo w tym fachu nie byłoby ze mnie żadnego pożytku.

Rozdział 53

W przedświąteczną niedzielę udało mi się namówić tatę na wspólne kupowanie prezentów.

Postanowiliśmy zrobić sobie prawdziwą wyprawę po złote runo. Od śmierci mamy nie widziałam ojca w tak wyśmienitym humorze. Odzyskał dawne usposobienie. Nie marudził, nie narzekał, nikogo nie krytykował. Ubrany w kurtkę, poganiał mnie i żartował ze swoich kart kredytowych.

- Spróbujemy, czy plastikowe kartoniki przyniosą nam namiastkę szczęścia. Wybieraj, co tylko ci się spodoba, płacę dziś wszystkie rachunki. Takich zakupów jeszcze nie zaznałaś. Chcesz futro, nie ma sprawy. Chcesz samochód, proszę bardzo. Korzystaj, jestem w dobrym nastroju - śmiał się rozbawiony całą sytuacją.

Cieszyłam się, że dożył takiej chwili. Całe życie ciężko pracował, ale pieniądze do niego nie lgnęły.

Kiedy studiowaliśmy, poświęcał się, biorąc zleczone prace, nad którymi ślęczał po nocach. My z kolei dorabialiśmy do mizernych stypendiów korepetycjami.

- Jedziemy sprawdzić, czy przysłowie kłamie? - spytałam, prowokując go do jeszcze większej wesołości.

- Och, gdyby to zależało od pieniędzy... Lata szczęścia mam już za sobą. Możesz mi wierzyć, pieniądze ze szczęściem nie miały nic wspólnego. Dobrze, że wróciłaś i zakończyłaś ten swój

poniżający romans. Nigdy jego nie lubiłem i dobrze wiedziałem do czego ten związek zmierza. Masz przed sobą wielką szansę I nie mówię tu o moim portfelu... Zaczynasz wszystko od nowa drugi raz nie spieprz tego.

Kupowanie gwiazdkowych prezentów sprawiało mi ogromną frajdę. Chęć uszcześliwienia najbliższych, poczucie misji, dawało mi nadludzką siłę w niekończącej się wędrówce po sklepach i oglądaniu setek, o ile nie tysięcy, banalnych, śmiesznych do niczego nieprzydatnych przedmiotów. Z doświadczenia wiedziałam, że w końcu znajdę jakieś cacko, wspaniałą perełkę, która w masie spiętrzonych na sklepowych półkach towarów wygląda niepozornie, ale opakowana w kolorowy papier, sprawi niekłamaną radość. Nie poszukiwałam rzeczy praktycznych, które i tak każdy z nas kupuje sobie bez żadnej okazji. Gwiazdkowy prezent powinien cieszyć nasze oczy i duszę, przez cały rok emitując magiczne ciepło tak, jak ta stojąca na mojej toalecie szklana kula nazwana przez mamę berzeretką.

Biegaliśmy po galeriach, marketach, sklepikach. Wieczór dawno zapadł. Kolorowe światełka rozwieszane na koronach drzew, nad wejściami dużych i małych sklepów oraz płynąca ze wszystkich stron, przenikająca się nawzajem, niepowtarzalna w nastroju świąteczna muzyka musiały sprawić, że poddaliśmy się tej wyjątkowej atmosferze radosnej, pozornie bezładnej krzątaniny, prowadzącej jednak do obficie zastawionych stołów i opłatka dzielonego w blasku choinki. Kiedy przechodziłam obok otwartych drzwi kościoła, przemknęła mi myśl, że tak wspaniałą tradycję przemieniliśmy w komercyjny wizerunek świąt sprowadzających się do zaspokajania potrzeb i zatraciliśmy ich religijny charakter. Jednak szybko uzmysłowiłam sobie, że pusty w tej chwili kościół zaludni się i napelni pieśniami w czasie nabożeństwa pasterki. Gdzie jak gdzie, ale w naszym kraju potrafimy połączyć komercję z religijną celebrą Po tych

krótkich dywagacjach, już bez wyrzutów sumienia, wpadłam z powrotem w wir zakupów. Przez przypadek trafiliśmy do biura podróży, gdzie wykupiliśmy uroczą wycieczkę do Grecji dla dwóch osób, nasz wspólny prezent dla Grażynki i Adama.

Zadowoleni, obładowani paczkami, zmierzaliśmy w kierunku samochodu. Postanowiłam, że zostawimy bagaże i odpoczniemy przed drogą powrotną w małej, uroczej kawiarence. Ojciec chętnie zaakceptował mój pomysł. Czekał na odpowiednią, spokojną chwilę, aby ze mną porozmawiać. Spędziliśmy razem cały dzień, jednak nie mieliśmy czasu na pogawędki. Domyślałam się, że chodzi o prezent dla Marka. Nie potrafiłam się na nic zdecydować. Sprawa była drażliwa. Niespodzianka powinna być okazała, a jednocześnie skromna, mówiąca o moich intencjach, ale kamuflująca faktyczne uczucia. Trafny wybór nie mógł się obyć bez dużego udziału taktu i wyczucia. Nie chcąc popełnić gafy, rezygnowałam z kolejnych krawatów, papierośnic, srebrnych zapalniczek.

Tata zaskoczył mnie, nie o to mu chodziło. Kiedy już zamówiliśmy kawę i ciastka, przyjrzał mi się badawczo i bez słowa położył przede mną kopertę zaadresowaną na moje nazwisko.

- Przyszło z wczorajszą pocztą - powiedział i przeprasząc mnie, oddalił się w kierunku toalety.

W ten sposób zostawił mnie sam na sam, rozdartą pomiędzy wspomnieniami a obecnymi rozterkami. Siedziałam przy kawiarnianym stoliku, obracając w dłoniach białą kopertę. Zastanawiałam się, co też zawiera. Najchętniej, nie zaglądając do środka, wyrzuciłabym ją, ale nie darowałabym sobie tego do końca życia. Opuszkami palców gładziłam pochyle, napisane zamaszystym ruchem litery. Trzy razy przeczytałam swoje imię. Wpatrzona w biały prostokąt widziałam nasze dawne mieszkanie, Pana S. siedzącego przy sekretarzyku

oświetlonym tylko małą lampką. Zamknęłam oczy sądząc w swej naiwności, że w ten sposób pozbędę się zjawy z przeszłości. Obraz nie zginął, stał się jeszcze bardziej wyraźny, rzeczywisty. Przez gwar przytłumionych rozmów i jazzowej muzyki wydawało mi się, że słyszę znajomy, cicho proszący głos- „Zrob mi szklanę herbat/. Otrząsnęłam się... Otworzyłam oczy i zdecydowanym ruchem rozdarłam kopertę. W środku znajdowała się podwójnie złożona kartka ze świątecznymi życzeniami. Banalnym, wydrukowanym tekstem, który wywołał kpiący uśmiezek na mojej twarzy. Odręczny podpis nie zrobił na mnie wrażenia, ale postscriptum sprawiło, że zeszywniałam. Dwa niewinne słowa... Wyrazy namówiac o ogromnym cierpieniu, osamotnieniu... Mocno przygryzłam dolną wargę przyciskając ją zębami aż do bólu, aż poczułam słodkie kropelki krwi. „wróć! Tęsknię!" Nie byłam w stanie dłużej przyglądać się temu kawałkowi papieru bez rozdzierającego mnie w środku krzyku, który, nie mogąc wypełnić kawiarnianej sali rozrywał moją klatkę piersiową. Zamknęłam kartkę. Próbując powstrzymać drżenie rąk, starałam się umieścić ją w kopercie. Dopiero teraz zauważyłam, że w kopercie znajduje się coś jeszcze. Wysypałam jej zawartość na stół. Był to złoty łańcuszek z zawieszonym na nim serduszkim Świecące malusieńkie kamyczki tworzyły na nim literę E. Kosztowny drobiazg... Dowód miłości... Łańcuszek wymykał się z moich palców, spływając błyszczącym wężykiem na stół, za to serduszko, jakby zaklęte, przywarło do mojej dłoni i pozwalało mi cieszyć sobą oczy.

Nie zauważyłam powrotu taty Nie wiedziałam, jak długo obserwował moje zmagania samej z sobą i moje cierpienie. Niedbałym ruchem odłożyłam niespodziewany prezent i bagatelizując całą sprawę, uśmiechałam się, nadal jednak czując w ustach słodki smak krwi.

- Przyjemnie tu - stwierdził jakby od niechcienia. - Bardzo smaczne ciastko. Zjedz, w domu będziemy dopiero za godzinę, a Anieli dziś nie było, więc pewnie nie mamy co liczyć na kolację. Wątpię, żeby Marek coś przygotował... - mówił, wpatrując się w filiżankę z parującą kawą. - Możesz wziąć moje mleczko, lubię czarną.

Spoglądał na mnie dyskretnie, nie oczekując wyjaśnień, nie zadając kłopotliwych pytań. Byłam mu za to wdzięczna. Z całą pewnością zasłużył sobie na nagrodę. Trzymając łokcie na stoliku, darłam kopertę na drobne kawałki, układając je w niewielką piramidkę. Rozmawialiśmy o niepasującej do pory roku pogodzie, o reumatyzmie, który w chłodne i deszczowe dni skutecznie utrudniał tacie poruszanie się, o studiach Tomka. Przeżyte przed chwilą emocje stawały się odległe, przypominały senną zjawę. Może sprawiła to mocna kawa, a może spokojny głos taty. Spojrzałam na zegarek i ze dziwieniem stwierdziłam, że dochodzi dwudziesta.

- W miłym towarzystwie, czas szybko mija - żartował ojciec. - Proszę o rachunek - zwrócił się do przechodzącej właśnie kelnerki.

- Ja zapłacę! - powiedziałam dobitnie, nie dopuszczając sprzeciwu z jego strony.

Młoda, sympatycznie uśmiechnięta kelnerka położyła na stoliku skórzane pudełeczko i bez słowa oddaliła się. Delikatnie podniosłam wieczko i wsunęłam do niego pieniądze. Zawahałam się przez moment, po czym puszczając do taty porozumiewawcze oczko, wsunęłam do pudełka złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serduszka. Szybko zebraliśmy swoje rzeczy i wyszliśmy na świecąca kolorowymi lampeczkami ulicę. Idąc, wyrzucałam do mijanych po drodze koszy na śmieci kawałki świątecznej kartki, tej która miała przypomnieć mi miłość, a sprawiła, że po raz kolejny poczułam się wolna.

Rozdział 54

Ta moja demonstracja, teatralne, napszone gesty spodobały się tacie. Opuściliśmy gwarne, powoli szycujące się do snu miasto, wjeżdżając w ciemną noc.

- Brawo! - pochwalił mnie. - Widzę, że sztukę pod tytułem „Rozstanie” masz w jednym paluszku.

- Po kilku próbach doszłam do perfekcji, jestem profesjonalistką - odpowiedziałam w tym samym stylu, chociaż oboje dobrze wiedzieliśmy, co mamy na myśli.

To nie był mój pierwszy nieudany związek, ale z całą pewnością trwał on najdłużej i już z tego względu najboleśniej odczułam jego przykry koniec. Tato nie chcąc drażnić tematu, naprowadził moje myśli na inny tor.

- Wygląda na to, że po wielu latach wraca do naszego domu życie. Szczerze mówiąc, święta u Adama były dla mnie męczące i nudne - stwierdził z satysfakcją, że może się z kimś podzielić swoimi uwagami. - Grażynka jest wspaniałą kobietą, ale... Sama wiesz, brakuje jej zadziorności... Uległa we wszystkim, a powinna mieć swoje zdanie.

- Z powrotem może być różnie... Jeżeli Marek zdecyduje się na nasz ślub, chce żebyśmy mieszkali w domu Zawilaków. Pomysł ten nie przypadł mi do gustu... - nie dokończyłam, ojciec wszedł mi w słowo.

- E, to nie problem. Zwalimy płot i zrobimy jedno wielkie podwórko. Tym się nie martw. Już trzecie pokolenie nie może zdecydować się na połączenie tych zaprzyjaźnionych przecież rodów. Przerwijcie kłatwę - zachęcał mnie.

- Co do ogrodzenia, mam swoje projekty. Ten płot stanowi dla mnie podporę - wyznałam.

- Spróchniałe sztachety? Musiało być ci naprawdę ciężko, skora szukałaś oparcia w rozwalającym się płocie. Zapamiętaj do końca życia: nic nas tak nie podtrzyma na duchu, nie wzmocni jak wiara we własne siły. Bez niej nie przetrwamy skaleczenia palca, z nią i rana w sercu się zablizni.

- Filozof z ciebie tato - śmiałam się. - Zupełnie jak Wiryg. Może i ty znajdziesz sobie jakąś Basię Wąsik?

- W zupełności wystarcza mi to, co mam - stwierdził lakonicznie. - Skoro mówimy już o posiadaniu, możesz zdradzić mi pewien sekret? Jak właściwie udało się wam zniewolić Aniele?

- Normalnie... Związaliśmy ją, przyłożyliśmy jej nóż go gardła, łaskotaliśmy po piętach. Nie miała wyjścia, musiała nam wszystko wyśpiewać. A mówiąc poważnie, dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak mało się znamy, jak ogromna przepaść dzieli nas od siebie. Uważam, że to bardzo smutne... Zastanawiałam się, w jaki sposób możemy to zmienić..

- Wiesz dlaczego tyle lat przeżyłem samotnie? Uświadomiłem sobie, że tak naprawdę jesteśmy na tym świecie całkowicie sami. Nigdy nie osiągniemy porozumienia, całkowitej bliskości, jedności.

Kochałem ją do szaleństwa... Byłem gotowy przenosić dla niej góry, a wiedząc, że odchodzi nie potrafiłem jej pocieszyć, nie mogłem za nią cierpieć, nie mogłem wybrać się z nią na drugą stronę. Opuściła mnie, a ja winiłem ją o to, winiłem, bo nie rozumiałem... Bolało mnie to bardziej niż samotność, głucha cisza, brak jej zapachu, głosu, dotyku rąk. Nieprzespane noce strawiłem na dociekaniach, co stało

na przeszkodzie, żeby połączyć nas w jedno i w końcu doszedłem do wniosku, że tak jest lepiej. Ona musiała być sama. Każdy z nas musi być sam... Raj i piekło na własny użytek. Ja też jestem niedostępny, zamknięty w swojej skorupie, jak żółw wystawiam jedynie czubek nosa, żeby mnie życie mogło w niego pocałować. Ty też taka jesteś, i Adam, i nawet ta gadatliwa Aniela. Dowcip polega na tym, że pragniemy przeniknąć do bliskich nam osób, ale sami bronimy swojej ochronnej powłoki. Nasza samotność rodzi się z nami i z nami umiera -tata zamilkł i mrużąc oczy wpatrywał się w oświetloną reflektorami szosę. - Urodziłem się w zamożnej rodzinie. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, czy majątek był duży, czy w tamtych czasach zaliczał się do umiarkowanych. Rodziców nie pamiętam, mgliste wspomnienie, jakie towarzyszy mi przez życie, to dobrze zakonserwowany w moim mózgu obraz rodzinnego, zbiorowego zdjęcia, na którym jestem rozkosznym bobasem wtulonym w matczyne piersi. Spodziewali się całej tej wojennej awantury i zwiewali przed nią ile sił w nogach. Sprzedali wszystko, co mieli. Z taką gotówką mogli spokojnie urządzić się za oceanem. Podobno był tam już jakiś stryjek, ale tego nie jestem do końca pewien. Czasy były niepewne, droga długa, w nowym kraju poniewierka... Miałem niecałe trzy latka, mały, chorowity, rozpieszczony gówniarz. Matka bała się, że nie przetrzymam trudów podróży. W Warszawie została jej niezamężna siostra, która obiecała przywieźć mnie do Ameryki, jak tylko sytuacja trochę się uspokoi, a ja nabiorę siły. Wojna kojarzy mi się z pierzem - uśmiechnął się leciutko. - Ciotka zbierała stare pierzyny, szyła nowe wsypy i sprzedawała lub wymieniała swoje wyroby na żywność. W ustach miałem ciągle wielką kluchę z drobinek gęsiego puchu, który unosił się w całym mieszkaniu. Jeszcze przed powstaniem przenieśliśmy na wieś. Potem wszystko jakoś się układało. Nie

mogliśmy wyjechać z kraju, sama wiesz dlaczego. Ciotkę ciągle wzywano na przesłuchania. Wyparła się całej rodziny, jedynie ja jej zostałem. Adoptowała mnie i już formalnie byłem jej synem. Nikt nie miał prawa nas rozdzielić. Młodość spędziłem w miarę normalnie. Przestrzegałem nakazów ciotki i nie zawierałem bliższych znajomości, nie rozmawiałem z nikim, byłem milczkiem, odludkiem. Obserwowałem ludzi, ucząc się rozróżniać wrogów od przyjaciół, złych od dobrych, głupich od mądrych. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, i mnie zaczęto wzywać, wypytywać o rodzinę. Ponieważ nie miałem z nimi żadnego kontaktu, nawet na torturach nic nie mogli ze mnie wyciągnąć. Trwało to kilka lat, ale w końcu dali nam spokój. Skończyłem studia i zacząłem pracować. Wtedy poznałem waszą matkę. Była piękna, ale nie to mnie w niej pociągało. Emanowała spokojem, rozważą i pełną skupienia mądrością, do tego miała niezwykłą grację. Byłem najszczęśliwszym z ludzi, kiedy zgodziła się wyjść za mnie, wtedy już podstarzałego amanta. Ciotka nie doczekała ślubu, umarła pół roku wcześniej. Widocznie te wieczne przesłuchania nie wyszły jej na zdrowie. Tuż przed śmiercią wezwała mnie do siebie i wręczyła przedwojenne rodzinne papiery. Kazała je schować i czekać na lepsze czasy. Były tam jakieś akcje czy obligacje, już nawet dobrze nie pamiętam. Mama bardzo się zdenerwowała. „Jak mam rodzić i wychowywać dzieci, skoro w domu będziemy mieli takie fanty?”. Krzyczała na mnie wściekła, jakbym był winny wojennym losom swoich przodków. Wtedy Janka ukryła ten mój rodzinny skarb niemający żadnej materialnej wartości. Nie mieszkaliśmy razem. Ale to już wiesz. Dopiero po śmierci waszych dziadków przenieśliśmy się tutaj. Pewnego wieczoru Janka zaprowadziła mnie na strych i w wielkiej konspiracji powiedziała mi, że moje dokumenty są ukryte w specjalnie zrobionym schowku, nie powiedziała jednak gdzie, dając jedyną

wskazówkę: „Tam, gdzie brakuje jelenia”. Jak teraz o tym myślę, ogarnia mnie pusty śmiech. Kiedy już zostaliśmy sami, kiedy mama nas opuściła, chciałem pomalować pokój Adama i wyrzucić to stare, kiczowate malowidło. Pomyślałem, że brakuje na nim jelenia. Dostałem spazmatycznego śmiechu. Biedna Janka, myślała, że jest sprytna, przebiegła, a cała jej intryga była dziecinnie prosta, niewarta nawet funta kłaków, o czym z resztą się przekonaliście. Ja nie szukałem, po cholere mi te pamiątki po ludziach, których nie znałem, których nie pamiętam i nie mogę oceniać, bo czasy były trudne, bo wojna, bo przecież musieli ratować starszego syna... Nie odcinam się od korzeni, ale za dużo przeżyłem... Oczywiście odnaleźli mnie. Wysyłali te mizerne, nieprzydatne dolary. Nic nam po nich nie przyszło. Nie kupiliśmy za nie wybawienia, kostucha nie dała się przekupić... To chyba wszystko, co ci chciałem, a może musiałem wytłumaczyć. Człowiek musi wiedzieć, skąd przyszedł, komu co zawdzięcza i z kim powinien się w tym życiu rozliczyć. Marek nie robi ci krzywdy. To dobry chłopak. Kocha cię, tak jak ja kiedyś kochałem waszą matkę... Ale jeżeli myślisz, że nie będziesz samotna... Porzuć złudzenia i po prostu żyj.

Rozdział 55

Nastawiłam dłoń, podsuwając pod nos Izie, a potem Krystynie. Podziwiały mój zaręczynowy pierścionek, robiąc miny i wymownie kręcąc głowami.

- Ho, ho! - wyrażała swój zachwyt Krystyna. - Trzy tysiące, najmniej...

- Myślisz? - zdziwiła się Iza. - Aż tyle? E, może nie...

Obserwując swoje przyjaciółki, myślałam, jak mało potrzeba, żeby z poważnych, statecznych mieszanek naszego miasteczka zmieniły się w parę rozkosznych dziewczątek, dla których najważniejszy w życiu jest zaręczynowy pierścionek, ten swoisty znak życiowego sukcesu.

Szczebiały jak słodkie idiotki.

- Piękna, koronkowa robota... Że też wcześniej nie zorientowałam się, jaki to wartościowy facet. Kilka lat różnicy w tym wieku nie ma znaczenia. Kobieta im starsza, tym lepsza, jak wino - stwierdziła Krystyna.

Umówiliśmy się w sklepie Zbyszka, chcąc pomóc mu w noworocznym remanencie. Nie miał jednak z nas żadnego pożytku. Właśnie wczoraj, w chwili nadejścia nowego roku, Marek postanowił zdeklarować się ostatecznie. Z wybiciem dwunastej padł przede mną na kolana i wręczył ten gustowny, wyjątkowo śliczny pierścionek, który naprawdę mnie zauroczył. Odpowiedziałam zgodnie z oczekiwaniami i dawno złożonymi obietni-

cami. Formalności stało się zadość, jestem jego narzeczoną. Dziewczęce marzenia spełniły się, co prawda kilka lat później niż się tego spodziewałam, ale za to w pięknym stylu. Marek, nie pytając mnie o zdanie, ustalił datę ślubu na sierpień tego roku, a więc zostało mi jeszcze trochę czasu, aby przygotować się do małżeństwa. Krystyna uparcie twierdziła, bagatelizując moje wyrzuty sumienia, że w tej sytuacji będę musiała się przemóc i pokochać przyszłego męża, a wtedy zobaczę, jaka byłam głupia, broniąc się przed miłością. Miałam wątpliwości, ale już odważnie zdefiniowałam ich sedno. Nie chodziło o intencje Marka. Chodziło o mnie. Kiedy mój narzeczony podchodził do mnie, pachnący, uśmiechnięty... To nie był ten oczekiwany zapach... Nie ten uśmiech... Pocałunki wywoływały ledwie słaby dreszczyk, dotyk - słabiutkie ciarki wędrujące po plecach... Budząc się rano, nie szukałam po omacku jego rozgrzanego snem ciała. Głaszcząc w łóżku puste miejsce, pod zamkniętymi powiekami nadal wypatrywałam innego mężczyzny. Nie miałam czasu na wyczekiwanie miłości, która sama zapuka do mojego serca. Tu potrzebne było walenie kołatką, i to w trybie przyśpieszonym. Powinnam uważać się za dziecko szczęścia, urodzoną w czepku, brnącą po omacku i ślepym trafem wybierającą najlepsze kąski życia jak rodzynki z wielkanocnej babki, lecz to męskie, wspierające mnie teraz ramię, wciąż było jak obce ciało przeszczepione w mój organizm, nie odrzucone, ale jeszcze nie całkiem przyjęte. Zazdrościłam Wąsikowej, która podążała za już zdefiniowanym uczuciem, nie oglądając się na despotycznego i niekochanego nigdy przez nią męża. Ona miała pewność, wierzyła w Wirygową miłość i dla tego uczucia była gotowa poświęcić osiągniętą przez lata pozycję, dzięki której okazywała otoczeniu swoją pogardę, wywyższając się ponad własne zasługi. W swojej bezbrzeżnej głupocie nie dostrzegała upokorzeń, jakie jej życie przygotowuje. Miłość musi być

opłacona cierpieniem, inaczej nie potrafimy docenić jej wartości. Niestety, zdarzają się jajka bez niespodzianki - jak mówi wnuczek Krystyny, a ja zastanawiałam się całkiem poważnie, która z nas dostanie od losu takie pozbawione niespodzianki jajko: ja czy Barbara Wąsik. Tak czy owak, powoli wtapiałam się w małomiasteczkową społeczność, przyjmując jej prawa, starając się jednocześnie dobrze wypełniać powierzone mi obowiązki, a Baśka wyrywała się w wielki, nieznany, tajemniczy świat, druzgocząc po drodze wszelkie ustalone przez tę społeczność normy i przyjęte reguły postępowania. Obie jednak nadal namiętne, szaleńczo szukałyśmy miłości, która zapewni nam szczęście i spełnienie naszych dziewczęcych marzeń. Różniłyśmy się tylko odwagą, której Baśka miała w nadmiarze, ja nie posiadałam jej kompletnie. Ence-pence, w której ręce? W którym jajku jest niespodzianka?

Rozdział 56

Tata już nie zamykał się w pokoju mamy. Nadal przesiadywał tam całymi dniami, ale drzwi były otwarte i w każdej chwili mogłam wejść, aby z nim porozmawiać. Często korzystałam z tej możliwości, lubiłam bowiem przyglądać się siwiutkiemu jak gołabek ojcu, ślęczącemu przed komputerem i z wypiekami emocji na szczupłej twarzy, obserwującemu wzrosty i spadki swoich akcji, nucącemu pod nosem wesołe pioseneczki z czasów dawno minionej młodości lub ciskającemu przez zaciśnięte wargi prawie niezrozumiałe przekleństwa. Aniela złamała nogę i nie przychodziła do nas, dzięki czemu musiałam spełniać obowiązki prawdziwej pani domu. Te codzienne, prozaiczne zajęcia pochłaniały mnie, sprawiając, że brakowało mi czasu na uzalanie się nad własnym istnieniem. Dni płynęły szybko, a długie zimowe wieczory przynosiły upragniony wypoczynek zmęczonemu ciału i ukojenie wyczerpanemu domowymi sprawami umysłowi. Z przyjemnością przesiadywałam w towarzystwie taty, czytając kolejne książki z jego biblioteczki. Były tam bowiem pozycje bardzo stare, wydane w latach pięćdziesiątych, ale też ku mojemu zdziwieniu znajdowałam książki obecnie ukazujące się na listach bestsellerów. I właśnie w takiej nowiuteńkiej, wydawałoby się jeszcze nieczytanej książce, wciśnięta między pachnące drukarską farbą kartki, ukryta była pożątkła kartka z zeszytu w kratkę,

o równiutko obciętych bokach. Z czysto kobiecej ciekawości rozłożyłam ją i przyglądałam się drobnym literkom. Znałam to pismo... Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że te małe kółeczka, kreseczki i zawijasy na pożółkłym papierze w kratkę kaligrafowała mama, która w zimowe wieczory często siadała przy kuchennym stole, pochylając się lekko nad szesna-stokartkowym zeszytem i zapisując myśli kołatające się po jej małej, zaprzątniętej rodzinnymi sprawami główce. Potem moimi nożyczkami do wycinanek, równiutko obcinała te złapane w konkretny kształt literienne przemyślenia, rozważania, odczucia minionych chwil i wkładała je między kartki przypadkowo wybranych książek. Nigdy nie poznałam treści karteczek, nie miałam pojęcia, co zapisuje i po co to robi. Ukryte w książkach sekrety przetrwały i widocznie stanowiły dla ojca prawdziwe skarby, którymi chciał się ze mną podzielić. Wkładając ten mały klejnocik maminych odczuć do książki, dyskretnie podsunął mi ją do przejrzenia. Przeczytałam:

Przepis na berżeretkę

*Biegać po łące w skowronka cieniu
Obmywać nogi w chłodnej rosie
Tańczyć z motylem na ramieniu
A resztę mieć głęboko w nosie
Przez życie chyłkiem się prześlizgnąć
Między sprawami kochankami
Kremu używać przeciw zmarszczkom
Czas oszukiwać erzacami
W lustro nie patrzeć gdy nie trzeba
Nie żądać wiele już od losu
Nie psioczyć na zrządzenie nieba
Nie pić nie palić papierosów
Życie się samo nam ułoży*

Spokojnie każdy ma swój przydział Bóg nas co prawda sobie stworzył Lecz więcej chyba nas nie widział Serce na dłoni mieć i czekać Szczęścia nie pije się haustami Mądrze sterując przez odmęty Na starość nie będziemy sami

Z rozrzewnieniem próbowałam wyobrazić sobie mamę, piękną kobietę, poddaną upływowi czasu, zmieniającą się zgodnie z procesem starzenia, pochyloną nad kuchennym stołem. Siwiejące włosy straciłyby dawny połysk, oczy figlarny blask, a ręce pokryłyby się brązowymi piegami przypominającymi kropki na skrzydłach biedronek. Moje nożyczki do wycinanek na śmietniku wspomnień urosły do rangi dłuta sławnego rzeźbiarza.

Rozdział 5 7

Krystyna przestrzegала mnie, prosiła, mimo to zażyłam sporą ilość leków o działaniu uspokajającym. Otumaniona, ledwie żywa, siedziałam przed toaletką, a dwie druhny (jedna wdowa, druga mężatka) usilnie starały się ubrać mnie do ślubu. Aniela donosiła kolejne dzbanki z mocną kawą, którą poiły mnie, chcąc przywrócić mi siły, ale moja głowa nadal kiwała się jak kwiat maku na wietrze, uniemożliwiając druhnom zrobienie makijażu.

- Ty wariatko - ganiła mnie Krystyna.

- Szkoda słów. Widzisz, że jest nieprzytomna. Maluj, mamy mało czasu, pan młody zaraz się tu zjawi

- poganiała ją Iza.

Tępo patrząc w lustro, widziałam tylko ich rozmazane sylwetki.

Ślub pamiętam jakby przez mgłę. Cieszyłam się, że nie muszę sama paradować przez cały kościół, że idzie przy mnie mężczyzna, na którego mocnym ramieniu mogę się bezpiecznie wesprzeć. Do pełnej świadomości wróciłam w chwili, w której ksiądz poprosił mnie o powtórzenie słów małżeńskiej przysięgi.

I wzięłam sobie ciebie Marku za męża i przyrzekłam ci miłość, wierność i szacunek.

Rozdział 58

Nie przyjąłem propozycji powrotu do kliniki. Nie mogłem zostawić pacjentów, przychodni, zaglądającej do mojego gabinetu Krystyny. Nie mogłem pozbawić się codziennych krótkich wizyt w pasmanterii Zbyszka, odwiedzin u taty i szczebiotu Anieli.

Wyremontowany dom Zawilaków okazał się bajkowym spełnieniem moich marzeń. W salonie kominek, w łazience duża stylowa wanna, kinkiety na ścianach. W sypialni wielkie, robione na zamówienie małżeńskie łóżko.

Marek własnoręcznie rozebrał płot dzielący naszą posesję od posesji Zawilaków. Spróchniałe sztachety układał na krótko przyciętej trawie, następnie porąbał je na małe kawałki i zaniósł do komórki taty.

Jeszcze tego samego dnia schowaliśmy na strych miłosne listy cioci Janki i Stacha Zawilaka. Umieściliśmy je w drewnianym, specjalnie kupionym kuferku. Zamknęliśmy go na ozdobną klódeczkę, a kluczyk wrzuciliśmy do stawu.

Z okna mojej kuchni widać sad. Stare jabłonki z rozłożystymi koronami stały się ulubionym miejscem szpaków, które zlatują na nie teraz całymi gromadami. W słoneczne dni czerwone jabłka kojarzą mi się z kroplami krwi, jakby drzewa wydawszy ostatnie potomstwo, szykowały się do odejścia. Nic bardziej mylnego. Przetrwają kolejną zimę, a wiosną wybuchną różowym kwieciem, potwierdzając dawno zauważoną przez mnie

prawdę, że każdy etap życia ma swój początek i koniec. Ilekroć wyglądam przez okno, rozmyślam o wierszu mamy, pewnie dlatego, że stara, szklana kula, rodzinna pamiątka stoi teraz na jego parapecie. Tak... Doczekałam się swojej berżeretki i chociaż jestem już po czterdziestce, uważam, że na miłość nie jest za późno. W jajku ofiarowanym mi przez los znalazłam wymarzoną niespodziankę.